MAGAZYN OPINII

# Pismo.

SIERPIEŃ 2026 | NR 8 (104)



ZDROWIE

## Czy wszyscy mamy ADHD?

ROZMOWA

## Adam Mirek: gluty, bebechy i algorytmy

MAŁE KINA

## Bez popcornu, ale z duszą

MILENIALSI

## Kto się śmieje z Paula Coelho

POLITYKA

## Fantazje prawicy o świecie bez kobiet

CENA: **24,99 zł** (W TYM 8% VAT)
ISSN 2544-5022 INDEKS 422258
08>
9 772544 502609

MAGAZYN OPINII

# Pismo.

SIERPIEŃ 2026 | NR 8 (104)



# Zamów wydanie specjalne „WOKÓŁ MIŁOŚCI”

**W numerze publikujemy nowe teksty, wśród nich:**

- Karolina Lewestam analizuje fenomen programu *Love is Blind*,
- Aga Kozak odsłania przed nami sylwetkę słynnej terapeutki par, Esther Perel,
- Jakub Wątor sprawdza, czy Tinder pomaga znaleźć miłość, czy tylko marnuje nasz czas,
- Maja Hawranek rozmawia z Katarzyną Miller o tym, jak świadomie budować relację z naszymi rodzicami,
- Joanna Gutral w rozmowie z Katarzyną Kazimierowską zastanawia się, czy nie za bardzo koncentrujemy się na sobie.




**magazynpismo.pl/**
**zamow-wydanie-specjalne**

MAGAZYN OPINII
# Pismo.
SIERPIEŃ 2026

PROZA

**Mów mi Milo** | 6
WOJCIECH CHAMIER-GLISZCZYŃSKI

**Kulturysta** | 88
ŁUKASZ KRUKOWSKI

POEZJA

******* | 3
BARBARA KLICKA

**valentino** | 41
MARIA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA

PROZA POETYCKA

**Odcięcie** | 77
KRZYSZTOF SIWCZYK

APTECZKA

**Co w niej trzyma…** | 61
JULIE MEHRETU, pyta MATEUSZ ROESLER

W KADRZE

**Korzenie i gigant** | 4
ARTEM HUMILEVSKYI

FOTOESEJ

**Zurumbático** | 42
LUIS COBELO

KOMIKS

**Kamienna głowa wczesna** | 72
AGNIESZKA PIKSA, BARBARA JANCZAK, WITOLD SZWEDKOWSKI

ŻARTY RYSUNKOWE
WIKA KRAUZ

OKŁADKA

**Moje wszystkie diagnozy**
KAROL BANACH

TEKST OKŁADKOWY

14 | **Ja mam to nieśmieszne**
DOROTA BIDZIŃSKA pyta, skąd taki wysyp diagnoz pod kątem ADHD

ROZMOWA

24 | **Na początku było „nie wiem”**
AGNIESZKA SOWIŃSKA rozmawia z popularyzatorem nauki ADAMEM MIRKIEM

REPORTAŻ

32 | **W mniejszym kinie**
SYLWIA GUTOWSKA sprawdza, dlaczego z miejskiego krajobrazu znikają kameralne kina

PORTRET

52 | **Ta, która nie milczy**
AGNIESZKA ŻĄDŁO pisze o Francesce Albanese, autorce raportu o ludobójstwie w Gazie

ESEJ IDEE

62 | **Mężczyźni, którzy chcą zamknąć usta kobietom**
HELEN LEWIS rozmawia z przedstawicielami amerykańskiej manosfery i ruchu MAGA

WOKÓŁ KSIĄŻEK

80 | **Kto się śmieje z Paula Coelho**
OLGA DRENDA pyta o to, dlaczego autor *Alchemika* z fenomentu stał się memem

FELIETON

2 | **Fale i Kant**
KAROLINA LEWESTAM // MYŚLI ZNIKĄD

78 | **Ikowie to my**
ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA o EWIE KURYLUK // W RAMACH

94 | **O letnich powrotach i mocy dobrego sąsiedztwa**
MAGDALENA BIGAJ // LISTY Z CYFROWEGO ROJU

96 | **Rzeczy, których ze sobą nie zabiorę**
AGATA ROMANIUK // COŚ NA RZECZY

ILUSTRACJE W TYM NUMERZE: AGATA BURNAT, TOMASZ KACZKOWSKI, RAFAŁ KWICZOR, DOMINIK NAWROCKI, PATRYCJA PODKOŚCIELNY, MIKITA RASOLKA, BARTOSZ TROJANOWSKI

Pismo.
Pismo. Magazyn Opinii
**magazynpismo.pl**

**Wydawca:** Fundacja „Pismo”
ul. Świeradowska 47,
02-662 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

**Prezeska zarządu:** Urszula Kifer
**Członkini zarządu:** Inez Jaworska

**Redaktorka naczelna:** Urszula Kifer **Zastępczyni redaktorki naczelnej:** Katarzyna Kazimierowska
**Redaktorki prowadzące:** Magdalena Kicińska, Zuzanna Kowalczyk **Redaktor ds. fact-checkingu:** Marcin Czajkowski
**Felietony:** Magdalena Bigaj, Karolina Lewestam, Agata Romaniuk **Redakcja:** Joanna Dolecka, Sylwia Niemczyk, Julia Pańków, Zofia Sawicka, Ilona Turowska **Korekta:** Tatjana Krajowska-Kukiel, Katarzyna Rogowska, Dorota Śrutowska
**Dyrekcja artystyczna:** Karolina Mazurkiewicz **Skład i łamanie:** Marta Juchnowicz-Bierbasz
**Wydanie cyfrowe:** Ewa Pluta (wydawczyni) **Menedżerka pozyskiwania przychodów i marketingu:** Inez Jaworska
**Marketing:** Anna Galewska **Media społecznościowe:** Marta Szymczyk **Prenumerata i subskrypcja:** Marcin Lipiec, Łukasz Tofil **Koordynator projektów i współprac:** Mateusz Roesler

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



KAROLINA LEWESTAM,
dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.



# Fale i Kant

Jak patrzeć na książki, filmy, media i świat, kiedy coraz trudniej ułożyć sobie tożsamość? Opinie i przekonania, które próbują się nie przejmować, że płyną coraz bardziej znikąd. Więcej na **magazynpismo.pl/mysli-znikad**

Jestem na wakacjach.

Nie są to wakacje *sensu stricto*, bo jestem z dziećmi, a wiadomo, że dzieci ciągną za sobą cały bagaż oporządzania. Nie przeszkadza mi to jednak. Odczuwam głęboką wdzięczność za możliwość bycia na wakacjach, za szansę patrzenia na ocean i oddychania innym powietrzem. W miejscu, w którym jesteśmy, ocean jest nieoswojony i nawala w brzeg z nieustanną, nieustępliwą furią. Dyscyplinuje skały przybrzeżne i plaże zapamiętale i bez współczucia, jak sadystyczny nauczyciel.

Kiedy zrywa się bardziej nerwowy wiatr, a niebo ciemnieje, krajobraz brzegu zmienia się w obraz wieczności – bo na pewno wieczność wygląda właśnie tak, zapamiętała w pozbawionym celu powtarzalnym wzburzeniu, nigdy się niekończąca. Fale bijące w brzeg są bowiem wyrazem działania wypełnionego sobą, ale pozbawionego celu, a to właśnie cel, osiąganie etapów, jest manifestacją czasu. Jeśli istnieje wieczność, to jest nią właśnie monotonne, nieskończone działanie donikąd i po nic, ruch powtarzalny.

Zawsze powtarzam, że na tym zmiennym świecie są tylko dwie rzeczy naprawdę niezmienne: zdrowie i pogoda. W zdrowiu nie myśli się o chorobie, wydaje się ona niemożliwością. Z kolei pogoda otula umysł tak szczelnie, że jej zmiana całkowicie wypada z horyzontu możliwości. Ten zachmurzony moment nad oceanem jest na zawsze.

O tych falach, na które spoglądam, pisał Immanuel Kant, kiedy zastanawiał się nad wzniosłością jako przeżyciem estetycznym. Doświadczamy jej, kiedy patrzymy na coś przekraczającego nas potęgą, swoją bezmyślną siłą. Kiedy patrzysz na rzeczy tylko piękne, odczuwasz przyjemność, ale kiedy patrzysz na rzeczy piękne i niebezpieczne – zbyt wielkie, żeby je objąć umysłem, zbyt wieczne, żeby po ludzku się do nich odnieść – jest to właśnie doświadczenie wzniosłości.

Do przyjemności piękna dochodzi rodzaj lęku, przeczucie własnej nietrwałości i delikatności. To ten kontrast, kiedy moje małe dziecko – zrobione z jednorazowej tkanki cielesnej, z maleńkimi żyłami pompującymi niewielkie, przystosowane do małego ciała ilości krwi, pokryte nietrwałą skórą – wbiega po kostki do oceanu i zaraz ucieka przed falą wielką jak skała, która nie zna tego dziecka i nigdy go nie będzie znać, i zawsze będzie dla niego bezlitosna.

Wzniosłość była dla Kanta czymś wspaniale ludzkim. Mimo bowiem całej dzikości i bezkresu natury, postawieni przed nią zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy – jesteśmy niezależnie od nawet najbardziej gwałtownego zjawiska, jesteśmy w obliczu wiatru i fal, gór, tornad, wulkanów i innych superherosów świata naturalnego. I to nasze bycie jawi się nam (jak twierdzi Kant) jako wyabstrahowane, inne, odporne na wiatr. Człowiek racjonalny potrafi czuć swoją odrębność nawet w obliczu żywiołów. Kto pamięta słynny obraz Caspara Davida Friedricha *Wędrowiec nad morzem mgły*, na którym rzeczony wędrowiec stoi na skale tyłem do widza i patrzy na nieskończony, nieprzyjazny, lecz piękny krajobraz przykryty morzem szalejących mgieł, rozumie dokładnie, o jakie uczucie, jaki stan, chodziło Kantowi.

Jestem więc na wakacjach i patrzę na ocean, amalgamat czarnej smoły i białej piany, przepastny rezerwuar podwodnych tajemnic, niezbadanych lasów alg i domów dziwnych stworzeń. Na ocean, który ma mnie w głębokim poważaniu i który zjadłby mnie bez zawahania, gdybym nieuważnie, jak wędrowiec Friedricha, stanęła na zbyt daleko wysuniętej skale. I myślę o wszystkich innych ludziach, którzy tak jak ja spoglądali na ocean, których dzieci też zbierały muszelki i okrągłe kamienie, uciekając na małych stopach przed głodną falą. Ci ludzie też byli, i byli bardziej, dlatego że czuli się tak mali. I ogarnia mnie poczucie bycia częścią wspólnoty świadomych stworzeń, złączonych ze sobą swoją nietrwałą cielesnością i swoim pragnieniem ogarnięcia bezkresu, i chyba nigdy nie czułam takiej wdzięczności. I bardzo, bardzo pragnę, by każdy czytelnik „Pisma” w te wakacje chociaż raz spojrzał na wodę.

Cykl *Myśli znikąd* sponsoruje **Instytut Kultury Miejskiej** w Gdańsku.

Przeczytaj lub wysłuchaj innych tekstów tej autorki na **magazynpismo.pl/lewestam-karolina**

*rysunek* ANNA GŁĄBICKA

POEZJA

# ***

BARBARA KLICKA

—

Po
patrz:
po jest –
rynki i paprocie
kwitną tak samo
strzeliście, rakieta
ziemia-ziemia
zerka w gwiezdną
stronę (jesteś,
a błony twojego
pokoju chwilowo
wytrzymały próbę,
inwazję odroczono –
można opowiadać).

nie idzie o ciebie,
to po ciebie idzie.

BARBARA KLICKA

autorka książek poetyckich oraz powieści. Wiersz pochodzi z jej najnowszej książki poetyckiej pt. *PO CO PO?*, która ukaże się we wrześniu 2026 roku nakładem Staromiejskiego Domu Kultury w Warszawie. Publikacja jest częścią cyklu „Po co poezja", współfinansowanego przez Miasto Stołeczne Warszawa.

W KADRZE

*zdjęcie i tekst*

# ARTEM HUMILEVSKYI

## KORZENIE – PODRÓŻ W POSZUKIWANIU TOŻSAMOŚCI
cykl z lat 2022 – (2026)

Po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji zacząłem pracować nad nową serią zatytułowaną *Korzenie*. Wspólne nieszczęście obudziło w Ukraińcach jakiś nieuświadomiony kod – wszyscy, nawet ci mieszkający w najodleglejszych zakątkach świata, poczuli zew swojej ojczyzny, swojej tożsamości i wolności.

Cykl powstał podczas wojny i dotyczy ducha, siły korzeni i więzi między nami. W nowych pracach kontynuuję podróż do odkrywania wewnętrznej jaźni, którą rozpocząłem w poprzedniej serii *Gigant*. W *Korzeniach* zastanawiam się nad nią na innym poziomie, teraz jako częścią społeczności, i szukam nowych skojarzeń tożsamości, które nie będą wynikać wyłącznie z koncepcji narodu. Proponuję nowe obrazy ideologii opartej na fantazji, w których ujawniam podświadome symbole duchowe i pokazuję, jak subtelnie są w nas wplecione.

Zdjęcia z serii *Gigant* oraz rozmowa z autorem na **magazynpismo.pl/korzenie-i-gigant**



—

ALERT NUKLEARNY (2026)

Świat pogrążył się w strachu przed wojną nuklearną. Pozbawieni nadziei, szykujemy naszą kruchość na zagładę pod złowieszczym różowym niebem.

Więcej zdjęć z tegorocznego cyklu na **magazynpismo.pl/w-kadrze**

ARTEM HUMILEVSKYI, fotograf, ekonom, inżynier. Członek szkoły fotografii artystycznej i konceptualnej MYPH. Laureat wielu nagród, m.in.: Global Peace Photo Award 2022, PinchukArtCentre Prize 2022, finalista Rotlicht Festival 2023, Kolga Tbilisi Photo Award 2025, Rovinj Photodays Award 2025. Urodził się w Mikołajowie w Ukrainie.



Cykl *W kadrze* sponsoruje **Fotofestiwal – Międzynarodowy Festiwal Fotografii w Łodzi**.

FOTOFESTIWAL
SZTUKA | WSPÓŁPRACA | SPOŁECZNOŚĆ

PROZA

# Mów mi Milo

*tekst* WOJCIECH CHAMIER-GLISZCZYŃSKI

—

Najpierw krzątanina podczas cumowania potężnego liniowca Regency III przy nabrzeżu w greckim porcie. Kotwica na łańcuchu, grube liny, manewry personelu z krótkofalówkami. Potem rzeka ludzi wylewająca się trapem z wyjścia na pokładzie czwartym. Ponad 1500 pasażerów ustawia się w kolejce na betonowym molo prowadzącym do pawilonu informacji turystycznej, gdzie można zamówić taksówkę albo wynająć elektryczną hulajnogę. Fale pastelowych koszulek i plecionych torebek, panie w słomkowych kapeluszach i ciemnych okularach, panowie w białych mokasynach i zarzuconych na ramiona swetrach od Ralpha Laurena. Moment po otwarciu przejścia na trap jest kluczowy w pracy sekcji bezpieczeństwa promu. Wówczas najczęściej uruchamia się procedury zmierzające do schwytania złodziei kabinowych czy grasujących w tłumie kieszonkowców. Osoby, których jedynym celem jest dokonanie kradzieży i jak najszybsza ucieczka z pokładu, zaczynają działać w trakcie cumowania. Dlatego też 10 minut przed godziną zero personel odpowiedzialny za bezpieczeństwo zbiera się w pomieszczeniu kontrolnym – mrocznym pokoju zastawionym monitorami, na których w czasie rzeczywistym można obserwować obraz z kamer śledzących podejrzanych oraz funkcjonariuszy (wyposażonych w paralizatory i specjalne komunikatory podłączone do słuchawek w uchu jak u agentów Secret Service). Milo zazwyczaj zjawiała się ostatnia, w dodatku spóźniona.

– Najwyższy czas, Milo – mruknął z przekąsem funkcjonariusz Gambrill, wymawiając to: „Mailoł". Zupełnie tak, jak wabił się ten słodki terierek z *Maski*, filmu z Jimem Carreyem.

Używała ksywy „Milo", od kiedy znalazła pracę na promie kursującym między Calais a Dover. Potem okazało się, że armator obsługuje również trasę z Amsterdamu do Newcastle. Ogłoszenie przypięte do korkowej tablicy w mesie nikogo innego nie zainteresowało, ponieważ rejs w jedną stronę trwał prawie 16 godzin. Ale dla Milo to nie stanowiło problemu – nie miała żadnych zobowiązań: męża ani dzieci, znajomych w Dover, szkoły, nic do stracenia. Po Zenith 9 przyszły kolejne promy, aż w końcu Milo trafiła na Regency III – luksusowy liniowiec kursujący wzdłuż wybrzeży basenu Morza Śródziemnego.

Funkcjonariusz Gambrill był głównym oficerem operacyjnym zatrudnionym do prowadzenia postępowań wyjaśniających i zabezpieczania materiałów dowodowych dla odpowiednich służb. Musiał współpracować z Milo, ale bardzo tego nie lubił. Uważał, że dziewczyna wtrąca się w nie swoje sprawy i jest zbyt wścibska, w gruncie rzeczy podejrzewał, że została zatrudniona tylko po to, żeby go szpiegować. Bardzo by się ucieszył, gdyby ją zwolniono.

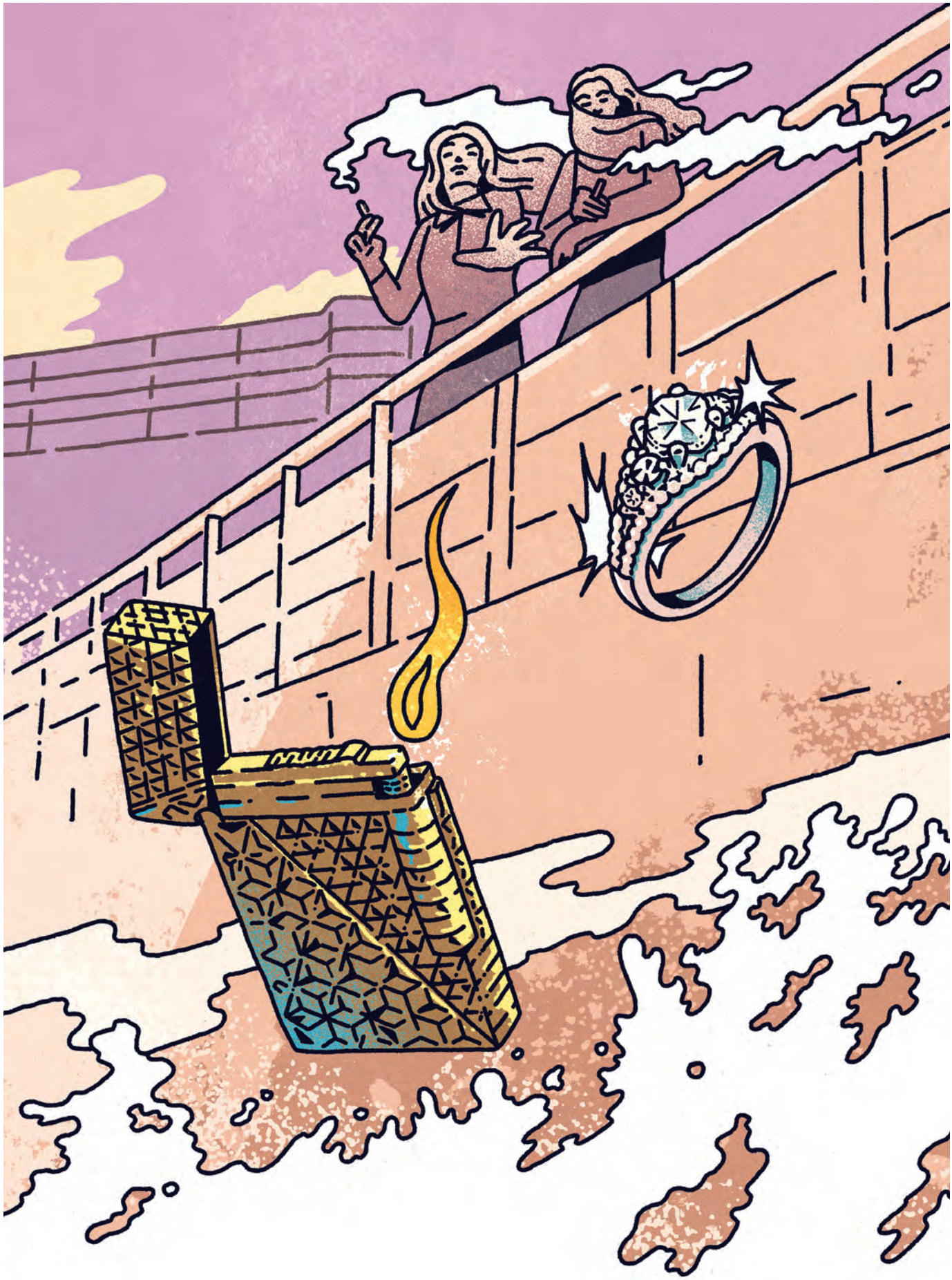
– Mamy go! – zawołał jeden z techników siedzący najbliżej bocznego monitora. Na ekranie obserwowali postać w białym kombinezonie wychodzącą z kabiny pasażerskiej z wózkiem na brudną pościel i ręczniki – zapewne pełnym kradzionych przedmiotów. Facet miał czapeczkę nisko nasuniętą na czoło i maseczkę covidową.

– Pewnie nie zorientował się jeszcze, że zakazaliśmy sprzątaczom noszenia czapek z daszkiem. – Gambrill zaśmiał się z satysfakcją.

– Przełączam na czwórkę i piątkę. – Człowiek w czapeczce różnił się od członków ekipy sprzątającej także wzrostem, linie zatrudniały wyłącznie Filipińczyków, a do sprzątania kabin pasażerów przeważały Kolumbijki. Obie kamery śledziły drogę złodzieja przez długi korytarz pokładu dziewiątego prowadzący do głównego holu, skąd można było dostać się do wszystkich najważniejszych stref.

– Kiedy go zgarniemy?

– Poczekajmy chwilę, aż przejdzie do łącznika dla personelu i tam go złapiemy. – Łącznik był najmniej uczęszczaną częścią pokładu. Gambrill nie chciał, aby w trakcie pościgu ucierpiał jakiś przypadkowy pasażer.



*rysunek* TOMASZ KACZKOWSKI

WOJCIECH CHAMIER-GLISZCZYŃSKI, pisarz, prawnik, z zawodu radca prawny. Za książkę *Portrecista psów* otrzymał nominację do Nagrody Literackiej ArtRage 2020. Mieszka w Słupsku.

– Skręca w przejście do łącznika.

– Okej. Gotowi?

Człowiek w czapeczce rozejrzał się i przyspieszył kroku, jakby podejrzewał, że jest śledzony.

– Tylko go teraz nie spłoszcie! – warknął Gambrill do trzymanego w dłoni komunikatora. Na widok funkcjonariusza ochrony złodziej rzucił się w kierunku śluzy.

– Dobra, chłopaki, łapcie go i rzućcie na podłogę. Gupta, ty bęcwale! Przełącz na siódemkę! – Dwaj mężczyźni ruszyli biegiem.

– Przełączam na siódemkę… – Nieoczekiwanie w kadrze kamery znalazła się jakaś kobieta.

– A co ona tam robi?!

– Nie wiem, szefie, pasażerowie rzadko zatrzymują się przy wejściu do śluzy. – Funkcjonariusz Gupta był przerażony. Kobieta stała przed tablicą informacyjną z planem pokładu i wyglądało, jakby szukała drogi.

– Zgubiła się – mruknęła Milo i właśnie w tym momencie człowiek w białej czapeczce z impetem wpadł na turystkę, potrącając ją wózkiem.

– Kurwa! – wrzasnął Gupta. Dwóch potężnych funkcjonariuszy dopadło wreszcie złodzieja i powaliło go na wykładzinę.

– Zajmijcie się pasażerką do czasu przybycia funkcjonariuszki ochrony! – ryknął Gambrill przez komunikator.

– Dajcie mi dwie minuty – rzuciła Milo. Tu zaczynała się jej rola. W takich przypadkach pojawiała się na miejscu zdarzenia, żeby sprawdzić, czy któryś z pasażerów nie potrzebuje pomocy. Z pokładu dla personelu na wszystkie pozostałe można było wjechać specjalną szybkobieżną windą niedostępną dla gości. Kiedy Milo znalazła się w pobliżu kobiety, miała już przygotowaną teczkę z różnego rodzaju upominkami, bonami i voucherami do butików pokładowych Gucciego albo Raymonda Weila, za pomocą których obłaskawiała niezadowolonych pasażerów. Tym razem sprawa wydawała się jednak bardziej skomplikowana – do uszkodzeń ciała dochodziło rzadko; tego typu sytuacje wymagały szczególnego rodzaju zabiegów. Zadaniem Milo było niedopuszczenie do złożenia przez pasażera oficjalnej skargi i wystąpienia z roszczeniem odszkodowawczym. Zazwyczaj zwykła rozmowa, uśmiech i przeprosiny robiły swoje i udobruchany gość rezygnował z dalszych żądań. Jeśli tak się nie stało, Gambrill był niezadowolony, ponieważ złożenie formalnej skargi skutkowało szeregiem przesłuchań przeprowadzanych przez prawników firmy ubezpieczeniowej armatora. Rozmowa z gościem odbywała się albo w kabinie pasażera, albo w jednym z bocznych pokoi konferencyjnych.

– Nie spławicie mnie tak prędko – oświadczyła rozgniewana pasażerka. – Myślisz, ślicznotko, że zdołasz mnie kupić błyskotkami? Dajcie mi formularz skargi!

– Może mi pani mówić „Milo". Proszę wprost powiedzieć, czego pani oczekuje.

Potem w gabinecie pana Mustafy Mediny Milo musiała referować przebieg negocjacji. Po rozmowie z poszkodowaną zeszła więc na pokład dla personelu i tam, w części administracyjnej, przy okazji poprosiła o zmianę plakietki i dopisanie na niej wersalikami „MILO", żeby goście od razu zwracali się do niej tak, jak czynili to niemal wszyscy na promie. Wszyscy poza panem Mediną.

– Jasne, Milo. – Kierowniczka działu kadr obdarzyła ją swoim zawodowym uśmiechem. – Da się załatwić. Czy to samo ma być także na twojej legitymacji?

– Och! Boże, nie! Pan Medina chyba by mnie za to zabił! – Roześmiała się Milo.

Miała dwa identyfikatory. Jeden, prostą plakietkę z imieniem, nosiła zazwyczaj wpięty w klapę służbowego żakietu. W bocznej kieszeni, w skórzanej okładce, trzymała drugi – oficjalną legitymację z imieniem i nazwiskiem: Milena Malina oraz funkcją: security chief assistant. Była prawą ręką pana Mustafy Mediny, szefa ochrony, sprawującego nadzór nad 1700 członkami personelu oraz 6700 pasażerami przemierzającymi basen Morza Śródziemnego na pokładzie 50-piętrowego liniowca.

– Czekałem na panią, miss Malina. Zapraszam.

Mustafa Medina miał skórę czarną jak noc i krótko przystrzyżone włosy koloru ciemnofioletowego. Ubrany w nienaganny grafitowy garnitur siedział jak zawsze w półmroku za mahoniowym biurkiem w swoim gabinecie. Nie był zadowolony z wyników porannej akcji.

– Przekazano mi, że nie udało się pani obłaskawić pasażerki upominkami.

– Nie, ale kobieta nie zamierza składać oficjalnej skargi. – Milo usiadła na wygodnym fotelu naprzeciwko biurka. – Zaproponowałam jej rekompensatę finansową w gotówce, szybko się zgodziła.

– Rozejdzie się po kościach – powiedział pan Medina. – *Pecunia non olet*. – Miał słabość do łacińskich sentencji.

– Jedno mnie jednak dziwi w całej sprawie, szefie. Nie zgadnie pan, co znaleziono przy tym zatrzymanym mężczyźnie. Jakieś drobiazgi, łącznie warte może 50 euro. Taka kradzież to ledwie wykroczenie. – Milo zamyśliła się. – Na lądzie przesłuchają go i wypuszczą. Mam przeczucie, że coś w tej sprawie nie gra.

– Cóż, pomyślimy o tym później. Mam tu bardziej interesującą sprawę. Czy wie pani, dlaczego została wybrana na swoje stanowisko? – Z kieszeni Mediny wydobywały się dźwięki bossa novy, co kompletnie ignorował.

– Zapewne wziął pan pod uwagę wszystkie okoliczności.

Do podania o pracę na prom Regency III należało dołączyć referencje i świadectwa pracy od poprzednich pracodawców. W jednym z hoteli Milo była zatrudniona na zastępstwo w dziale BHP, co na język angielski przetłumaczono jako security and labor sanitation, stanowisko było kierownicze, lecz tylko na papierze. Kiedy przyjęto ją na służbę na Zenith 9, od razu została skierowana na szkolenie, po którym otrzymała specjalny certyfikat bezpieczeństwa.

– To przede wszystkim. – Pan Medina się zaśmiał. – Jednak nigdy pani nie mówiłem, że podczas rekrutacji przed każdym z kandydatów stawiałem kostkę Rubika. I tylko pani po nią sięgnęła. Lubię w pani gotowość do rozwiązywania łamigłówek. Proszę zostawić temat złodzieja i zająć się ważniejszą sprawą. Wydaje mi się, że mamy na pokładzie sabotażystę.

– Serio?

– Jak zdążyła pani zauważyć, nasz rejs do Bejrutu jest znacznie opóźniony. – Ponownie wybrzmiała piosenka z koncertowego albumu Stana Getza *Getz Au Go Go*, lecz tym razem pan Medina wyjął telefon z kieszeni i odrzucił połączenie. – Do tego

w Pireusie zaokrętował się bardzo ważny pasażer, fotograf pracujący na zlecenie „Harper's Magazine". Fortune Gluckmann jest specjalnym gościem pani kapitan, co oznacza, że nie będzie mu się pani narzucała.

– Panie Medina, ja...

– Wiem, że jest pani jego wielbicielką. Napisała to pani w swoim CV w części „zainteresowania". – Pan Medina oparł łokcie o polerowany blat swojego biurka. – Po przerwie proszę udać się na mostek do sternika, pan Everett wszystko pani wyjaśni.

—

MILO BYŁA WYKOŃCZONA. Przeszła do części mieszkalnej pokładu dla personelu i zamknęła się w swojej kabinie – zmyślnie urządzonym pomieszczeniu o powierzchni niemal 15 metrów kwadratowych z własną łazienką i wygodnym łóżkiem. Ta kabina była pierwszym pokojem, którego dziewczyna nie musiała dzielić z inną osobą. Jej własnym „mieszkaniem" urządzonym na beżowo i wyposażonym standardowo w instrukcję ratunkową w trzech językach oraz osobisty zestaw przeciwpożarowy. Wzięła prysznic, zaczęła studiować raporty Everetta i odwlekała moment cotygodniowej rozmowy telefonicznej z mamą.

Okłamywała ją, że jest jeszcze studentką na urlopie dziekańskim, w rzeczywistości już dawno została skreślona z listy. Gryzło ją to strasznie, ale wiedziała, że za jakiś czas powie matce, że nie wraca na uczelnię. Na razie jednak cierpliwie wysłuchiwała narzekań i napomnień, żeby szybko robiła dyplom, bo czas ucieka. Podejrzewała jednak, że matka domyśla się wszystkiego i tylko udaje naiwną, ponieważ, jak wszystkie kobiety w rodzinie Milo, jest „wiedźmą". Matka, ciotka i babka – wszystkie zgodnie twierdziły, że potrafią spojrzeć na człowieka i przez oczy zajrzeć mu w serce. Zawsze powtarzały, że ich rzemiosło ostatecznie sprowadza się do wyprowadzania złego losu w pole i miały na to specjalne zaklęcia.

Fotograf Fortune Gluckmann słynął właśnie z tego, że potrafił oszukać los i wyjść cało z każdej opresji, dlatego tak sprawdzał się jako reporter wojenny. Czy również on potrafił czarować? Milo miała wszystkie jego albumy, ustawione w rządku na chromowanej półce. Zastanawiała się, czy dziwaczne zdarzenia na pokładzie promu nie mają związku z tym człowiekiem, i obawiała się najgorszego: że obecność Fortune'a Gluckmanna sprowadzi na wszystkich nieszczęście, które on będzie mógł uwiecznić na zdjęciach. Podczas rejsu obserwowała go dyskretnie. Siadał zawsze w tym samym fotelu na wyizolowanej platformie, gdzie znajdowała się jedna z tych wygodnych lóż, z których można było podziwiać rozległy krajobraz. Był najbardziej lubianym pasażerem na górnym pokładzie, wszystko przyjmował z wdzięcznością i pogodnym zrozumieniem, stewardzi i kelnerzy go uwielbiali. Wydawało się, jakby wszystkimi zmysłami chłonął atmosferę tropikalnego rejsu. I bez przerwy robił zdjęcia. Mnóstwo



zdjęć. Interesowało go wszystko, fotografował oficerów w białych galowych mundurach, ogromne liniowce mijane w portach, pełną salę do gry w bingo, fluorescencyjne japonki pozostawione w rzędzie na brzegu basenu, smażone małże w bufecie, szklaną windę na pokład jedenasty, zawieszone na relingach kombinezony i kamizelki ratunkowe. Uważnie obserwował emerytów grających w madżonga, a potem śledził partię blackjacka albo zaciekły rober kontraktowego brydża. W porcie sfotografował przeżarte rdzą dno statku pokryte skorupiakami i morskim śluzem. Studiował przekrojowe plany promu wiszące w korytarzach na każdym pokładzie, w windach i na międzypokładach. A także ludzi: tragarzy, taksiarzy, parę emerytów z Wiednia, stewarda kabinowego i sommeliera, kelnera pokładowego, bufetowych w wysokich czapkach, sprzątaczy w niebieskich kombinezonach, staruszków gapiących się na mewy, tłuściocha śpiącego na leżaku, kobietę spaloną słońcem, niemal czarną, z papierosem w uszminkowanych na czerwono ustach otoczonych bruzdami zmarszczek. Kiedy nudził się ludźmi, wracał do przedmiotów i pejzaży: rozległych portów, betonowych placów z poustawianymi w piramidy kontenerami, restauracji, rzędów kas, wyludnionych podczas postoju w porcie pokładów z setkami pustych leżaków. Czy w ten sposób dokonywał jakiegoś spisu inwentarza przed katastrofą? Chciał uwiecznić coś, co już niedługo miało ulec zniszczeniu?

Milo poczuła ciarki na plecach.

—

KIEDY WYSZLIŚMY z portu w Pireusie, pani kapitan podała kurs 270 stopni, ale po jakimś czasie ubyło 15 – tłumaczył cierpliwie Everett. – Jako że prom sterowany jest za pomocą systemów elektronicznych, które precyzyjnie kontrolują płetwę sterową, w pierwszej kolejności – wyjaśnił – wzięto pod uwagę usterki oprogramowania. Skorygowałem kurs, ale sytuacja powtórzyła się wielokrotnie. Zrobiłem korektę na prądy, na które można natrafić w tym rejonie, i gwałtowne podmuchy wiatru, statek taki jak nasz ma duże powierzchnie boczne...

– Co było dalej?

– Co jakiś czas wprowadzaliśmy korekty, bo ciągle wyskakiwała jakaś nowa przyczyna zmiany kursu. Zastanawialiśmy się, czy to nie efekt Coriolisa, a może jakieś anomalie magnetyczne, które mogłyby zakłócać działanie instrumentów, albo niekontrolowany dryf na skutek usterki napędu i zła interpretacja danych nawigacyjnych...

– Braliście pod uwagę również mechaniczne usterki steru?

– Nasze systemy wykorzystują urządzenia elektrohydrauliczne i autopiloty. – Everett rozłożył ręce w geście rezygnacji. – System komputerowy po prostu automatycznie utrzymuje statek na kursie. Sprawdziliśmy regulatory i znaleźliśmy nietypowe zwarcia, więc zostały naprawione.

– I to załatwiło sprawę?

– Nie, potem był wyciek płynu hydraulicznego. Następnie odkryliśmy wadę produkcyjną czujnika w jednym ze zbiorników balastowych... Zupełnie jakby jakaś siła próbowała ściągnąć nas z kursu.

Wydawało się niemożliwe, żeby zmiany kursu powstały na skutek celowego działania człowieka, lecz wszystkie usterki były nietypowe, a przez to podejrzane. Milo postanowiła sprawdzić zapisy z kamer z pokładu, na którym znajdowała się maszynownia, ponieważ część nieprawidłowości wynikała z powtarzających się awarii układu napędowego. W pomieszczeniu kontrolnym wraz z funkcjonariuszem Guptą skrupulatnie przeglądali pliki z nagraniami.

– O! Dziwne, brakuje rejestrów z pokładu ósmego – zauważył skonfundowany Gupta.

– A mamy tam jakieś urządzenia sterujące?

– Nie, skąd! To pokład dla pasażerów. Ktoś musiał wykasować te nagrania.

– Może są tam jakieś urządzenia związane z nawigacją?

– To raczej bez związku z naszą sprawą – wymamrotał Gupta, przygryzając dolną wargę.

Ubytek w plikach odkryty przypadkiem przez Guptę zastanowił Milo. Jaki interes miałby sabotażysta w kasowaniu przypadkowych zapisów i jak dostał się do pomieszczenia kontrolnego na pokładzie dostępnym jedynie dla personelu? Z zamyślenia wyrwało ją głośnie pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł marynarz.

– Znów mamy awarię napędu. Nie uwierzycie, co wkręciło się w śrubę – powiedział.

– Co takiego?

– Krowa!

Okazało się, że kilka mil od promu zatonął transport bydła. Przynajmniej część z dziwnych wypadków nie mogła zostać wywołana celowo przez sabotażystę. Wyglądało na to, że los bawił się promem jak zabawką.

Milo wyszła przewietrzyć głowę na taras pokładu jedenastego, tam na rufie wyjęła paczkę papierosów. Morze było niebieskozielone, ślad pozostawiony przez śrubę jaśniał rozbulgotaną akwamaryną. W dali neonowy błękit przechodził w rozwodnione indygo, a za rafami woda ciemniała, przybierając kolor fioletowy. Miliony drgnień, roziskrzona powierzchnia wody i oślepiające światło słońca chylącego się ku zachodowi. W zamyśleniu prawie nie zauważyła pasażerki, która stała przy barierce i patrzyła w morze, w prawej dłoni trzymając niezapalonego papierosa. Sprawiała dziwne wrażenie. Trudno stwierdzić, czy chodziło o ten szczególny układ ramion, nietypowe pochylenie czy charakterystyczne drgania żuchwy, a może wszystko to naraz, w każdym razie Milo zawsze potrafiła rozpoznać człowieka, który ma zamiar rzucić się do wody. Takie sytuacje zdarzają się dość często i armator miał na tę okoliczność specjalne procedury, jednak Milo wolała własne sposoby. Podeszła do kobiety, zaproponowała ogień i sama zapaliła.

– Palić w towarzystwie zawsze raźniej. – Uśmiechnęła się, po czym wyrzuciła do wody złotą zapalniczkę, którą dostała w prezencie od pewnego arabskiego szejka w podziękowaniu za pomoc w zatuszowaniu niezręcznej sprawy.



– Co pani robi?

– To na szczęście. Powinna pani spróbować. Poświęcając coś, ocala się siebie. Tak mówi moja babcia.

– Szczęście? Nie ma już chyba nic, co chciałabym ocalić. Proszę spojrzeć na te perły. – Kobieta odwróciła się i Milo zobaczyła, że pod oczami ma rozmazany tusz. – A tę suknię kupiłam u Balenciagi, i co to dało? Jaki jest sens przydawania blasku czemuś, co dawno przeminęło? Jestem brzydka.

– Wiem, co chciała pani zrobić. Proszę lepiej wyrzucić jakiś przedmiot, nawet jeśli wydaje się to pani niedorzeczne. Cokolwiek, na przykład tę koszmarną broszkę.

– Dobrze. To prezent od tego kurwiarza, mojego męża… – Kobieta odpięła broszkę i z zaciętą miną cisnęła ją do wody. – Może jeszcze kolczyki i pierścionek… – Kolejne przedmioty lądowały w morzu. – Te perły…

– Stop! Mam pomysł. Mówiła pani, że to suknia od Balenciagi?

Milo chwyciła kobietę za rękę i pociągnęła ją za sobą. Po chwili dotarły na piętro niżej, na pokład dziesiąty, gdzie mieścił się luksusowy butik. W laboratoryjnej przestrzeni ze szkła i betonu stały przyobleczone w suknie wytworne manekiny, każdy miał własną scenę, jak gdyby był dziełem sztuki, a nie zwykłym użytkowym przedmiotem. Na samym środku butiku królował postindustrialny kontuar z cortenu, a za nim stała ekspedientka w minimalistycznym uniformie przypominającym ubiór stewardes arabskich linii lotniczych.

– Cześć, Milo. Mogę w czymś pomóc? – spytała.

– Cześć, Cindy. Tak. Interesuje nas jeden z twoich manekinów.

—

PÓŹNIEJ NA PROMIE gruchnęła wieść, że dzięki opóźnieniom rejsu statek uniknął katastrofy. W Bejrucie, tuż przy nadbrzeżu, gdzie planowo zacumować Regency III, eksplodowała saletra amonowa składowana w jednym z magazynów portowych.

– Zniszczony port, budynki w mieście – opowiadał Gupta, gdy wraz z Milo obserwowali, jak marynarze wnoszą na pokład wyłowionego z wody manekina w sukni od Balenciagi. – Zginęło 200 osób, a ponad 7000 odniosło obrażenia. Mieliśmy szczęście.

– Udało ci się odzyskać nagrania? – spytała Milo. Z galerii między pokładami dobiegł dźwięk migawki, mężczyzna z aparatem pozdrowił ich uśmiechem. Wyrzucony do morza manekin narobił trochę zamieszania, ale wiadomość z Libanu chwilowo przyćmiła wszystkie inne sprawy.

Po katastrofie w Bejrucie wszelkie awarie ustały, a prom Regency III bezpiecznie dotarł do portu. Milo zrozumiała, że się myliła. Teraz była przekonana, że statek zbaczał z kursu właśnie po to, by uniknąć eksplozji. Rozszerzone szczęście Fortune'a Gluckmanna. On musiał być bezpieczny, więc upiekło się też pozostałym pasażerom. Niestety, funkcjonariusz Gambrill najwidoczniej nie zrezygnował z uprzykrzania życia Milo. Kiedy zjawiła się w gabinecie pana Mediny, siedział wygodnie w fotelu naprzeciwko biurka szefa. Sam pan Medina kipiał z wściekłości.

– Mąż jednej z pasażerek zgłosił, że namówiła pani jego żonę do wyrzucenia za burtę przedmiotów o wartości 200 tysięcy euro! – Spojrzał na ekran swojego telefonu i z furią odrzucił połączenie.

– To prawda – przyznała Milo.

– Pan Gambrill… – Medina drżącą dłonią wskazał siedzącego w fotelu funkcjonariusza – złożył oficjalny wniosek o zawieszenie pani w obowiązkach. Czy ma pani coś na swoje usprawiedliwienie? Dowiedziała się pani chociaż czegokolwiek na temat naszego sabotażysty?

– Obawiam się, że nasz tak zwany sabotażysta to po prostu ogół zjawisk. Fenomen.

– Jakich zjawisk?

– Nie wiem. Trudno to wytłumaczyć. Wydaje mi się, że to może mieć związek z naszym pasażerem. To coś bardziej złożonego. Coś jak fatum.

– Panie Medina, czy pan słyszy, co ona bredzi? – Gambrill zerwał się nagle ze swojego miejsca. – Ona absolutnie nie panuje nad tym, co mówi i robi! Ostatnie zdarzenie z niby to człowiekiem za burtą jest tego najlepszym przykładem. Okazało się, że to manekin z butiku Balenciagi. Mąż pasażerki był przekonany, że to jego żona rzuciła się do wody. Kiedy do mnie przyszedł, był zupełnie roztrzęsiony.

– Powinnam chyba przyznać, że ten manekin to także moja wina.

– Mój Boże, miss Malina… – zaczął szef ochrony, wstając z miejsca. Zerknął na wyświetlacz telefonu i przerwał. Najwyraźniej dzwoniła osoba, której nie mógł zignorować. Odwrócił się do okna i uważnie słuchał rozmówcy, potakując z zakłopotaniem. Po chwili podziękował i rozłączył się.

– Powinien pan ją zwolnić! – Gambrill poczuł krew.

– Obawiam się, że to niemożliwe. – Pan Medina odchrząknął i przetarł czoło jedwabną chusteczką. Stał tak przez chwilę pod oknem, z którego rozciągał się widok na daleki horyzont, i zbierał myśli. – Kobieta, którą Milo namówiła do tych kosztownych ekscesów, jest członkinią zarządu naszego armatora. Właśnie dzwoniła.

– Dziedziczka rodziny Kallistratos? – Gambrill był poruszony.

– Chciała podziękować za interwencję naszej „wspaniałej funkcjonariuszki". – Pan


MARILYN MONROE.

CZUJĘ, ŻE JĄ ZNAM, ALE CZASEM MOJE RĘCE WYGINAJĄ SIĘ DO TYŁU



KRUPA ART FOUNDATION

15.07 — — 25.10



RYNEK 27/28
WROCŁAW

OSOBY ARTYSTYCZNE:

ARVIDA BYSTRÖM / ELI CORTIÑAS / ANA VIKTORIA DZINIC / MILTON H. GREENE / ALISON JACKSON / MARTINA MENEGON / BORA / PAULINA PAWŁOWSKA / ERIN ROBINSON / MARTHA ROSLER / GREGOR RÓŻAŃSKI / BERT STERN / ŁUKASZ STOKŁOSA

OSOBY KURATORSKIE:

NATALIA BARCZYŃSKA / MONIKA ŁUSZPAK-SKIBA / KATARZYNA MŁYŃCZAK-SACHS / ŁUKASZ RUSZNICA

WSPÓŁORGANIZATOR

Hala Stulecia

@KRUPA_ART_FOUNDATION
KRUPAARTFOUNDATION.PL

PARTNER STRATEGICZNY

VELO PRIVATE BANKING

PARTNERZY

Xelion DOM INWESTYCYJNY

SOBOTA JACHIRA KANCELARIA PRAWNA

mizzox

ŚWIDNICKA 19

PATRONAT MEDIALNY

tvn Forbes Polska Newsweek Polska K MAG Pismo. MINT GQ Poland

Medina spojrzał na Milo. – Masz pozdrowienia. Udało ci się tym razem.

Gambrill, niepocieszony, niecierpliwie spoglądał na drzwi wyjściowe. Jego plan spalił na panewce, a co gorsza przez te pochopne oskarżenia mógł podpaść przełożonemu. Był też zażenowany faktem, że dał się tak zaskoczyć; nie sprawdził wszystkich okoliczności i w pełni polegał na informacjach przekazanych przez męża pani Kallistratos – człowieka bez realnych wpływów i najwyraźniej w niełasce.

– Cóż, skoro sprawy marginalne mamy już za sobą, powinnam jednak zreferować panu moje ustalenia na temat wypadku, do którego doszło podczas ostatniej akcji – podjęła Milo po przerwie.

– Daruj sobie, Milo, to już zamknięta sprawa. – Gambrill skierował się do wyjścia.

– Skądże znowu. I proszę zostać, bo pana to również dotyczy.

– Niech pani mówi. – Mustafa Medina westchnął, zasępił się i głębiej zapadł w fotel.

– Kiedy szukałam śladów naszego sabotażysty w pokoju monitoringu, natknęłam się na coś bardzo dziwnego. Ktoś wykasował nagrania z jednej z kamer na pokładzie ósmym. Nie miało to nic wspólnego z tamtym dochodzeniem, ale poprosiłam Guptę, aby spróbował odzyskać nagranie.

– Pewnie sam je usunął przez przypadek. Gupta to idiota! – Gambrill uśmiechnął się krzywo.

– Ten, kto skasował zapis z kamer, z pewnością nim był. – Milo rzuciła Gambrillowi wymowne spojrzenie. – Odzyskanie nagrania okazało się o wiele łatwiejsze, niż sądziliśmy. Sprawca zapomniał opróżnić kosz z usuniętymi dokumentami. Oto, co znaleźliśmy. – Milo podała panu Medinie smartfon. Na ekranie pojawił się idący korytarzem Gambrill, a po chwili jakiś inny mężczyzna. Zaczepił funkcjonariusza, którego wyraźnie to zirytowało.

– Co to za człowiek? – Zainteresował się pan Medina.

– Złodziej, który kilka godzin później został schwytany przez zespół Gambrilla – wyjaśniła Milo.

– Może pan mi to wyjaśnić, panie Gambrill?

– A co tu jest do wyjaśniania? Facet mnie zaczepił, nie wiem po co, śpieszyłem się. Nie miałem pojęcia, że to złodziej. Potem przecież sam go złapałem i wydałem w ręce policji.

– Cóż, wytłumaczenie wydaje się sensowne, miss Malina... – Szef ochrony wyglądał na zdezorientowanego.

– Myślę, że pan Gambrill był tak zdenerwowany, ponieważ wiedział, że na korytarzach promu są kamery. – Milo przewinęła nagranie do fragmentu, gdzie Gambrill potrząsa nerwowo ręką i wskazuje na kamerę. – Cała sytuacja od początku wydawała się podejrzana: bezwartościowe przedmioty znalezione przy złodzieju, następnie skwapliwa zgoda poszkodowanej na wypłatę rekompensaty w gotówce...

– Licz się ze słowami, Milo! – zawołał Gambrill.

– Sądzę, że prawdziwym celem złodziei nie była kradzież, tylko wyłudzenie odszkodowania. Postanowiłam oznaczyć gotówkę i spryskać ją bardzo rzadkimi perfumami, które dostałam w prezencie od pani Kallistratos, ponieważ podejrzewałam, że złodzieje byli w zmowie z kimś z załogi.

– Panie Medina, żądam przywołania tej bezczelnej dziewczyny do porządku! Jestem funkcjonariuszem o nieposzlakowanej opinii, nie pozwolę się obrażać. Już dziadek pani Kallistratos... – Gambrill rozpoczął długą tyradę na temat lat doświadczenia oraz ogromu zasług, dzięki którym został jednym z najbardziej zaufanych konsultantów rodziny Kallistratos w dziedzinie bezpieczeństwa. Przerwał, gdy do gabinetu wszedł funkcjonariusz Gupta z plikiem banknotów w foliowej torebce.

– Znaleźliśmy te pieniądze w gabinecie pana Gambrilla, sir.

– Proszę powąchać, szefie. – Zachęciła Milo.

Gupta wyjął z torebki pieniądze i gabinet zwierzchnika wypełniła tajemnicza i lekka woń, jak gdyby ktoś uchylił okno w dusznym pomieszczeniu i do środka wpadła cytrusowa bryza. Rozbrzmiał stłumiony dźwięk saksofonu Stana Getza. To telefon w kieszeni pana Mediny znów domagał się uwagi.

Więcej opowiadań przeczytasz lub wysłuchasz na **magazynpismo.pl/proza**



# LOT KINO LETNIE

## W STRONĘ ZACHODZĄCEGO SŁOŃCA

### CZERWIEC
*start 21:30*

- wtorek 2 — **Mamma Mia!** reż. P. Lloyd
- czwartek 4 — **Grzesznicy** reż. R. Coogler
- sobota 6 — **Wielki Marty** reż. J. Safdie
- wtorek 9 — **Erin Brockovich** reż. S. Soderbergh
- czwartek 11 — **Dzień świra** reż. M. Koterski
- sobota 13 — **Proud** **Premiera serialu HBO Original reż. K. Klementewicz*
- wtorek 16 — **Whiplash** reż. D. Chazelle
- czwartek 18 — **Sirât** reż. O. Laxe
- piątek 19 — **SILENT DISCO** start: 22:00
- sobota 20 — **Amelia** reż. J.-P. Jeunet
- wtorek 23 — **Mad Max: Na drodze gniewu** reż. G. Miller
- czwartek 25 — **Piknik pod wiszącą skałą** reż. P. Weir
- sobota 27 — **Supersamiec** reż. G. Mottola
- wtorek 30 — **Pomoc domowa** reż. P. Feig

**WSTĘP BEZPŁATNY**

### LIPIEC
*start 21:30*

- czwartek 2 — **Kocha, lubi, szanuje** reż. G. Ficarra, J. Requa
- sobota 4 — **F1** reż. J. Kosinski
- wtorek 7 — **Donnie Darko** reż. R. Kelly
- czwartek 9 — **Amadeusz** reż. M. Forman
- sobota 11 — **Madagaskar** reż. E. Darnell, T. McGrath
- wtorek 14 — **Noce i dnie** reż. J. Antczak
- czwartek 16 — **Skomplikowani** reż. M. A. Covino
- piątek 17 — **SILENT DISCO** start: 22:00
- sobota 18 — **Na rauszu** reż. T. Vinterberg
- wtorek 21 — **Bałtyk** reż. I. Lis
- czwartek 23 — **Left-Handed Girl** reż. S. Tsou
- sobota 25 — **Bodyguard** reż. M. Jackson
- wtorek 28 — **Surfer** reż. L. Finnegan
- czwartek 30 — **Pamiętnik** reż. N. Cassavetes

od **02.06**
do **05.09.2026**

### SIERPIEŃ
*start 20:30*

- sobota 1 — **Tajny agent** reż. K. M. Filho
- wtorek 4 — **Drama** reż. K. Borgli
- czwartek 6 — **Wielkie piękno** reż. P. Sorrentino
- sobota 8 — **Bez wyjścia** reż. P. Chan-wook
- wtorek 11 — **Listy z Wilczej** reż. A. Talwar
- czwartek 13 — **Anioł stróż** reż. A. Ansari
- sobota 15 — **Wartość sentymentalna** reż. J. Trier
- wtorek 18 — **Tamte dni, tamte noce** reż. L. Guadagnino
- czwartek 20 — **GoldenEye** reż. M. Campbell
- piątek 21 — **SILENT DISCO** start: 22:00
- sobota 22 — **Kokuho** reż. L. Sang-il
- wtorek 25 — **Miłość, która zostaje** reż. H. Pálmason
- czwartek 27 — **Lalka** reż. W. J. Has
- sobota 29 — **Dwunastu gniewnych ludzi** reż. S. Lumet



### WRZESIEŃ
*start 20:30*

- wtorek 1 — **Wielki Łuk** reż. S. Demoustier
- czwartek 3 — **La La Land** reż. D. Chazelle
- piątek 4 — **SILENT DISCO** start: 22:00
- sobota 5 — **Czas na miłość** reż. R. Curtis

**W KAŻDY WTOREK, CZWARTEK I SOBOTĘ PO ZACHODZIE SŁOŃCA**

WIĘCEJ INFORMACJI

KINOTEKA.PL

ORGANIZATOR: KINOTEKA

PARTNER TYTULARNY: LOT

PARTNERZY: BYD, foodify, TK maxx, mamyito.pl, HORTEX, Oxford, Bank Pekao, Bakoma, KINLEY, NESPRESSO

WSPÓŁORGANIZATORZY: m.st. Warszawa, Polski Instytut Sztuki Filmowej

WSPARCIE: KINDS, WEALTHON

PATRONI MEDIALNI: FILMWEB, STRÖER, VIVA!, Pismo, SKM, melo., chillizet, ZET



REPORTAŻ

# Ja mam to nieśmieszne

*tekst* DOROTA BIDZIŃSKA

**Wraz z rozwojem się wiedzy o neuroróżnorodności rośnie liczba diagnoz ADHD i spektrum autyzmu. Ale ta popularność ma też drugą stronę: coraz częściej diagnoza staje się memem.**

*rysunki* RAFAŁ KWICZOR



DOROTA BIDZIŃSKA, reporterka, wolontariuszka krakowskiej Fundacji Po pierwsze CZŁOWIEK, autorka książki reportersko-historycznej *Republika pobożnych. Chasydzka historia Polski*. Publikowała m.in. w „Gazecie Wyborczej", „Przeglądzie", „Tygodniku Powszechnym" i „Znaku". Interesuje się dziennikarstwem rozwiązań.

Jakie leki na ADHD bierzesz? Co polecasz?" – Emilia Fiedorowicz takie pytania dostaje bardzo często. Od ośmiu lat prowadzi na YouTubie kanał *zakrecovnia*. Zaczynała od porad dotyczących pielęgnacji i stylizacji kręconych włosów, z czasem w filmach zaczęła poruszać także inne tematy, pokazywać różne aspekty swojego życia. W 2022 roku podzieliła się z widzkami i widzami informacją, że dostała diagnozę ADHD. Od tego czasu regularnie publikuje filmy, w których opowiada o tym, jak próbuje sobie radzić z trudnościami wynikającymi ze specyficznego stanu neurorozwojowego.

– Na pytania o leki zawsze daję odpowiedzi odmowne. To by było skrajnie nieodpowiedzialne, gdybym udzielała takich porad – wyraźnie zaznacza Emilia. – Swoją drogą to jest znak naszych czasów, że w oczach ludzi influencer wydaje się mądrzejszy niż lekarz, który powinien im te leki dopasować.

Podkreśla, że kiedy przygotowuje filmy o ADHD na swój kanał, stara się być ostrożna.

– Po pierwsze zanim coś opublikuję, sprawdzam, czy nie powielam jakichś głupot, fałszywych informacji i stereotypów, na przykład że wszyscy ludzie z ADHD są kreatywni albo że osoby z ADHD są spontaniczne, więc nie potrzebują wypracowywać rutyn. Po drugie wyraźnie zaznaczam, że dzielę się w filmach wyłącznie własnym doświadczeniem. To, co mówię, to nie jest jakaś prawda objawiona, tylko rzeczy, które sprawdziły się u mnie w kontekście organizacji pracy, porządku, utrzymywania relacji. Często powtarzam, że choć te rozwiązania dobrze działają u mnie, nie oznacza to, że będą one pomocne dla każdej osoby z diagnozą ADHD.

Jej filmy zbierają wiele pozytywnych komentarzy: „Ten vlog zrobił mi dobrze. Jestem świeżo po diagnozie AuDHD [spektrum autyzmu i ADHD – przyp. red.] i staram się właśnie odmaskować i żyć w końcu w zgodzie ze sobą. Cieszę się, że mogę oglądać taką autentyczną i szczerą osobę. Widać, że dobrze czujesz się ze sobą, ale bez wywyższania się nad innymi, lubię cię" – pisze ktoś pod jednym z nich. Emilia mówi, że najbardziej cieszy się, gdy dostaje sygnały, że ktoś ją obejrzał i potraktował wypowiedź jako impuls do poszukania diagnozy albo rozpoczęcia farmakoterapii. Wzruszają ją komentarze od osób, które włączyły film, bo chcą lepiej zrozumieć, jak czują się ich bliscy z ADHD. Ale są też takie głosy: „Słuchając wywodu o ADHD, nie umiem oprzeć się wrażeniu, że «objawy», o których mówisz, opisują po prostu DOROSŁOŚĆ. Mnie też nie chce się podnieść skarpetki, odpisać na trudnego maila w pracy, nie umiem wybrać się z domu w krótkim czasie. *Well*... Słomiany zapał to również choroba psychiczna?". Odpowiada krótko, cytując jeden z memów, na który się kiedyś natknęła: „*Well*, Karen, każdy sika, ale jeśli ktoś robi to 20 razy na godzinę, jest to alarmujące".

Jej własna droga do diagnozy była kręta. Impulsem stała się rozmowa ze znajomą psycholożką, która też miała ADHD. Słuchając o jej objawach, pomyślała: „Mam tak samo!". Wspomina, że wtedy po raz pierwszy poczuła się w pełni zrozumiana. Jednak psychiatra, do którego potem się zgłosiła, na każdym kroku dawał jej odczuć, że do jej podejrzeń podchodzi co najmniej sceptycznie. Wyszła z gabinetu z diagnozą zaburzeń osobowości typu borderline. – Byłam w szoku. Zadzwoniłam wtedy do mojej przyjaciółki psycholożki, która poradziła mi, żebym powtórzyła badanie, ale u lekarza, który specjalizuje się w neuroróżnorodności. U psychiatrki poczułam się wreszcie wysłuchana – opowiada Emilia.

Kiedy potwierdziło się, że ma ADHD, poczuła ulgę. – Okej, więc jednak nie oszukiwałam siebie i innych dookoła. Nie jestem wariatką, która coś sobie wymyśliła. Fakt, że zawsze czułam, jakbym nie miała instrukcji obsługi życia, jakbym była trochę z tyłu, nie wziął się znikąd. Potem pojawiły się u mnie wszystkie etapy żałoby. Była złość na moją przeszłość. Na rodziców, nauczycieli, którzy przecież widzieli, że jestem trochę inna niż rówieśnicy, impulsywna – wyjaśnia. Przyznaje, że nie zawsze radziła sobie z agresją, zdarzało się jej krzyknąć, nawet kogoś popchnąć. Potem bardzo się tego wstydziła. Dziś zastanawia się, dlaczego nikt jej wtedy nie pomógł?

– Pojawiło się też dużo współczucia do samej siebie, takiego utulenia Emilki z przeszłości, która nie rozumiała stawianych jej oczekiwań, a jednak musiała im sprostać. Wkurzało mnie więc, kiedy w sieci trafiałam na filmiki w stylu: biegam po domu i szukam kluczy, bo mam ADHD, ciągle się spóźniam – bo mam ADHD. No *sorry*, życie z ADHD to spore wyzwanie i fajnie, jeśli możesz je sobie ułożyć tak, żeby lepiej ci się funkcjonowało, ale to nie znaczy, że mam przy tym nie szanować innych – podkreśla. Mając na uwadze własne długotrwałe układanie się z diagnozą i wynikającym z niej obrazem siebie, postanowiła, że na swoim kanale będzie unikać tworzenia humorystycznych treści, które trywializują życie z zaburzeniem.

Irena – która diagnozę dostała w wieku 45 lat – też z niechęcią podchodzi do karykaturalnego obrazu ADHD, który pojawia się od czasu do czasu w mediach. – Wkurza mnie, gdy w telewizyjnym reality show pokazuje się ludzi, którzy nigdy nie wiadomo co wykręcą, narobią jakichś niesamowitych głupot, a potem na wizji tłumaczą się: „Bo to ja i moje ADHD". I potem idzie w świat przekaz, że wszyscy adehadowcy są szurnięci. Tymczasem ja nawet największemu wrogowi nie życzę, żeby miał takie problemy jak osoba z ADHD, bo to jest wieczne umniejszanie siebie, ogromny ból wewnętrzny.

– Kiedy widzę takie zabawne filmiki, to myślę sobie, że to chyba inne ADHD niż to moje, bo ja takiego śmiesznego nie mam – ironizuje Julia Tarasiewicz, wiceprezeska ATTENTIO – Stowarzyszenia Osób Dorosłych z ADHD, która jest w spektrum autyzmu i ADHD. Na Instagramie prowadzi samorzeczniczy kanał *kociawruszka*. Stara się, żeby treści, które tworzy, były jak najbardziej wspierające dla osób na co dzień mierzących się z neuroatypowością.

– Cieszę się, gdy słyszę od ludzi, że u mnie czują się przytuleni przez internet – komentuje.

„CZY MAM AUTYZM?"; „Czy mam ADHD?" – Wpisuję pytania w okno wyszukiwarki i znajduję odnośniki do testów i quizów, które mają dać mi odpowiedź. Jedne kuszą kompleksowym opisem wyników za niecałe siedem złotych, inne są zupełnie darmowe. Tylko w przypadku niektórych zostało zaznaczone, że mam do czynienia z wystandaryzowanym narzędziem psychologicznym, a nie przypadkowym i zupełnie losowym opisem objawów kojarzonych z danym

zaburzeniem. Ale jak dowiaduję się później od diagnostów, nawet w przypadku tych profesjonalnych testów wynik wcale nie musi być wiążący. Nie wszystkie strony zawierają zastrzeżenie, że test może dać tylko wstępne rozpoznanie i nie zastąpi profesjonalnej diagnozy.

– Nie ma czegoś takiego jak test na ADHD – tłumaczy Tomasz Gondek, lekarz psychiatra, współautor rekomendacji dotyczących diagnostyki i leczenia dorosłych osób z ADHD opracowanych przez Sekcję Kształcenia Specjalistycznego Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego i koalicję organizacji na rzecz osób z ADHD. – Są narzędzia przesiewowe do samodzielnego wypełnienia, które mogą stanowić wskazanie do dalszej diagnostyki. Ocena, czy objawy występują istotnie częściej i wpływają na to, że dana osoba gorzej radzi sobie z trudnościami, to rola specjalisty. Miałem ostatnio pacjenta, który w teście ASRS-v1.1 [Adult ADHD Self-Report Scale – przyp. red.] udzielił takich odpowiedzi, że na sześć głównych objawów nie wskazał ani jednego. Dopiero dalszy wywiad pokazał, że nie do końca dobrze zrozumiał pytania i ostatecznie postawiłem diagnozę potwierdzającą. Z tego powodu, że testy te mają swoją czułość i swoistość, więc istnieje ryzyko wskazań fałszywie dodatnich i fałszywie ujemnych, nie rekomenduje się wykonywania ich w całej populacji. Bo gdyby dać je wszystkim, mielibyśmy rzesze osób z fałszywie dodatnią diagnozą.

Klaudia Soborska, psycholożka, seksuolożka i diagnostka w krakowskim Centrum Zdrowia Psychicznego i Seksualnego PROGRES, specjalizująca się w diagnozie i wsparciu neuroatypowości, podkreśla: – Taki test może być dla kogoś ważnym impulsem, żeby zastanowić się nad sobą i sięgnąć po pomoc. Trudność polega na tym, że osoba po uzyskaniu pozytywnego wyniku często zaczyna interpretować go jako ważną część swojej tożsamości. Tymczasem to dopiero dalsze rozpoznanie może go potwierdzić lub wykluczyć.

Większość moich rozmówców, opisując swoją diagnozę u specjalisty, wspomina, że wywiad kliniczny był przeprowadzony za pomocą narzędzia DIVA [Diagnostic Interview for ADHD in Adults – przyp. red.] opracowanego przez holenderską organizację non profit DIVA Foundation, według kryteriów ADHD zawartych w amerykańskiej klasyfikacji chorób DSM-5 [*Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders – Kryteria diagnostyczne zaburzeń psychicznych* – przyp. red.]. Jedna z osób opowiada, że gdy zaczęła podejrzewać u siebie ADHD, znajoma psycholożka podesłała jej link do tego scenariusza wywiadu, żeby wypełniła go sobie samodzielnie. – To poważny i niestety dość częsty błąd. Tak naprawdę DIVA jest „ściągą" dla diagnosty, pomocną w przeprowadzaniu wywiadu. Wypełniona przez pacjenta nie daje żadnych wiążących odpowiedzi – mówi Gondek.

*Liczba pacjentów po diagnozie rośnie. Podczas gdy w 2010 roku NFZ zarejestrował około 1,4 tysiąca dorosłych leczonych z powodu ADHD, w 2023 roku w rejestrze było ponad 11 tysięcy osób.*

W ciągu ostatnich kilkunastu lat liczba pacjentów ze spektrum autyzmu i ADHD w Polsce gwałtownie wzrosła. Statystyki Ministerstwa Zdrowia pokazują, że podczas gdy w 2012 roku zarejestrowano niemal 19 tysięcy rozpoznań autyzmu oraz zespołu Aspergera, to w 2023 roku było ich już ponad 131 tysięcy. To aż siedmiokrotny wzrost. W przypadku ADHD – od 2010 do 2024 roku – liczba pacjentów się podwoiła: z 32 tysięcy do 64 tysięcy. Wyraźnie zwiększyła się liczba diagnoz zwłaszcza u osób dorosłych. W 2012 roku pacjentów w spektrum autyzmu powyżej 18. roku życia było zaledwie nieco ponad 2 tysiące, w 2023 roku – już 21 tysięcy. Podczas gdy w 2010 roku NFZ zarejestrował tylko około 1,4 tysiąca dorosłych leczonych z powodu ADHD, w 2023 roku w rejestrze było ponad 11 tysięcy osób.

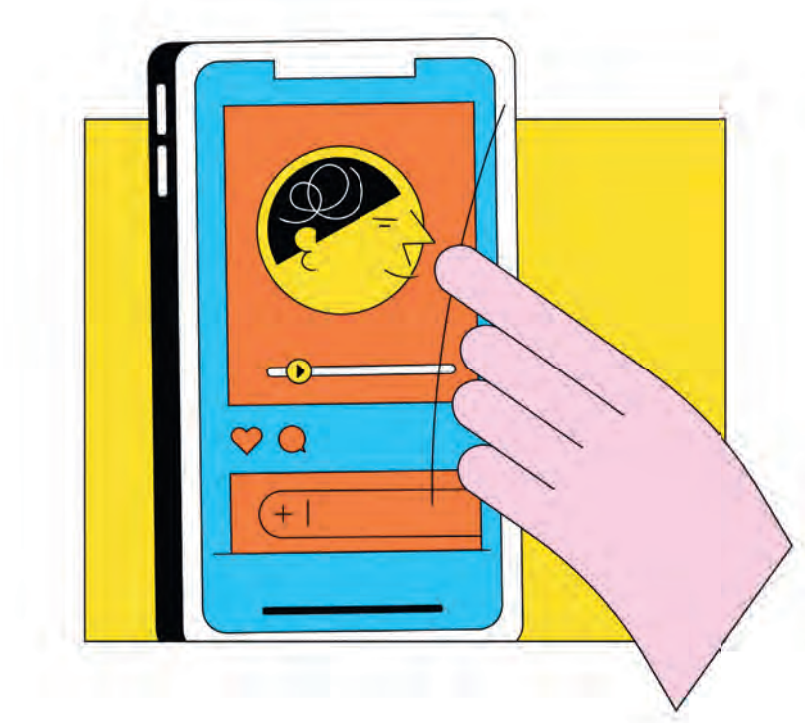
Jednak jak przekonuje Gondek, liczba odnotowanych diagnoz jest wciąż nieproporcjonalnie niska w stosunku do szacunkowej częstości występowania tych zaburzeń w populacji. W przypadku spektrum autyzmu, za punkt wyjścia biorąc dane Światowej Organizacji Zdrowia oraz te wynikające z badań, szacuje się, że dotyka ono blisko 370 tysięcy Polaków, ADHD natomiast około miliona dorosłych w naszym kraju. – Czyli nadal diagnozę i adekwatne leczenie otrzymuje nikły procent osób, które tego potrzebują. Patrząc na bardzo szybki wzrost diagnoz w tym kierunku, wydaje nam się, że mamy do czynienia z modą na ADHD, ale w rzeczywistości tylko próbujemy nadrobić wcześniejsze braki w tym zakresie. Przez lata w ogóle nie prowadzono diagnostyki wśród dorosłych – podkreśla Gondek.

Sławomir Gadek, prezes Stowarzyszenia ATTENTIO, diagnozę ma od dzieciństwa. – Nagle wszyscy mają ADHD? Nie wszyscy. Tylko po prostu w populacji takich osób jest stosunkowo dużo. Miałem szczęście, bo w szkole dostałem sporo wsparcia, co wcale nie było tak oczywiste w wiejskiej placówce, na początku lat 2000. Jednak większość ludzi w naszym stowarzyszeniu ma zupełnie inne doświadczenia. Diagnozę otrzymali dopiero w wieku 20, 30, a czasem nawet 40 lat.

—

JA I ADHD? Początkowo w ogóle mi to nie pasowało, bo w głowie miałam raczej taki stereotypowy obraz. Mam znajomą, Ankę, która dosłownie biega po suficie. Więc ona tak, na pewno. Ale ja? Dopiero później zaczęłam czytać, że objawem u kobiet rzadziej jest takie klasyczne kręcenie się, a bardziej niepokój wewnętrzny. I to by się zgadzało – mówi 45-letnia Ewa, którą poznaję za pośrednictwem grupy wsparcia Mam ADHD prowadzonej na Facebooku. Diagnozę ma od dwóch miesięcy. Sama proponuje mi rozmowę, bo bardzo by chciała, żeby jej doświadczenia pomogły innym osobom w szukaniu adekwatnej pomocy.

Anna Szczegielniak, psychiatrka, która również brała udział w tworzeniu rekomendacji diagnostyczno-terapeutycznych dla dorosłych z ADHD, zauważa, że kobiety diagnozę zespołu nadpobudliwości ruchowej z deficytem uwagi otrzymują średnio pięć lat później niż mężczyźni. Pokazują to wyniki badań – przeprowadzonych przez zespół doktorki Silvii Amoretti w jednym z barcelońskich szpitali – zaprezentowane w październiku 2025 roku na Kongresie Europejskiego Towarzystwa Neuropsychofarmakologii (ECNP) w Amsterdamie.



Szczegielniak wyjaśnia, że opóźnienie w dużej mierze wynika z oparcia kryteriów diagnostycznych na męskim fenotypie zdominowanym przez hiperaktywność ruchową, podczas gdy u kobiet ADHD częściej przybiera formę zinternalizowaną, objawiającą się deficytami uwagi i dysregulacją emocjonalną. Niemałą rolę odgrywa jednocześnie proces socjalizacji. Podczas gdy społecznie przyjęte jest, że chłopiec będzie urwisem skaczącym po drzewach, ganiającym za piłką, skorym do wygłupów i bójek z kolegami, od jego koleżanki oczekuje się, że będzie zorganizowana, spokojna, uległa i uważna na potrzeby innych. To sprawia, że dziewczynki w dużo młodszym wieku uczą się sztuki maskowania i ukrywania niepożądanych objawów.

– Ogromnym plusem ostatnich lat jest bardziej inkluzywne podejście do diagnozy, uwzględniające aspekt maskowania. No bo nie oszukujmy się: dawne kryteria diagnostyczne rzeczywiście były tworzone głównie na podstawie badań prowadzonych wśród chłopców i mężczyzn, co przez lata wpływało na niedodiagnozowanie dziewcząt i kobiet. Pierwszy krok do wypełnienia tej luki zrobiono już w DSM-5 z 2013 roku, gdzie dopuszczono, że objawy mogą być maskowane przez wyuczone strategie. Dopiero jednak DSM-5-TR z 2022 roku nazwało to wprost: zaznaczono, że dziewczynki, kobiety i dorosłe osoby silnie kompensują swoje cechy, przez co często latami są błędnie diagnozowane jako cierpiące na zaburzenia lękowe czy depresję. Podobny kierunek widać też w międzynarodowej klasyfikacji chorób ICD-11, które obowiązuje od 2022 roku [w Polsce nie wyznaczono jeszcze oficjalnego terminu wprowadzenia najnowszej klasyfikacji – choć jak inne kraje ma ona pięć lat na jej wdrożenie – ale wielu specjalistów już z niej korzysta – przyp. red.], więc to zmiana naprawdę świeża, od kilku lat wchodząca do praktyki klinicznej – wyjaśnia Soborska.

– Kamuflaż objawów utrudnia postawienie trafnej diagnozy, a dla pacjentek często wiąże się z dużym obciążeniem psychicznym, które stopniowo prowadzi do obniżenia samooceny i wypalenia. W konsekwencji obserwujemy rozwój zaburzeń depresyjnych lub lękowych. Wtedy pojawia się ryzyko, że lekarz zauważy jedynie wysuwającą się na pierwszy plan depresję, a nie leżące u jej podłoża ADHD. Pamiętam jedną z moich pacjentek w wieku około 40 lat, z dobrą pracą i imponującymi osiągnięciami. Jednak ten widoczny na pierwszy rzut oka sukces był okupiony złożonymi strategiami kompensacyjnymi i długotrwałym funkcjonowaniem z niezaspokojeniem własnych potrzeb. Wszyscy dookoła widzieli kompetentną, choć być może nieco lękową, kobietę, nie dostrzegając gigantycznego wysiłku, jaki wkłada ona w utrzymanie tej fasady – tłumaczy Szczegielniak.

*Diagnoza zaburzeń neurorozwojowych opiera się wyłącznie na wywiadzie, analizie objawów i ocenie ich wpływu na funkcjonowanie. Nie sposób powiedzieć, czy pacjent ma ADHD, na podstawie badania poziomu hormonów we krwi.*

Ewa – zanim usłyszała, że ma ADHD – po pomoc psychiatryczną zgłaszała się wielokrotnie. Za każdym razem, gdy przydarzała się jej stresująca sytuacja, czuła, że nie potrafi sobie poradzić z towarzyszącym jej zdenerwowaniem. – Z tego, co zauważyłam, to psychiatrzy w ogóle nie zadają dogłębnych pytań. Są nerwy, kłopoty z koncentracją i snem? Zwykle wtedy słyszałam, że mam zaburzenia adaptacyjne lub zaburzenia depresyjno-lękowe. Dostawałam receptę na antydepresanty. Na jakiś czas się poprawiało, ale później wracały te same objawy. Wciąż mam ogromny wewnętrzny wnerw i żal do systemu, że to tak źle działa – przyznaje Ewa.

Gondek tłumaczy, że prawidłowa diagnoza to złożony proces, który wymaga czasu. – Wyzwaniem jest wiele objawów transdiagnostycznych, to znaczy mogą występować w przypadku innych zaburzeń, a nawet na skutek zmęczenia, przeciążenia, niewyspania. Dodatkowo geny, które wpływają na ryzyko ADHD, przekładają się też na występowanie innych zaburzeń, mamy więc do czynienia z nakładaniem się ryzyka zachorowań. Zjawisko współchorobowości jest bardzo rozpowszechnione. Przyjmuje się, że nawet 80 procent dorosłych z ADHD ma co najmniej jedno towarzyszące zaburzenie psychiczne (nastroju, lękowe, związane z używaniem substancji psychoaktywnych czy osobowości). W takich przypadkach nie tylko diagnostyka jest trudniejsza, ale też leczenie może być inne, bo na przykład konieczne okazuje się ustabilizowanie innych problemów, zanim wdrożymy farmakoterapię pod kątem ADHD.



Diagnoza zaburzeń neurorozwojowych opiera się wyłącznie na wywiadzie, analizie objawów i ocenie ich wpływu na funkcjonowanie. Nie sposób powiedzieć, czy pacjent ma ADHD, na podstawie badania poziomu hormonów we krwi. Co prawda w podcaście influencerki Oliwii Nincevic *Bo chcę wiedzieć* Julia Wieniawa, opowiadając o sobie, stwierdziła: „Robiłam sobie badanie u psychologa oraz badanie neuroprzekaźników z krwi. No i mam podwójne potwierdzenie, że to ADHD jest. Mój organizm podobno nie produkuje sam dopaminy i serotoniny", ale na jej słowa szybko zareagowali specjaliści, między innymi psychiatrka Kajetana Foryciarz, która na stronie organizacji Demagog prostowała, że w ADHD problemem nie jest nieprodukowanie hormonów, lecz to, w jaki sposób mózg nimi zarządza, a więc badania z krwi nie są żadnym potwierdzeniem zaburzenia. Ze względu na złożoność tych stanów nie ma też możliwości upewnienia się przez badania genetyczne lub neuroobrazowanie. Pacjent nie dostanie twardych, biologicznych dowodów. Musi w tej kwestii zaufać kwalifikacjom diagnosty, do którego się zwrócił. Doświadczenia pacjentów pokazują jednak, że nie każdy psychiatra lub psycholog ma odpowiednią wiedzę i umiejętności, żeby taki proces przeprowadzić.

Irena, która diagnozę ADHD dostała w wieku 45 lat, w rozmowie ze mną wspomina wcześniejszą wizytę u psychologa. Kiedy napomknęła o tym, co u siebie podejrzewa, usłyszała, że to niemożliwe, bo takie zaburzenie pojawia się wyłącznie u dzieci.

– Na szczęście mam taki charakter, że biorę życie na gniew. Nie daję sobie nic wmówić, tylko szukam po swojemu. Znalazłam wspaniałego psychiatrę, który po kilku wizytach i wielu testach potwierdził moje przypuszczenia. Zresztą powiedział mi później, że już po trzech minutach wiedział i sprawdzanie było tylko dlatego, żeby to było porządnie zrobione. Gdyby trafiło na osobę bardziej spolegliwą, być może nigdy nie dowiedziałaby się, co jest źródłem jej problemów – wyjaśnia.

Zarówno Anna Szczegielniak, jak i Tomasz Gondek wskazują na brak adekwatnego kształcenia przyszłych lekarzy psychiatrów pod kątem diagnozy i wsparcia osób w spektrum. W obrębie specjalizacji psychiatrycznej z tematem ADHD i spektrum autyzmu spotykają się oni wyłącznie w ramach stażu w zakresie psychiatrii dziecięcej. – Tymczasem specyfika diagnozy tych zaburzeń u dorosłych jest nieco inna. W toku socjalizacji często zanikają u nich objawy nadruchliwości, a występuje utrzymujące się napięcie, trudności z wyciszeniem się. Wraz z obciążeniem edukacyjnym i zawodowym dominują problemy związane z zaburzeniami uwagi, jednak wiele osób rozwija – niekoniecznie sprzyjające – strategie kompensacyjne, które sprawiają, że objawy te nie są widoczne dla otoczenia, a mimo to powodują znaczne trudności i cierpienie. Dorośli z ADHD często polegają na wsparciu innych osób, przez co wydaje się, że jakoś sobie radzą. W ramach Sekcji Kształcenia Specjalistycznego Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego organizujemy kursy doszkalające w tej dziedzinie, ale one są tylko dla chętnych – wyjaśnia Gondek.

Równie słabo wygląda przygotowanie psychologów, o czym mówi Klaudia Soborska: – Kiedy ja kończyłam studia, mniej więcej cztery lata temu, o neuroróżnorodności faktycznie mówiło się wyłącznie w kontekście dzieci. Natomiast od osób, które obecnie studiują, wiem, że temat diagnozy i wsparcia dorosłych powoli zaczyna pojawiać się w programie nauczania [w programie psychiatrii – przedmiotu na przykład na kierunku psychologia Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu możemy przeczytać: „Zajęcia mają za zadanie zapoznanie studenta z wiedzą na temat: psychopatologii ogólnej i klasyfikacji zaburzeń psychicznych – ze szczególnym uwzględnieniem znajomości objawów, zasad diagnozowania i postępowania terapeutycznego w (...) zaburzeniach neurorozwojowych (spektrum autyzmu, niepełnosprawności intelektualnych, ADHD)" – przyp. red.]. Wiedza na ten temat tak naprawdę zmieniła się w ciągu ostatnich lat i system kształcenia po prostu za tym nie nadąża. Ale to nie jest usprawiedliwienie. Etyka zawodowa wymaga od nas, psychologów, żeby się dokształcać stale, bo przecież część informacji, które mieliśmy na studiach, mogło się zwyczajnie zdezaktualizować.

Gondek zwraca moją uwagę na kolejny problem: – Również nasze rekomendacje na temat diagnozy i leczenia ADHD u dorosłych nie mają charakteru wiążącego. Czy ktoś z nich skorzysta, czy nie, zależy wyłącznie od jego dobrej woli. Są więc kliniki, w których cały proces odbywa się podczas jednej, kilkunastominutowej wizyty, choć rekomendacje wyraźnie mówią, że sam wywiad kliniczny nie powinien być krótszy niż półtorej godziny.

– Nie ma możliwości, żeby przeprowadzić pełną diagnozę w ciągu jednego spotkania. Powinna ona zawierać wstępny wywiad dotyczący tego, jak dana osoba radzi sobie

w różnych obszarach życia. Należy sprawdzić, czy objawy pojawiały się już w dzieciństwie. Czasem wystarczy to, co badany pamięta, ale niekiedy konieczne jest wzbogacenie tego obrazu o wywiad z członkiem rodziny: rodzicem lub starszym rodzeństwem. Nie może też zabraknąć diagnozy różnicującej, żeby wykluczyć inne zaburzenia – wymienia Soborska.

– Niestety, skoro mamy popyt – coraz więcej pacjentów interesuje się ADHD i szuka diagnostyki w tym kierunku – pojawia się i podaż: prywatne kliniki, które oferują usługi na różnym poziomie, niekoniecznie tym najwyższym – dodaje Gondek.

„Czy macie do polecenia w Krakowie dobrego diagnostę znającego się na ADHD? Zależy mi na dobrej diagnozie różnicującej od innych zaburzeń dających podobne objawy jak ADHD. Miałem robioną diagnozę wczesnej, ale nie było to zrobione «zgodnie ze sztuką» i zaczynam poddawać ją w wątpliwość, zwłaszcza że leki nie działają do końca tak, jakbym tego chciał czy sobie wyobrażał mimo wielu zmian dawek i kombinowania" – pyta anonimowy użytkownik w facebookowej grupie *ADHD u Dorosłych* powstałej z inicjatywy Stowarzyszenia ATTENTIO. Tego typu zapytania pojawiają się tam niemal codziennie. Zmieniają się tylko nazwy miast, w których ktoś szuka godnego zaufania specjalisty. W odpowiedzi padają nazwiska konkretnych psychologów i psychiatrów. Jest też mnóstwo wiadomości od samych diagnostów, którzy reklamują swoje usługi.

„HASHTAG #ADHD jest obecnie siódmym najpopularniejszym hashtagiem związanym ze zdrowiem na platformie" – piszą Marco Zenone, Nikki Ow i Skye Barbic, autorzy artykułu *TikTok and public health: a proposed research agenda* (*TikTok a zdrowie publiczne. Propozycja programu badawczego*), który ukazał się na łamach „BMJ Global Health" w listopadzie 2021 roku. Według ich wykazu #autism zajmował dziewiątą pozycję. Po pięciu latach ranking uległ przetasowaniu. Spadły zasięgi hashtagów związanych z pandemią COVID-19, ale #adhd i #autism wciąż utrzymują się w czołówce z wynikami kolejno prawie 64 miliardy oraz ponad 66 miliardów wyświetleń (dane pochodzą z platformy Urlebird – zewnętrznej przeglądarki treści z TikToka, która pozwala przeglądać między innymi statystyki hashtagów).

W lutym 2022 roku w „The Canadian Journal of Psychiatry" ukazał się raport z badań, w ramach których poddano analizie setkę najpopularniejszych materiałów na TikToku opatrzonych hashtagiem #adhd. Okazało się, że aż 52 procent z nich zostało uznanych za wprowadzające w błąd, 27 procent dotyczyło indywidualnych doświadczeń, a tylko 21 procent oceniano jako przekazujące sprawdzoną wiedzę na temat zaburzenia. Każda z błędnych treści miała ponad 2,8 milionów wyświetleń i średnio 31 tysięcy dalszych udostępnień. Najwięcej z nich (71 procent) dotyczyło niepoprawnego przypisania objawów jako specyficznych wyłącznie dla ADHD.

„Czy ja naprawdę mam ADHD? Czy ja nie wymyślam? To pytanie zadawałem sobie wielokrotnie przed postawieniem diagnozy. Jeśli rozpoznajesz u siebie więcej niż trzy z listy, to najprawdopodobniej masz ADHD" – czytam w jednym z postów proponowanych mi przez algorytm Facebooka. Na liście objawów pojawiają się: natłok myśli, problemy z koncentracją, hiperfokus, czyli skrajne skupienie się na jednej czynności często połączone z utratą poczucia czasu, impulsywność, wewnętrzny niepokój, napięcie w ciele, problemy z organizacją, zapominanie, prokrastynacja, silne emocje, problemy ze snem, szybkie nudzenie się, trudność z utrzymaniem rutyny, przeskakiwanie między zadaniami, skłonność do uzależnień lub kompulsywnych zachowań. Autor zapomniał jednak wspomnieć, że zgodnie z kryteriami profesjonalnej diagnozy, by pojawiło się podejrzenie ADHD, objawy powinny utrzymywać się co najmniej przez sześć miesięcy, a także w znaczący sposób przekładać się na utrudnione funkcjonowanie.

– Rzeczywiście nie spotkałam ani jednej osoby neurotypowej, która miałaby łatwość w podejmowaniu absolutnie każdego zadania, która nigdy nie zachowałaby się impulsywnie, a w momencie stresu nie potrzebowała się trochę poruszać, na przykład potupać nogą. Dlatego w diagnozie klinicznej tak ważne jest kryterium cierpienia. To oznacza, że jednym z kluczowych wyznaczników diagnostycznych jest potwierdzenie, że dane zaburzenie ma wpływ na trudności w różnych obszarach życia – wyjaśnia Soborska.

Psychiatrka Anna Szczegielniak przyznaje: – Często zdarza się, że przychodzą do mnie pacjenci z diagnozą z rolki na TikToku lub Instagramie. To oczywiście



nie oznacza, że od razu odeślę taką osobę z kwitkiem. Coś skłoniło ją do szukania odpowiedzi. Przeprowadzę diagnostykę, przy czym nie zawsze jej wynik będzie zgodny ze wstępnym założeniem. Zdarzają się pacjenci, którzy wyraźnie są rozczarowani, kiedy ich przypuszczenia nie znajdują potwierdzenia w diagnozie medycznej. To dotyczy zresztą nie tylko osób, które przychodzą po diagnozę ADHD lub spektrum autyzmu. Jednak znacząca większość zgłasza się do mnie przede wszystkim po pomoc i wspólnie staramy się znaleźć jak najbardziej adekwatne wsparcie, dopasowane do zgłaszanych skarg, trudności w codziennym funkcjonowaniu oraz możliwości pacjenta. Chciałabym podkreślić, że zawsze podstawą jest badanie stanu psychicznego, zebranie kompleksowego wywiadu i rzetelny proces diagnostyki różnicowej. Tylko w ten sposób możemy zaproponować odpowiednie działania terapeutyczne, które nie opierają się wyłącznie na leczeniu farmakologicznym.

W 2024 roku naukowcy z Uniwersytetu Stanowego Ohio przeprowadzili ankietę na próbie tysiąca osób, która wykazała, że aż 25 procent badanych podejrzewa u siebie ADHD, przy czym tylko 13 procent z nich skonsultowało to ze specjalistą.

Natomiast badacze z Uniwersytetu w Toronto przeprowadzili eksperyment, który pokazał, jak silny efekt nocebo (odwrotność placebo, czyli psychofizjologiczne zjawisko pojawienia się negatywnych objawów po przyjęciu neutralnej substancji, wyłącznie w wyniku nastawienia pacjenta) kryje się za bezkrytycznym odbiorem treści eksponujących objawy ADHD. Grupę 215 młodych dorosłych – w wieku od 18 do 25 lat, bez wcześniejszych diagnoz psychiatrycznych i z niskimi wynikami w testach przesiewowych badających natężenie objawów typowych dla tego zaburzenia – podzielili na trzy grupy. Pierwsza z nich uczestniczyła w warsztacie o ADHD, druga również, ale wzbogacony był on o edukację na temat działania efektu nocebo. Trzecia – grupa kontrolna – wzięła udział w warsztacie, który dotyczył snu. W pierwszej grupie tuż po warsztatach odsetek osób, które zgodziły się ze stwierdzeniem „wierzę, że mam ADHD", wzrósł o 30 procent, w drugiej podniósł się o 15 procent, w trzeciej spadł o 2 procent. Po tygodniu liczba osób zgadzających się z tym twierdzeniem w grupie kontrolnej podniosła się nieznacznie, a w dwóch pozostałych nieco opadła, zatrzymując się na poziomie 52 procent wśród osób wystawionych wyłącznie na treści o ADHD i 35 procent wśród tych, które również usłyszały o efekcie nocebo.

– Czasem przyjęcie diagnozy, która nie jest potwierdzeniem atypowości, może być trudne, zwłaszcza jeśli osoba przyszła z silnym przekonaniem o jej prawdziwości i już niejako przyjęła ją jako ważną część swojej tożsamości. Ale dobry specjalista nie pozostawi takiego pacjenta wyłącznie z informacją, że jego przypuszczenia okazały się błędne. Naszą rolą jest zaoferować odpowiednie wsparcie lub pokierować w takie miejsca, gdzie może on adekwatną pomoc otrzymać. Być może trudności wynikają z innego zaburzenia albo są powiązane z przeciążeniem lub wypaleniem zawodowym? Najważniejsze w takiej sytuacji to zadbać o bezpieczeństwo drugiej osoby, czyli nie pozostawić jej z pytajnikiem w głowie. Wskazać konkretne kroki, wytyczne – wyjaśnia Soborska.

*Zdarzają się pacjenci wyraźnie rozczarowani, kiedy ich przypuszczenia nie znajdują potwierdzenia w diagnozie medycznej. To dotyczy zresztą nie tylko osób, które przychodzą po diagnozę ADHD lub spektrum autyzmu.*

**—**

O TYM, ŻE MOGĘ MIEĆ ADHD, po raz pierwszy usłyszałam od swojej psychoterapeutki. Ale to była tylko sugestia z jej strony. Formalnej diagnozy nie mam – mówi Karolina. Przyznaje, że początkowo to był dla niej szok, ale im bardziej zaczęła przyglądać się swojemu życiu i analizować wydarzenia z przeszłości, tym bardziej odnajdowała się w tym obrazie. Nie była rozbrykanym dzieckiem, raczej dziewczynką wiecznie bujającą w obłokach. W jej przypadku wyraźniejsze były problemy związane z koncentracją uwagi. Do dziś bardzo ciężko jest jej pilnować terminów i skupić się przy żmudnych, wymagających dokładności pracach. Trudności sprawiały, że czuła, jakby coś z nią było nie tak. Ale odkąd zaczęła myśleć, że to może być ADHD, konfrontowanie się z tym stało się prostsze. – W moim przypadku ta domniemana diagnoza zadziałała jak brzytwa Ockhama. Wielokrotnie próbowałam zrozumieć moje zachowanie, przypisując sobie najdziwniejsze podświadome motywacje, mieliłam je w głowie, rozgrzebywałam każdą najdrobniejszą rzecz, angażowałam się w to emocjonalnie. Teraz gdy na przykład zapomnę o czymś ważnym, mówię sobie: „Aha, to ADHD". I zamiast tracić energię na roztrząsanie, dlaczego znowu zawaliłam, skupiam się na tym, jak to naprawić – opowiada.

Nie myśli o potwierdzaniu diagnozy u specjalisty. Wahałaby się, gdyby problemy się nasilały. Wtedy może chciałaby wykluczyć inne zaburzenia lub choroby. Ale ponieważ z całą pewnością może powiedzieć, że objawy są u niej widoczne w ciągu całego życia, zakłada, że to faktycznie ADHD. Dokument medyczny nie jest jej potrzebny. Nie ma zamiaru dzielić się swoją diagnozą z pracodawcą. Radzi sobie z zadaniami zawodowymi wystarczająco dobrze, a przy drobnych wpadkach wynikających z deficytów uwagi potrafi szybko zareagować, żeby jakoś temu zaradzić. Nie chce stosować farmakoterapii. Ma dość ostrożne podejście do leków – jeśli daje radę bez nich, to woli po nie nie sięgać. – No i nie oszukujmy się, sama diagnoza jest dość kosztowna. Szkoda mi wydawać sporą sumę pieniędzy na coś, co i tak już wiem i po czym nie spodziewam się, że przełoży się na poprawę jakości mojego życia – podkreśla.

Na aspekt finansowy diagnozy i leczenia ADHD zwraca uwagę większość moich rozmówców. Wizyta u psychiatry w ramach NFZ wiąże się z długim oczekiwaniem, przy czym istnieje ryzyko, że trafi się na lekarza, który kompletnie nie zna się na neuroróżnorodności. Diagnoza w prywatnej klinice to wydatek od kilkuset złotych do kilku tysięcy złotych. Do tego mogą dojść koszty psychoterapii i nierefundowane leki, gdy pacjent

zdecyduje się na farmakoterapię. Jedna z moich rozmówczyń przyznaje, że co miesiąc powinna wydać na nie 100–120 złotych. W zależności od tego, jak jej się układa w pracy, czasem jest to suma, na jaką nie może sobie pozwolić.

Tomasz Gondek mówi o swoich obawach: – Dysproporcja między publicznym systemem opieki medycznej a sektorem prywatnym to spore wyzwanie. Przez to, że pełnopłatne kliniki realizują większość procesów diagnostycznych, rośnie ryzyko, że osoby o niższych dochodach lub z mniejszych ośrodków do diagnozy i leczenia nie dotrą.

Anna Szczegielniak zauważa, że mimo coraz większego zainteresowania tematem ADHD wiele grup pozostaje niedodiagnozowanych. Wymienia przede wszystkim pacjentów szpitali psychiatrycznych (co przy dużym ryzyku współchorobowości i popadania w uzależnienia byłoby przecież uzasadnione), ale też osoby w kryzysie bezdomności i odbywające kary w ośrodkach penitencjarnych. Przekonuje, że wzięcie pod uwagę tego czynnika, mogłoby znacząco poprawić leczenie, wsparcie i proces resocjalizacji.

– Mnie wystarczająco pomogła terapia, która nie była ukierunkowana *stricte* na radzenie sobie z ADHD. Trafiłam na nią z powodu depresji. Ale przez to, że to właśnie moja psychoterapeutka pierwsza zasugerowała, że mogę być osobą neuroatypową, zwracała też uwagę na ten aspekt. Czasem, w gorszych momentach, wracają do mnie wątpliwości. Czy to naprawdę kwestia neuroróżnorodności? Może tylko szukam usprawiedliwienia? – wyznaje Karolina.

Kuba też nie ma diagnozy, ale jest niemal pewien, że ma ADHD. – Od najmłodszych lat miałem łatkę „zdolny, ale leniwy". Ciągle słyszałem: „Kuba, nie słuchasz!", „Kuba, nie szturchaj kolegi!", „Gdybyś się tylko przyłożył do nauki!". Tylko że to wcale nie było tak, że mi się nie chciało. Ja naprawdę bardzo się starałem. Ale z jakiegoś powodu dość szybko czułem się znudzony danym tematem i gdzieś odpływałem myślami. Jestem człowiekiem, który potrafi rozpocząć milion rzeczy i żadnej nie skończyć. Dopiero trzecie z kolei studia udało mi się ukończyć na poziomie inżynierskim, a magisterkę męczę już cztery lata. To strasznie trudne doświadczenie w społeczeństwie, w którym trzeba być sprawczym, dowozić wszystko. Zacząłem się więc zastanawiać, co jest ze mną nie tak, szukać odpowiedzi, skąd u mnie takie deficyty uwagi. No i mając Google'a, zdolność do autorefleksji oraz dość dobre umiejętności szukania, zacząłem łączyć kropki i doszedłem do wniosku, że to może być to.

Mówi, że w tym przekonaniu utwierdził się również dzięki swojej pracy. – Poza tym, że jestem informatykiem, z żoną prowadzimy poradnię psychologiczno-pedagogiczną dla dzieci. Gadałem o ADHD ze specjalistami, którzy u nas pracują. Oczywiście nie mówiłem wprost, że chodzi o mnie. Niekoniecznie chciałbym, żeby ludzie, których zatrudniam, mieli o mnie taką wiedzę. Różnie mogliby to odebrać. Ale podpytywałem o schematy funkcjonowania z tym zaburzeniem i porównywałem do siebie.

*Warunkiem potwierdzenia diagnozy jest wskazanie na co najmniej dwa obszary w życiu, w których dana osoba sobie znacząco nie radzi. Konfrontowanie się z tym bywa bolesne.*

Pewnego dnia Kuba sięgnął po jedno z narzędzi AI i poprosił o stworzenie testu na ADHD na bazie tych dostępnych w internecie. Wypełnił go. Wynik potwierdził, że rzeczywiście mógłby szukać diagnozy pod tym kątem. – Natomiast ja się trochę tego boję. Gdybym mógł uzyskać tę informację wyłącznie dla siebie, to pewnie chciałbym wiedzieć. Jednak posiadanie zdiagnozowanego ADHD w Polsce wciąż wiąże się z ograniczeniami. Swego czasu uprawiałem strzelectwo sportowe i z tego, co słyszałem, diagnoza może utrudnić uzyskanie pozwolenia na broń. Mam też spore obawy co do leków. To nie są substancje obojętne dla organizmu. Boję się, że pod ich wpływem zmieni się mój charakter. Wolę „leczyć się" sam – mówi.

W ostatnich latach Kuba znacznie przemodelował swoje życie. Wcześniej mierzył się z poważnymi spadkami nastroju. Z czasem znalazł strategie, które pomagają mu lepiej funkcjonować: poranne spacery do lasu i krótka praktyka uważności, sport, rozmowy z przyjacielem. – Przede wszystkim jednak zaakceptowałem chaos, w którym funkcjonuję na co dzień i oswoiłem się z tym, jaki jestem. Zawsze chciałem osiągnąć w życiu coś konkretnego, mieć prestiżowy zawód. Kiedy skończyłem 40 lat, pogodziłem się z tym, że mogę być po prostu facetem, który robi to, co lubi, i niekoniecznie wszystko doprowadza do końca – przyznaje.

—

*ADHD JEST SUPER. Jak przeżyć życie na turbodoładowaniu*; *ADHD. Mózg łowcy i inne supermoce*; *ADHD. Odkryj swoją supermoc. Od chaosu do kreatywności* – to tytuły kilku poradników dotyczących życia z tym zaburzeniem. Czytając je, można dojść do wniosku, że diagnoza potwierdzająca ten stan to najlepsza rzecz, jaka może się człowiekowi przytrafić. Bo kto z nas nie chciałby być spontaniczną, przebojową osobą obdarzoną niezwykłą wyobraźnią, zdolną do hiperfokusów i wielogodzinnej koncentracji na jednym zadaniu, pod warunkiem że będzie to coś porywającego, związanego z fascynującą pasją? I rzeczywiście, moi rozmówcy z diagnozą ADHD postrzegają siebie jako osoby żywiołowe, twórcze. Hiperfokusy im się zdarzają. Tylko że to wyłącznie część prawdy o ich rzeczywistości.

Irenę to złości: – Supermoce? Aż mnie telepie, gdy to słyszę. No bo umówmy się, nie zawsze jest mi z tym fajnie. Od 50 lat próbuję się nie spóźnić i jeszcze mi się to nie udało. Jak chcę być na czas, to muszę gdzieś przyjść z pół godziny wcześniej, bo inaczej na pewno nie zdążę. Budzisz się w nocy, bo pięć lat temu powiedziałaś coś głupiego i nieustannie wałkujesz to w głowie. Ciągłe przeciążanie się w pracy. To, że zadzwonienie gdzieś lub wysłanie maila staje się problemem nie do przejścia. Autentycznie. Ja czasem nawet mam już napisany mail i muszę prosić moich bliskich, żeby wysłali go za mnie. Wszystkie te pieniądze, które straciłam, bo zapomniałam coś załatwić na czas i musiałam uregulować karę.

Emilia przyznaje, że lubi niektóre cechy, które jak podejrzewa, może przypisywać

swojemu ADHD. Na przykład to, że dzięki impulsywności wykorzystała wiele okazji do zdobycia nowych doświadczeń. – Ale nie oszukujmy się, diagnozę dostajesz wtedy, kiedy sobie nie radzisz, kiedy coś w życiu sprawia ci trudność. A to, że sobie nie radzisz, to chyba nie jest jakaś superwiadomość – mówi.

Psycholożka Klaudia Soborska zwraca uwagę na to, że pracując z pacjentami po diagnozie – w ramach psychoterapii lub psychoedukacji – zawsze stara się pomagać im w odkrywaniu dobrych stron wynikających z neuroatypowości, które mogą okazać się pomocne w życiu, a nie tylko skupiać się na trudnościach. Jak zauważa, sam proces diagnozy opiera się wyłącznie na wyodrębnieniu takich aspektów ADHD lub spektrum autyzmu, które przekładają się na deficyty. Warunkiem potwierdzenia diagnozy jest wskazanie na co najmniej dwa obszary w życiu, w których dana osoba sobie znacząco nie radzi. Konfrontowanie się z tym bywa bolesne. A przecież życie osób neuroróżnorodnych nie jest wyłącznie cierpieniem. – Daleka jednak jestem od postrzegania neuroatypowości jako superdaru albo supermocy. Taka narracja jest po prostu sprzeczna z doświadczeniem osób, które przychodzą do mnie po wsparcie – zaznacza psycholożka.

– ADHD bywa odbierane jako dość błaha diagnoza. Często słyszę: „Na to się przecież nie umiera". To nie do końca prawda. Biorąc pod uwagę trzykrotnie wyższe ryzyko uzależnień u osób z tym zaburzeniem, dużą współchorobowość, narażenie na wypadki i urazy z powodu deficytów uwagi, nieleczone ADHD może doprowadzić do przedwczesnej śmierci – zauważa Anna Szczegielniak.

– Co więcej, według statystyk osoby z ADHD żyją przeciętnie o osiem lat krócej – dodaje Tomasz Gondek.

—

ANNA SZCZEGIELNIAK zauważa, że wraz z przenikaniem języka diagnostycznego do treści w mediach społecznościowych pojawia się tendencja, by patologizować zachowania, które jak najbardziej mieszczą się w normie. – Nie znaczy to, że należy swoje odczucia bagatelizować. Zdecydowanie lepiej zwrócić się do specjalisty i upewnić, czy wszystko jest okej – zaznacza.

„Potrzeba psychoedukacji, a także pomocy psychologicznej jest dziś niezaprzeczalnie wysoka i wyraźnie dostrzegalna w społeczeństwie – pisze Maciej Papierski w artykule *Człowieku, zdiagnozuj się sam? O pułapkach autodiagnozy*, który ukazał się w lutym 2025 roku na łamach „Magazynu Kontakt". – To zrozumiałe, że ludzie chcą pogłębiać znajomość mechanizmów psychologicznych. Jest to ważna i stosunkowo nowa wiedza, a jej brak rzeczywiście może mieć negatywny wpływ na rozwój relacji z bliskimi i nasz dobrostan. Współczesny świat, w którym mierzymy się z rosnącą izolacją, rozproszeniem uwagi, cyfrowym uzależnieniem czy niepewnością ekonomiczną, jest światem, w którym zdrowie psychiczne niemal nieustannie narażone jest na szwank. (...) Przyjmowanie aktywnej postawy wobec psychicznego cierpienia to pozytywne zjawisko. Rzecz w tym, że ta zdrowa, uzasadniona tendencja uległa znacznemu wypaczeniu. Problemy związane z autodiagnozą zdają się mieć wymiar globalny, choć w społeczeństwach, w których dostępność profesjonalnej pomocy psychologicznej jest istotnie ograniczona – jak w społeczeństwie polskim – fenomen ten przybiera na sile" – podkreśla Papierski.

– Jeśli ktoś zatrzymuje się nad treściami internetowymi z wątpliwością, że mogą być o nim, jest to doskonały punkt wyjścia. Ważne jednak, żeby przypuszczenia zostały zweryfikowane przez specjalistę. Potrzebna jest diagnoza różnicująca pod kątem innych zaburzeń. Może się też okazać, że przyczyną trudności, które na pierwszy rzut oka przypominają ADHD, jest kryzys związany z wypaleniem zawodowym, przeciążenie wynikające z deficytu snu, nieregularnych posiłków, braku kontaktów społecznych. Nawet konsumowanie krótkich treści internetowych znacząco wpływa na naszą uwagę i może utrudniać koncentrację. To od tego, z czego tak naprawdę wynikają trudności, będzie zależało, jaka forma radzenia sobie z nimi zadziała najlepiej – twierdzi Soborska.

Premiera 26.08.2026

NIEUGIĘTE

KOBIETY, KTÓRE URODZIŁY I WYCHOWAŁY NASZ ŚWIAT




NIE GODZIŁY SIĘ NA ROLE OFIARY. WALCZYŁY O BEZPIECZEŃSTWO I GODNOŚĆ.

Dostępna w księgarni Znak.com.pl

HORYZONT znak

# Na początku było „nie wiem”

z DR. INŻ. ADAMEM MIRKIEM *rozmawia* AGNIESZKA SOWIŃSKA

LEPIEJ MÓWIĆ językiem rozwiązań, a nie tylko zagrożeń. Obok diagnozy pokazać też kierunek: co już wiemy, co już działa, jakie technologie czy zmiany mają sens. Ważna jest również nadzieja oparta na faktach.

**Udało ci się coś niewiarygodnego. Twoje konta na Tik-Toku, Instagramie, Facebooku i YouTubie – na których popularyzujesz nauki ścisłe – obserwuje prawie 1,8 miliona osób. Jak to zrobiłeś?**
Najbardziej uczciwa odpowiedź brzmi: „Nie wiem”.

**W szkole, gdy się czegoś nie wie, dostaje się jedynkę.**
Tak, w szkole nie ma miejsca na „nie wiem”. Jesteśmy karani za niewiedzę, a wynagradzani za to, co wykuliśmy pod okiem nauczyciela, w związku z tym wstydzimy się niewiedzy i stawiania pytań, które mogłyby ją obnażyć. Dlatego wiele osób później nie przyznaje się, że czegoś nie wie, i boi się zapytać.

**A ty się wstydzisz, gdy czegoś nie wiesz?**
Długo się mierzyłem z tym wyniesionym ze szkoły wstydem. I dlatego na początku swojej działalności popularyzatora nauki mówiłem tylko o rzeczach związanych z moim doktoratem i wykształceniem, które miałem po prostu w głowie. Ale pod moimi filmami w komentarzach pojawiały się też pytania, na które nie znałem odpowiedzi. I początkowo wydawało mi się, że to podważa moją pozycję popularyzatora nauki – skoro już się tym zajmuję, to powinienem wiedzieć wszystko. Ale później pozwoliłem sobie na „nie wiem”.

ADAM MIREK, dr inżynierii biomedycznej, laureat Nagrody Radia Zet im. Andrzeja Woyciechowskiego w kategorii autor internetowy za popularyzowanie nauki w sieci. Autor książek *Bebechy*, *Glutologia*, *Ktoś tu kręci*. Jest pierwszym Polakiem, który trafił na prestiżową The Discover List platformy TikTok wyróżniającej 50 swoich najbardziej wpływowych, angażujących i wartych obserwowania twórców.

**Co się wtedy zmieniło?**
Przestałem bać się pytań – teraz, gdy czegoś nie wiem, odpowiadam: „Bardzo fajne pytanie”. Mogę postawić hipotezę i ją zweryfikować. Mogę też powiedzieć, że nie mam zielonego pojęcia, bo nigdy wcześniej się tym nie interesowałem, ale temat mnie zaciekawił i go zbadam. Pytania, na które nie znałem odpowiedzi, pozwoliły mi dookreślić moją rolę jako popularyzatora nauki. Bo ja nie stawiam się w roli nauczyciela. Nauczyciele bardzo rzadko przyznają się, że czegoś nie wiedzą. A tych, którzy to robią, lubimy najbardziej – bo możemy się czegoś nauczyć razem. I ja właśnie chcę być takim współtowarzyszem w odkrywaniu świata, a nie egzekutorem wiedzy. Staram się pokazywać, że „nie wiem” oznacza początek – pozwala zlokalizować to, czego się nie wie, zadać pytania i się tego dowiedzieć, jeżeli to nas interesuje lub jest nam potrzebne. Zwłaszcza że w dzisiejszych czasach wiedza jest – dosłownie – na wyciągnięcie ręki. Ale jednocześnie trzeba ją umieć zweryfikować. Zrozumiałem też, że moim zasobem jest nie tylko ona, ale również przede wszystkim umiejętność zrobienia dobrego researchu naukowego, a potem opowiedzenie tego w prosty sposób. Przyznanie się do „nie wiem” otwiera dużo możliwości.

**To wróćmy do początku. Pierwszy film na TikToku opublikowałeś pięć lat temu.**



*rysunki* BARTOSZ TROJANOWSKI

AGNIESZKA SOWIŃSKA, tłumaczka literatury, do niedawna redaktorka „Książek. Magazynu do Czytania", publikowała też m.in. w Dwutygodniku. Jurorka Nagrody Literackiej m.st. Warszawy oraz Nagrody Polskiej Sekcji IBBY „Książka Roku".

Mnie internet fascynował od czasów licealnych i zachwytu youtuberami. Pierwsze próby zaistnienia w tej przestrzeni podjąłem już w 2014 roku, pisałem między innymi blog. Ale wymagało to ode mnie poświęcenia dużo czasu i umiejętności technicznych, których nie miałem. Szybko porzuciłem te pomysły, za to oglądałem dużo treści popularnonaukowych, ale i lifestyle'owych, rozrywkowych. Gdy pojawił się TikTok – akurat miałem i czas, i chęci, nie wymagało to też właściwie żadnych umiejętności technicznych – wystarczyło wziąć telefon do ręki i nagrać to, co miałem w głowie.

**Jeden z twoich pierwszych filmów miał kilkanaście tysięcy wyświetleń na TikToku. Na dzisiejsze standardy niby niewiele. Pamiętasz, o czym był?**
Rozprawiałem się w nim z mitem, czy mama miała rację, że jeśli zimą wyjdziesz z domu bez czapki, to się przeziębisz. I od razu odpowiem: nie, bo chorobę wywołuje patogen, który jakąś drogą musi się najpierw dostać do naszego organizmu. Brak czapki może natomiast przyspieszyć lub ułatwić rozwój choroby, bo powoduje wyziębienie organizmu.

**Jak zareagowali na niego odbiorcy?**
Reakcja była mocno emocjonalna, bo czapka zimą w Polsce to wręcz instytucja. W komentarzach natychmiast pojawiły się dwa obozy. Pierwszy: „Wiedziałem! Czyli mama mnie całe życie oszukiwała!". Drugi: „Ja raz wyszłam bez czapki i następnego dnia byłam chora...". Udało się tematem naukowym poruszyć emocje i sprowokować do dyskusji młodych ludzi.

**I co było dalej?**
Okazało się, że w polskich mediach społecznościowych brakuje treści popularnonaukowych. A ja jestem człowiekiem, którego najbardziej motywują sukcesy – piątki, szóstki. Porażkę uznaję za dowód na to, że coś nie jest dla mnie. Więc tych kilkanaście tysięcy wyświetleń było dla mnie napędem, by robić to dalej. Widziałem w tym swoją przestrzeń do zabawy, do dzielenia się pasją.

**Jak odkryłeś, co działa w komunikacji z użytkownikiem mediów społecznościowych?**
Przez pierwszy rok czy może nawet dwa lata intensywnie eksperymentowałem z formą i treścią. Bo zaczynałem od zera, nie miałem doświadczenia w budowaniu społeczności. Nie wiedziałem, jakie będzie podejście do tematyki popularnonaukowej, gdzie jest granica uproszczeń, które mogę zastosować. A okazało się, że przebiega dużo dalej niż wyobrażają to sobie naukowcy. Wiąże się to – rzecz jasna – z krytycznymi komentarzami na temat mojej działalności ze strony osób ze środowiska akademickiego. I ja to rozumiem, bo naukowcy są przyzwyczajeni do opowiadania o wszystkich wyjątkach. Tylko że media społecznościowe to nie uniwersytet. Na konferencji naukowej nie pozwoliłbym na uproszczenia. A tu muszę tę wiedzę przełożyć na język, który ktoś zrozumie w kilkadziesiąt sekund, wyciąć część szczegółów, by człowiek scrollujący TikToka w autobusie w ogóle miał szansę pojąć główną myśl. Dzięki temu ludzie korzystają z tych materiałów i się dowiadują pewnych rzeczy. Manipulacja zaczyna się wtedy, kiedy uproszczenie zmienia sens. Ja nigdy nie mówię nic sprzecznego z wiedzą naukową. To jest sztuka – uprościć coś tak, żeby nadal było poprawne.

*Podczas pandemii ludzie nagle zostali wrzuceni w sam środek procesu naukowego, na który nie byli przygotowani.*

**Chyba najczęstszym komentarzem pod twoimi treściami jest „dowiedziałem (dowiedziałam) się z tego filmiku więcej niż w szkole na lekcji".**
Na lekcji na pewno było znacznie więcej treści. Ale faktycznie ktoś mógł wynieść więcej z mojego krótkiego filmu, bo język, jakim mówimy, ma ogromne znaczenie i wpływa na to, ile treści do nas dociera. I jeśli na lekcji treści zostały przekazane językiem hermetycznym czy zwyczajnie w sposób nudny, to trudno o zaangażowany odbiór słuchacza.

**Najpierw trzeba tę jego uwagę złapać na haczyk. Stosujesz sporo przynęt: przebieranki – wcielasz się w różnych wielkich naukowców, na przykład w Marię Skłodowską-Curie – robisz quiz, wprowadzasz elementy gry.**
Najlepiej działają rzeczy, które angażują emocje i storytelling. Czasami to niełatwe, bo przykładowo matematykę trudniej się opakowuje w narrację. Chociaż już mi do głowy przyszło kilka przykładów, więc to też jest możliwe.

**Podziel się choć jednym.**
W Ameryce jest siedem gatunków cykad wieloletnich, które w wyniku ewolucji wykształciły niesamowity sposób rozmnażania – trzy z nich kopulują co 17 lat, cztery co 13 lat. I przez te 13 lub 17 lat żyją w ziemi jako larwy, przepoczwarzają się i wychodzą na powierzchnię dopiero po upływie tego czasu.

**Dlaczego co 13 lub 17 lat?**
No właśnie, już jesteś zaciekawiona, prawda? Ano dlatego, że 13 i 17 to liczby pierwsze – czyli dzielą się tylko przez jeden albo przez samą siebie i są różne od jednego. Organizm, który żywi się cykadami, musiałby żyć ich wielokrotność – a to już trudne do osiągnięcia. Żaden raczej nie czekałby tyle lat, by się najeść. Poza tym co kilkanaście lat pojawiają się naraz w takiej masie, że żadna istniejąca liczba drapieżników nie byłaby w stanie przejeść ich wszystkich. Świetna, naprawdę sprytna strategia na przetrwanie. Więc to nie jest tak, że jakiś starożytny

Grek usiadł sobie i wymyślił liczby pierwsze, oderwane od rzeczywistości. One naprawdę istnieją w naturze.

**Zawsze zakorzeniasz porcję wiedzy w jakimś konkrecie?**
Staram się, by treści, które poruszam, nie były oderwane od rzeczywistości. Wyobraźmy sobie dwa zbiory – jeden nazywa się „Nauka", a drugi – „Życie codzienne". One częściowo się przenikają, a ja próbuję trafić w swoich treściach właśnie w to miejsce. Wspólne, bliskie odbiorcy, bezpośrednio go dotyczące. Na przykład: Dlaczego komary nas gryzą? Wychodząc od tego pytania, mogę opowiedzieć o krwi, reakcji alergicznej i histaminie, o tym, że komarzyce do stworzenia jaj potrzebują białka i żelaza, które są w naszej krwi.
Inny przykład – dlaczego mleko bez laktozy jest słodsze od tego z laktozą? Bo gdy ta trafia do zdrowego organizmu, aktywuje enzym laktazę, który rozkłada ją na glukozę i galaktozę. Aby w mleku nie było laktozy, której wielu z nas nie trawi, proces ten przeprowadza się już na etapie produkcji mleka. I mamy w nim słodką glukozę, która jednak już nie powoduje nietolerancji. Mogę opowiedzieć przy tej okazji o tym, że istnieją cukry proste i złożone, enzymy. O tym, dlaczego w ogóle ta nietolerancja występuje i że na przykład u ludów, które żyły i nadal żyją na terenie Azji, jest ona znaczenie większa, bo spożywano tam mniej mleka. Natomiast w Europie, gdzie mleka, serów, nabiału kulturowo spożywało się zawsze więcej, nietolerancja występuje rzadziej. I tak przeciągam swoich widzów ze zbioru „Życie codzienne" do zbioru „Nauka".

**Ale powiedz – po co?**
Dziś potrzebujemy rozumieć naukę bardziej niż kiedykolwiek, bo rozwija się w tempie dotąd niewidzianym i ta część wspólna zbiorów „Życie codzienne" i „Nauka" też się stale powiększa, głównie za sprawą medycyny i technologii.

**Mieliśmy okazję doświadczyć tego na własnej skórze podczas pandemii COVID-19. Ale też pojawiło się wówczas sporo dezinformacji – wokół przyczyn wybuchu pandemii, szczepionek i idącego za tym sceptycyzmu wobec nauki.**
Podczas pandemii ludzie nagle zostali wrzuceni w sam środek procesu naukowego, do którego wcześniej nie byli przygotowani. Bo nauka z zewnątrz często wygląda tak, że ktoś zadaje pytanie, robi badanie i dostajemy odpowiedź. A w rzeczywistości ten proces trwa latami, jest pełen hipotez, korekt, błędów, nowych danych i obalania własnych założeń. W pandemii wszyscy obserwowaliśmy to na żywo. Naukowcy mówili: „W tym momencie wiemy tyle", za chwilę pojawiały się nowe dane i komunikat się zmieniał. Dla osób spoza świata nauki mogło to wyglądać jak chaos albo brak kompetencji, a tak naprawdę to była nauka działająca w czasie rzeczywistym. Do tego doszło poczucie, że skoro szczepionki powstały szybko, to na pewno było to za szybko. A przecież one nie zrodziły się z niczego – bazowały na latach wcześniejszych badań, o których się niewiele mówiło, bo taki przekaz nie dociera do mainstreamu. Poza tym, kiedy pojawiają się nagła potrzeba, ogromne finansowanie i globalna mobilizacja naukowców, pewne rzeczy da się zrobić dużo szybciej niż w normalnym trybie. Tylko to wszystko bardzo trudno wytłumaczyć prostym komunikatem w momencie kryzysu. Dlatego o nauce trzeba mówić zawsze i wszędzie, na różne sposoby i w różnych kontekstach – co staram się robić.

**Tylko jak mówić, jak budować przekaz trudnych tematów, którymi nie chcemy się już zajmować. Od pewnego czasu widać ogromne zmęczenie choćby sprawą kryzysu klimatycznego, który jest bardzo ważny również w twoich materiałach.**
Przy trudnych tematach, takich jak zmiany klimatu, samo straszenie przestaje działać. Ja sam nie przepadam za taką narracją. Ludzie są już bardzo zmęczeni komunikatami w stylu: „Jest źle, będzie gorzej, wszyscy



zginiemy". One oczywiście są prawdziwe, ale często powodują paraliż zamiast chęci działania. Dlatego dużo skuteczniejsze wydaje mi się pokazywanie konkretnych przykładów naukowców czy przedsiębiorców, którzy już dziś próbują te problemy rozwiązywać. Nowe technologie, odkrycia, pomysły na ograniczanie emisji czy lepsze gospodarowanie zasobami to nadal są historie o bardzo poważnym problemie, ale opowiedziane przez pryzmat sprawczości. Bo człowiek dużo chętniej słucha wtedy, kiedy widzi, że nie jest tylko bezradnym świadkiem katastrofy, ale faktycznie może szukać rozwiązań (i je znajdować). Lepiej mówić językiem rozwiązań, a nie tylko zagrożeń. Obok diagnozy pokazać też kierunek: co już wiemy, co już działa, nad czym pracują naukowcy, jakie technologie czy zmiany mają sens. W trudnych tematach ważna jest również nadzieja oparta na faktach. Mamy narzędzia, mamy wiedzę, mamy ludzi, którzy się tym zajmują. Czasem warto sięgnąć także do czarnego humoru. On bywa kontrowersyjny, ale szczególnie do młodych ludzi potrafi trafiać mocniej niż kolejny poważny apel. Dobrym przykładem jest mem z prognozą pogody we Francji – zestawienie fikcyjnej prognozy z 2014 roku, która odnosiła się do 2050 roku, z bardzo podobną, realną prognozą z lata 2026. To jest śmieszne przez pół sekundy, a potem robi się miejsce na poważny komunikat i właśnie dlatego działa.

**Jak podchodzisz do przekazu w nowym podcaście w Radiu Tok FM *Z nauką po imieniu*?**
W *Z nauką po imieniu* bardzo zależy mi na tym, żeby traktować słuchaczy po partnersku. Nie ustawiam się w pozycji kogoś, kto *ex cathedra* tłumaczy światu, jak ma myśleć, tylko raczej opowiadam, co w codzienności mnie zachwyciło. Co nauka ma na ten temat do powiedzenia? Staram się wybierać tematy bliskie, bliższe i najbliższe życiu słuchaczy. I przez to pokazywać, że nauka cały czas działa w tle. Bez niej żylibyśmy dużo gorzej, mniej wygodnie, mniej bezpiecznie, często krócej. A kiedy na chwilę spojrzymy na świat okiem naukowca, okazuje się, że nawet najzwyklejsze rzeczy potrafią być absolutnie fascynujące. No i wtedy jesteśmy z nauką po imieniu – czyli całkiem nieźle się z nią znamy.

**Czy inaczej budujesz swój przekaz w książkach dla dzieci, a inaczej w materiałach skierowanych do dorosłych?**
Oczywiście, chociaż nie chodzi tu o same założenia, a o granicę uproszczenia, o której rozmawialiśmy. Bo jeśli ktoś czegoś nie wie albo ma poczucie, że nie lubi nauki, to wiek nie ma aż tak dużego znaczenia. Dzieci i dorośli różnią się zdolnościami poznawczymi. Ale i jedni, i drudzy potrzebują punktu zaczepienia, konkretu, przykładu z życia, czasem żartu albo emocji. Różnica polega na tym, jakiego języka używam, ile kontekstu dokładam i jak daleko mogę zagłębić się w szczegóły. W książkach dla dzieci trzeba bardziej pilnować obrazowości i tego, żeby nie przeciążyć odbiorcy. Pisząc dla dorosłych, mogę pozwolić sobie na więcej szczegółów.

*I dzieci, i dorośli potrzebują w historii punktu zaczepienia, konkretu, przykładu z życia, czasem żartu.*



**A co trafia do ciebie?**
Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, bo nauka ogólnie jest dla mnie na tyle interesująca, że bardzo łatwo mnie w jej sieci złapać. Ale jeśli myślę o tematach, które są mniej „moje", to najbardziej działa na mnie chyba opowieść o człowieku. Konkretny bohater, który czegoś dokonał albo którego życie dzięki nauce realnie się zmieniło. Lot w kosmos to jest historia astronauty, który naprawdę tam poleciał. Przeszczep czy nowa terapia to jest historia pacjenta, który dzięki temu dostał szansę na inne życie. Kiedy za nauką widzę człowieka, jego emocje, stawkę i jakieś konsekwencje, wtedy każdy temat staje się bliższy.

**W treściach, które przekazujesz, i książkach, które napisałeś, burzysz podziały nauki na konkretne dziedziny czy może raczej pokazujesz, że wszystko się ze sobą przeplata, łączy i na siebie wzajemnie wpływa.**
Byłem niedawno w Normandii we Francji i pojechałem tam między innymi na wzgórze Mont Saint-Michel, gdzie podczas pływów wysokość wody zmienia się o prawie 16 metrów. Zainspirowany tym miejscem dowiedziałem się masy rzeczy o geologii, o pływach i astronomii, która ma z nimi związek. Pobrałem też próbkę wody z kałuży, która została po przypływie, włożyłem ją pod mikroskop i odkryłem w niej życie – stadium larwalne widłonoga! Nie dałoby się tego doświadczenia, tego miejsca, opisać wyłącznie przez jedną dziedzinę nauki. Wszystko się zazębia. Ja tak patrzę na rzeczywistość.

**A jednak w szkole uczylibyśmy się osobno o położeniu i pływach w Mont Saint-Michel na geografii, a o widłonogu na biologii...**
W tych podziałach widzę taki sens operacyjno-roboczy, ułatwiający funkcjonowanie systemu edukacji dorosłym bardziej niż dzieciom. Rozumiem ten podział, ale on nie występuje w rzeczywistości. Bo na przykład cykady wieloletnie nie uczyły się matematyki i nikt im nie powiedział, że 13 czy 17 to liczby pierwsze i że taki cykl rozrodczy ma wielkie korzyści dla przetrwania gatunku. Dlatego współczesna nauka jest interdyscyplinarna i opiera się na współpracy między specjalistami czy ośrodkami naukowymi z różnych dziedzin.

**Podczas doktoratu pracowałeś w Instytucie Biocybernetyki i Inżynierii Biomedycznej Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Czym się tam zajmowałeś?**
Elektroprzędzeniem...

**Wybacz, że wchodzę ci w słowo, ale nie mam pojęcia, co to takiego...**

To technika tworzenia cieniuteńkich, mikroskopijnej wielkości (100–1000 razy cieńszych od włosa) nici polimerów. W tych niteczkach można zamknąć na przykład lek i stworzyć z nich doskonały opatrunek, który będzie uwalniał go w kontrolowany sposób. Można ich też użyć jako rusztowania do wzrostu komórek, bo te nanostruktury bardzo dobrze odzwierciedlają macierz międzykomórkową. Jak się rozproszy na niej żywe komórki, to one porastają całą tę sieć i tworzą żywą tkankę – można na przykład wyhodować sztuczną skórę. A ponieważ te polimery są najczęściej biozgodne, nie trzeba ich usuwać. To działania z pogranicza chemii i inżynierii, ale zaangażowani w nie byli także biolodzy, lekarze, farmaceuci, technicy, programiści.

**Nadal pracujesz w laboratorium?**

Dzień obrony doktoratu był tak naprawdę moim ostatnim dniem pracy badawczej. Już tygodnie tuż przed obroną były trudne, bo nauka zaczęła mi się bardzo mocno przeplatać z popularyzacją. W tym samym tygodniu wydałem swoją debiutancką książkę. I właściwie od razu wskoczyłem w wir jej promocji. Wciągnął mnie na tyle mocno, że moja separacja z akademią trwa do dziś. Nie mówię, że to definitywny rozwód, ale na pewno mamy przerwę.

**Jak to się stało, że twoja ciekawość nie została zamordowana przez system edukacji?**

Myślę, że to zasługa moich rodziców, którzy w dzieciństwie wspierali moje wszystkie pomysły związane z rozwojem i edukacją. Gdy chciałem się uczyć grać na gitarze – grałem. Nawet jeśli to trwało tylko dwa czy trzy miesiące, nie robili mi z tego powodu żadnych wyrzutów. Mogłem próbować różnych rzeczy i sprawdzać, co jest dla mnie, a co nie. Warunek był jeden – musiałem się dobrze uczyć. I myślę, że dlatego zawsze byłem prymusem, bo chciałem móc robić te wszystkie rzeczy poza szkołą: czytać książki, które mnie porywały, chodzić na zajęcia zgodne z moimi zainteresowaniami. Rodzice wspierali moją ciekawość odkrywania, zadawania pytań, eksperymentowania. Mama, nauczycielka klas 1–3, miała świetne pedagogiczne podejście, tata – elektryk z wykształcenia, policjant z zawodu – z ogromną cierpliwością tłumaczył mi, gdy czegoś nie rozumiałem, szukał sposobów, analogii. I myślę, że miałem tę ciekawość w sobie na tyle dobrze wypielęgnowaną, że szkoła już nie była w stanie jej stłamsić. Co więcej, gdy w gimnazjum pojawiły się lekcje chemii czy fizyki, to ja już lubiłem te przedmioty. Gdy pojawiła się lista 50 symboli pierwiastków do zapamiętania, to było dla mnie wręcz ciekawe, bo mogłem w końcu uporządkować rzeczy,


MAGAZYN OPINII Pismo.

# Zapisz się na nasze newslettery.




## Aktualności Pisma

W każdy piątek redaktorka naczelna **URSZULA KIFER** poleci Ci jeden tekst, który warto przeczytać w weekend.

## Powody do radości

**MAGDALENA KICIŃSKA** z bieżących wydarzeń wybiera te, które przywracają wiarę w lepsze jutro.





## Wybór zagraniczny

Co w prasie zagranicznej zaciekawiło **MARCINA CZAJKOWSKIEGO**, redaktora i *fact-checkera* „Pisma”?

**Zeskanuj QR kod lub wejdź na magazynpismo.pl/newslettery i zapisz się.**

które poznałem wcześniej. I taki też stawiam przed sobą cel własnej działalności – pozwolić ludziom, zwłaszcza młodym, polubić przedmioty ścisłe, zanim się pojawią w szkole, zanim zrozumieją, że na przykład chemia to nowy język do nauki.

**To pytanie wraca w tej rozmowie jak refren, ale nie mogę się oprzeć: Po co? Po co mają się uczyć języka, którego być może nigdy nie będą używać? Tych wszystkich symboli, wzorów reakcji?**

Bo znów – powtórzę – ten język opisuje całą naszą codzienność, wszystkie procesy, które zachodzą wokół nas, substancje, reakcje, to, jak zmienia się materia, życie po prostu. Wychodzę jednak z założenia, że aby to zrozumieć, nie potrzebujemy uczyć się symboli pierwiastków, zapisu reakcji chemicznych. Wydaje mi się, że chemia w szkole powinna jak najmniej angażować pisanie w zeszycie. Zapisy reakcji nic nie znaczą, jeśli ich nie zobaczymy i nie zrozumiemy, co się tam tak naprawdę dzieje. Nie dziwi mnie, że ludzie się od tego odbijają jak od ściany.

**Wiele dzieci przez cały proces edukacji nie przeprowadza, a nawet nie jest świadkiem na lekcji ani jednego eksperymentu...**

Ja miałem to szczęście. I w gimnazjum, i w liceum na lekcjach miałem eksperymenty. Proste bo proste, ale i tak pozwoliły mi dużo zrozumieć. Chociażby ten klasyczny z samopompującym się balonikiem, w którym mieszanka sody i octu uwalnia dwutlenek węgla, który wypełnia i pompuje balon. Ale ja dzięki temu rozumiałem, dlaczego w zapisie tej reakcji przy symbolu dwutlenku węgla – $CO_2$ – umieszcza się strzałkę skierowaną w górę. Ona nabiera wtedy sensu. Albo dlaczego w zapisie reakcji, w której się wytrąca, jest strzałka zwrócona w dół. Dopóki się tego nie zobaczy na własne oczy, ta strzałka nic nie znaczy. W chemii jest masa rzeczy, które faktycznie można poczuć, zobaczyć, usłyszeć, których można dotknąć. I o to w tym chodzi. A że ktoś to potem sobie zapisze, jest ważne – ale nie dla wszystkich. Opis bez doświadczenia organoleptycznego pozostaje tylko tekstem, który niewiele daje.

**To dlatego założyłeś Fundację Poznawczą, która prowadzi warsztaty chemiczne w szkołach, a podczas nich dzieciaki dostają do rąk pipety, próbówki i różne składniki, by mogły na własną rękę przeprowadzać doświadczenia?**

Utworzyłem ją z Dorotą Ossowską, założycielką Smart-Bee Club, z którą wcześniej robiliśmy komercyjne projekty, na przykład gotowe zestawy do przeprowadzania eksperymentów w domu, które dwukrotnie zdobyły tytuł Zabawki Roku. Fundacja powstała z naszej wspólnej potrzeby popularyzowania nauki. Zależało nam przede wszystkim na jeżdżeniu z naszymi warsztatami po szkołach w całej Polsce. Widzę, że zwłaszcza w mniejszych miejscowościach dzieciaki łakną takich spotkań. Przychodzi na nie też więcej osób niż w dużych miastach. Mamy obecnie masę roboty – zgłaszają się do nas szkoły, biblioteki, centra naukowe, inne fundacje, kalendarz pęka w szwach. Wiąże się to z nieustannymi podróżami, bo bywa, że w ciągu tygodnia jestem na przykład w Poznaniu, Legnicy, we Wrocławiu, w Krakowie, Rzeszowie, Tarnowie, Łodzi. I ta działalność w terenie daje mi najwięcej satysfakcji. I takiego poczucia, że to, co robię, ma naprawdę sens. To było od początku moim marzeniem – by z internetu wyjść do ludzi. Widzę, że jak robię pokaz dla 150 dzieci na żywo, to one wynoszą z niego więcej niż pół miliona osób, które zobaczą filmik na TikToku, razem wziętych.

*W życiu trzeba trafić na kogoś, kto nami umiejętnie pokieruje. To nie musi być rodzic ani nauczyciel.*

**Powiedziałeś już wcześniej o roli, jaką w rozbudzaniu twojej ciekawości świata odegrali rodzice. A spotkałeś na swojej drodze takich nauczycieli, którzy byli dla ciebie wsparciem?**

W liceum, już tu w Warszawie, miałem dwóch. Jako laureat olimpiad – z języka polskiego i z chemii, mogłem wybrać sobie dowolne liceum w Polsce. Już w gimnazjum wiedziałem, że do liceum chcę wyjechać z mojego rodzinnego Wysokiego Mazowieckiego do większego miasta. Padło na Warszawę, bo tu mieszkała moja ciocia, siostra mamy. Często tu bywałem w ferie, wakacje i dobrze znałem to miasto, lepiej niż choćby bliższy geograficznie Białystok. Co ważne dla tej opowieści, gdy kończyłem gimnazjum, nie miałem pojęcia, co chcę robić, bo byłem dobry ze wszystkiego. I to był problem.



**Jak to?**
Bo nie miałem pojęcia, jaki profil wybrać w liceum. Dlatego zdecydowałem się na szkołę, w której nie ma profilu. Wybiera się tylko języki, a od drugiej klasy rozszerza się dowolne przedmioty. I kiedy trafiłem do tego liceum, to myślałem, że będzie jak dotychczas – nadal będę dobry we wszystkim, że tak musi być. Uczę się wszystkiego, zakuwam, nawet to, co mnie nie interesuje, biorę udział w dodatkowych zajęciach, wszystkich konkursach, jakich można. Z takim nastawianiem poszedłem po pierwszej lekcji polskiego do nauczyciela zapisać się na koło olimpijskie z tego przedmiotu. A on mi nie pozwolił.

**Dlaczego?**
Wiedział, że jestem podwójnym laureatem olimpiad i że już zapisałem się na koło olimpijskie z chemii. Powiedział, że to dobry moment, bym się ukierunkował, i skoro mam taki potencjał, to lepiej, bym się skupił na przedmiotach ścisłych.

**Nie próbował cię przeciągnąć na swoją stronę?**
Nie, a ja byłem na niego wtedy naprawdę wkurzony, uznałem, że blokuje mi rozwój. Nie rozumiałem, czego ode mnie oczekuje. A teraz, po latach, jestem mu wdzięczny. I wiem, że był to niezwykle ważny moment, który zdefiniował moje późniejsze kroki.

**Nigdy nie żałowałeś?**
Nie, bo mnie w języku polskim najbardziej interesowały gramatyka, interpunkcja, dyktanda – reguły, zasady, czyli taka najbardziej ścisła, matematyczna wręcz jego część. A koła olimpijskie w liceach zajmują się już głównie interpretacją wierszy, skomplikowanych tekstów kultury, dyskusją na ich temat, czytaniem po trzy książki tygodniowo. I pewnie z czasem sam bym zrezygnował.

**Pierwszy nauczyciel pomógł ci się ukierunkować, a ten drugi?**
To nauczyciel chemii w tym samym liceum, który prowadził również koło olimpijskie. Pokazywał nam eksperymenty i traktował nas po partnersku. Obok sali chemicznej mieliśmy takie małe laboratorium, wyposażone w sprzęt, różne odczynniki. Jako że brałem udział w olimpiadach z chemii i chodziłem na koło, miałem dostęp do laboratorium. Mogłem ćwiczyć do olimpiady – bo ona ma też część praktyczną. I mam jedną historię związaną z tym nauczycielem, która dobrze pokazuje, jaki był.
Raz po lekcjach z kolegą z koła olimpijskiego postanowiliśmy przetestować przepis na sztuczną krew z rodanku potasu. W wyniku tej reakcji powstaje płyn, który konsystencją, kolorem i zachowaniem do złudzenia przypomina krew. I wpadliśmy na genialny pomysł – skoro już zrobiliśmy tę krew, to laboratorium zmienimy w miejsce zbrodni: krew na podłodze, krew w zlewie. Zrobiliśmy zdjęcia. I ten nauczyciel nas na tym nakrył.
Spodziewaliśmy się jakiejś bury z tego powodu, ale nic takiego się nie wydarzyło. Docenił, że się nam udało. Zapytał, czy wiemy, jaka zaszła reakcja chemiczna, i powiedział, żebyśmy zapisali jej równanie, żebyśmy czegoś się przy okazji nauczyli w kontekście olimpiady. I żebyśmy po sobie posprzątali, mając na uwadze, jakie to substancje i jakich środków musimy w takim razie użyć. Żadnej złości – tylko nauka przez doświadczenie.
Wydaje mi się, że w życiu trzeba trafić na kogoś, kto nami umiejętnie pokieruje. To nie musi być nauczyciel. To nie musi być nawet rodzic, to może być ktoś, kogo nie znamy osobiście, możemy gdzieś po prostu go usłyszeć lub przeczytać to, co napisał.

**A ty masz doświadczenie, że tak wpłynąłeś na kogoś, kogoś zainspirowałeś?**
Tak, nawet więcej niż jedno. Dostaję liczne wiadomości od osób, które na przykład zaczęły mnie oglądać pięć lat temu i były wtedy nastolatkami, a teraz wybierają kierunki studiów. I piszą, że dzięki mnie zobaczyły, że biologia, chemia mogą być ciekawe. I że pod moim wpływem ktoś zdecydował się na studia biotechnologiczne.
Dostaję też sporo wiadomości od rodziców, którzy piszą, że ich dziecko, które mnie ogląda, na komunię poprosiło o mikroskop. I mnie to bardzo cieszy, bo jak zaczynałem, chciałem się po prostu dzielić swoimi odkryciami, badaniami, swoją pasją do nauki i stworzyć wokół tego społeczność. A w międzyczasie wyklarował mi się cel tej działalności.

**I co nim jest?**
Nie jest nim edukowanie i nie jest nim nauczanie. Ja nie prowadzę wykładów w mediach społecznościowych. Nie wymagam, żeby ktoś z moich materiałów się czegoś nauczył. Dziś widzę to tak: moją rolą jest inspirowanie do tego, by dokonywać odkryć na własną rękę, by mieć otwartą głowę, zadawać pytania, na nowo rozbudzić w sobie ciekawość świata. Chcę pokazać piękno nauki i odczarować trochę nauki ścisłe, nad którymi ciąży takie odium – głównie przez szkołę – że są trudne i wymagają wyjątkowych zdolności. One są dla każdego. Nie trzeba rozwiązywać zadań, by choć trochę interesować się chemią.
Jeżeli ktoś coś z mojego filmu zapamięta i powtórzy gdzieś jakąś ciekawostkę, to super. Jeżeli nic nie zapamięta, ale zostanie mu z tyłu głowy, że ta biologia czy chemia w sumie jest całkiem ciekawa, to też super. Wznieciłem iskrę.



Więcej na ten temat posłuchasz w audycji *Plac na Rozdrożu* w aplikacji **Radia 357**.




REPORTAŻ

# W mniejszym kinie. Historie znikania i trwania

*tekst* SYLWIA GUTOWSKA

*rysunek* DOMINIK NAWROCKI

**BEZ HAŁASU I POPCORNU**, za to często z winem czy herbatą. Tradycyjne kina trwają, choć już parokrotnie wieszczono im koniec. Czy więc wreszcie wygrały z multipleksami, których w ostatnich latach coraz więcej się zamyka?

Koniec czerwca 2026 roku, Olsztyn, wieczór, na zewnątrz 30 stopni Celsjusza. Tłumów nie ma, ale pod każdą z trzech sal czeka kilka osób. Przysiadam się do samotnie siedzącej kobiety. To Marta Krawczyk, trenerka personalna i psycholożka. Przyznaje, że w kinie Awangarda 2 jest po dłuższej przerwie. Idzie na retrospektywny seans filmu *Śledząc*, pochodzącego z 1998 roku debiutu Christophera Nolana. To jej pierwsze wyjście do kina w pojedynkę. – Niedawno polubiłam spędzać czas sama ze sobą. *Śledząc* jest o eksperymencie społecznym, a ja lubię analizować interakcje między ludźmi. O filmie nie wiem nic więcej, ale czuję, że muszę go zobaczyć – mówi.

Ja też lubię refleksyjne kino, choć moje pierwsze doświadczenia z dużym ekranem były historiami z bezpretensjonalnej popkultury. Pierwsze łzy w kinie to 1994 rok i *Król Lew*. Pierwszy śmiech – *Faceci w czerni* w 1997 roku (mama wygrała bilety w radiu). Oba filmy w nieistniejącym już Kinie Polonia w Olsztynie. Z kolei do Awangardy udawałam się na pierwsze samodzielne wyjścia z paczką z podstawówki.

Najpierw na *Miasteczku South Park*. Był 2000 rok, mieliśmy po 11–12 lat i żaden z rodziców nie protestował (pewnie do końca nie wiedzieli, że co drugie słowo to „k....", a na końcu każdego odcinka umiera Kenny, zakapturzony dziewięciolatek). Rok później byliśmy na filmie *Gulczas, a jak myślisz*? o uczestnikach *Big Brothera*. Po seansie do sali weszli bohaterowie naszej wyobraźni: Manuela, Monika Sewiołło, Sebek, Gulczas i reszta. Ale żeby nie było tak obciachowo, 2000 rok w Awangardzie to też *Przerwana lekcja muzyki*, czyli „kobiecy *Lot nad kukułczym gniazdem*" z Winoną Ryder i Angeliną Jolie. Na tym byłam z mamą.

ZE WSZYSTKICH olsztyńskich kin Awangarda najdłużej opierała się fali zamknięć spowodowanej ekspansją multipleksów u progu XXI wieku. Znajdowała się przy głównym placu olsztyńskiej starówki. Poza salą kino miało przestronną kawiarnię i taras. Dopiero w 2011 roku właściciel, Konrad Lenkiewicz, otrzymał wypowiedzenie umowy najmu kamienic. Zamknięcie kina było dla części Olsztyniaków końcem pewnej epoki. Od teraz można się było „stołować" tylko w Heliosie – pierwszym w mieście multipleksie. Ale Lenkiewicz znalazł inne miejsce, w budynku Książnicy Polskiej *vis-à-vis* ratusza. Nad księgarnią kino działa do dziś jako Awangarda 2.

– Legenda – mówi o Lenkiewiczu Patrycja Blindow, właścicielka lubianego przez kinomaniaków Żeglarza w Jastarni. Jedyne dziś kino na Półwyspie Helskim działa od czasów drugiej wojny światowej (jako Żeglarz – od powojnia), ale swoją drugą młodość przeżyło w 2020 roku dzięki magii mediów społecznościowych. Wtedy to Patrycja podzieliła się historią swojej rodziny, która od trzech pokoleń prowadziła kino, i utworzyła zrzutkę na odtworzenie oryginalnego neonu. Kiniarze z Olsztyna i Jastarni znają się ze Stowarzyszenia Kin Studyjnych, do której Awangarda należy od początku lat 90. „Legenda" zazwyczaj sama sprzedaje bilety w kasie. Siadamy przy stoliku w przerwie między seansem *Maryja, matka Jezusa* i *Diabeł ubiera się u Prady 2*.

– Religijne filmy podbijają frekwencję? – pytam. Mój rozmówca żartuje: – Bardzo. Ja w życiu tyle nagrzeszyłem, że muszę teraz je grać, żeby dostać się do nieba. A tam już Święty Piotr mówi: „Panie Konradzie, Awangardę 3 trzeba zakładać, czekamy". Lenkiewicz, rocznik 1952, zamierza prowadzić kino, dopóki starczy mu sił. – Moja mama we wrześniu skończy 100 lat. To ona zabierała mnie na bajkowe poranki do Awangardy. A wieczorne filmy, na które chodziła z tatą, opowiadała mi w drodze do szkoły – wspomina właściciel kina.

Po studiach filmoznawczych na Uniwersytecie Jagiellońskim rozpoczął doktorat w Krakowie, ale w 1978 roku wrócił do rodzinnego Olsztyna. Podjął pracę na miejscowej uczelni, ale doktorat rzucił na rzecz dziennikarstwa – był między innymi szefem działu kultury tygodnika „Warmia i Mazury". Jego pierwsza żona, Elżbieta Lenkiewicz, dostała posadę kierowniczki literackiej w Teatrze imienia Stefana Jaracza.

Równocześnie Lenkiewicz urządzał studenckie seanse filmowe w Kinie Awangarda. Wbrew niechęci Polaków do wszystkiego, co radzieckie, powodzeniem cieszył się jego cykl *Radzieckie kino poetyckie*. W jego ramach pokazywał artystyczne filmy twórców z ZSRR, takie jak *Biały ptak z czarnym znamieniem* Jurija Iljenki, *Tabor wędruje do nieba* Emila Loteanu czy *Cienie zapomnianych przodków* Siergieja Paradżanowa. – Po seansach studenci podchodzili do mnie: „Panie magistrze, jak to możliwe, że Rosjanie robią takie kino, a my go nie znamy?" – wspomina Lenkiewicz.

Transformacja polskich kin zaczęła się jeszcze za czasów Okrągłego Stołu. Jej inicjatorem był Juliusz Burski, ówczesny wiceprezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich, chwilę później wiceminister kultury w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Burski miał pomysł na „uwolnienie od państwa" starych, nierentownych kin. Zaproponował przekazanie ich w ręce środowiska kiniarzy. W kwietniu 1990 roku wydał tak zwane Zarządzenie nr 6, którym 17 Okręgowych Instytucji Rozpowszechniania Filmów (OIRF) zamienił na siedmiu państwowych dystrybutorów. Nierentowne kina przeszły w ajencję lub dzierżawę, najczęściej dotychczasowych pracowników kin. Drugi etap zakładał możliwość wykupu budynków przez dzierżawców po pięciu latach, za symboliczną złotówkę. 29 lipca 1990 roku Juliusz Burski zmarł i drugi etap reformy nigdy nie nastąpił.

W 1990 roku Konrad Lenkiewicz wraz ze wspólniczką, Danutą Fedorczuk, wydzierżawił Awangardę. Utworzył tam Centrum Kultury Filmowej Awangarda, w którego skład wchodziły kino i działająca w nim wypożyczalnia kaset VHS. Mimo że w tym czasie na odradzający się polski rynek wchodzili pierwsi dystrybutorzy – ITI, Solopan i Syrena – w repertuarze brakowało filmów. W zderzeniu z mnogością tytułów na kasetach wideo i wygodą oglądania ich

SYLWIA GUTOWSKA, dziennikarka, Olsztynianka z urodzenia, Gdańszczanka z wyboru. Z wykształcenia kulturoznawczyni i polonistka, absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu. Zajmuje się głównie tematami społecznymi.

w domu kina przegrywały. Według Lenkiewicza wszystko zmienił 1993 rok i premiera *Parku Jurajskiego*.

– Ten film pokazał potęgę kina. Okazało się, że tylko w dużej sali jest sens oglądać dzieła robione z takim rozmachem – mówi. W hicie Stevena Spielberga dinozaury naprawdę „ożyły". Do ich animacji nie zastosowano tradycyjnej animacji poklatkowej. Nowa technologia łączyła zaawansowaną animatronikę z nowoczesną grafiką CGI (*computer-generated imagery*, obrazy generowane komputerowo). Mechaniczne modele wielkich gadów poruszały się na planie, a dzięki umieszczonym na nich punktom komputer dodatkowo je animował. Efekt był, jak na owe czasy, niezwykle realistyczny.

W latach 90. Kino Awangarda redystrybuowało taśmy filmowe do 56 kin w mieście i w Polsce północno-wschodniej. Jeden tytuł mieścił się na kilku szpulach, czyli w aktach. Często, gdy tylko taśma schodziła z projektora Awangardy, ruszała do kolejnego kina, gdzie seans zaczynał się kilkadziesiąt minut później. Jeśli Lenkiewicz miał dwie kopie filmu, jedna z nich trafiała do kin olsztyńskich – Kopernika i Polonii – a druga do większych miejscowości w regionie: Elbląga, Ostródy, Ciechanowa. Jeśli właściciele kin z mniejszych miast chcieli pokazać obraz premierowo, brali po jednej szpuli z Olsztyna i w pośpiechu robili kilka kursów. Jeśli nie wybierali tego rozwiązania, ich widownia musiała czekać, aż film do nich trafi – niekiedy kilka tygodni.

Przez dwa i pół miesiąca Lenkiewicz woził taśmy z Awangardy do olsztyńskiego Kina Grunwald na Zatorzu. Pewnego razu przy ratuszu był wypadek i centrum się zakorkowało. – Staję i mówię: „No koniec, nie dojadę". A tam ludzie na widowni czekają na dwa ostatnie akty. Podchodzę do policjanta: „Mam problem, wiozę film". A on: „*Jurassic Park*?" „*Jurassic Park*". „Dawaj pan". I na sygnale zawiózł mnie do kina. Wysiadam, a on do mnie: „Panie Konradzie, załatwi pan wejściówki? Bo się nie możemy dostać".

—

OKRES OŻYWIENIA skończył się z rokiem 2000 i nadejściem kin wielosalowych. Pierwszym takim obiektem w Polsce było Multikino 51 otwarte jeszcze w 1998 roku w Poznaniu (zamknięto je w marcu 2025 roku). W latach 2000–2010 w całej Polsce powstało kilkadziesiąt kin wielkosalowych, czyli mających powyżej ośmiu sal. W 2011 roku działało w naszym kraju 448 kin, z czego multipleksy stanowiły jedynie 11,4 procent, jednak skupiały prawie połowę widowni. Wszyscy kiniarze, z którymi rozmawiam, zgodnie nazywają to najpotężniejszym ciosem dla tradycyjnych kin. W Olsztynie pierwszym kinem wielosalowym był Helios, który powstał dość późno, bo w 2005 roku. Lenkiewicz zdążył się przygotować.

*W latach 2000–2010 w całej Polsce powstało kilkadziesiąt kin wielkosalowych, czyli mających powyżej ośmiu sal. W 2011 roku działało w naszym kraju 448 kin, z czego multipleksy stanowiły jedynie 11,4 procent.*

– Patrzyłem na kolegów, którzy to przerabiali. Wiedziałem, że uderzenie będzie ogromne – mówi. Nie chcąc konkurować z multipleksem, postawił na zupełnie inny repertuar. Specjalnością Awangardy stały się filmy artystyczne. Lenkiewicz nadejście multipleksów porównuje z pojawieniem się McDonaldów w Polsce. – Każdy chciał spróbować. I choć 90 procent klientów zostało przy fast foodzie, to część stwierdziło, że jednak kotlet schabowy z ziemniakami i zasmażaną kapustą jest bardziej sycący – mówi. W Awangardzie zostali widzowie, którzy szukali alternatywy dla hałasu i długich reklam.

W 2011 roku właściciele Awangardy musieli wynieść się z lokalu na starówce. Stało się tak z powodu jednej transakcji. W 2005 roku fundusz Capital Park, zarządzany przez braci Jana i Jerzego Motza, przejął od samorządów 43 budynki kin na terenie trzech województw: pomorskiego, kujawsko-pomorskiego i warmińsko-mazurskiego. W efekcie poupadały tradycyjne kina w Bydgoszczy (dziś jedynym takim obiektem jest Kino Orzeł – część Miejskiego Centrum Kultury), Toruniu (ambitny repertuar pokazuje tam tylko Kino Centrum będące częścią Centrum Sztuki Współczesnej Znaki Czasu, jednak seanse nie odbywają się każdego dnia; w 2025 roku przy jednym z hoteli otwarto też studyjne Kino 1410 z 23 miejscami), Olsztynie (wspomniane kina Polonia i Kopernik nigdy się nie odrodziły) czy Trójmieście (między innymi Neptun i Bajka w Gdańsku czy Polonia w Sopocie). Całość kupiono za 23,5 miliona złotych.

Czy była to adekwatna kwota za 43 budynki w atrakcyjnych lokalizacjach miast? To kilkukrotnie badała prokuratura – między innymi przed przejęciem, na wniosek Jacka Kurskiego. Za każdym razem postępowanie umarzała.

– Jeden z członków zarządu Capital Park, Jerzy Kowalski, był moim kolegą [był wcześniej jednym z założycieli sieci multipleksów Echo Cinema, później Kinoplex, które w 2009 roku wykupił Helios – przyp. S.G.]. Powiedział mi: „Konrad, my mamy inne plany wobec tego budynku. Oni cię finansowo przebiją". A w umowie dzierżawy miałem prawo pierwokupu – wspomina właściciel kina Awangarda.

Lenkiewicz odszukał źródła mówiące o 100-letniej historii obiektu. Okazało się, że już w 1911 roku w tym miejscu działało Kino Luisen Theater. To uczyniło je trzecim najstarszym kinem w Polsce, po Pionierze w Szczecinie (1907) i Muzie w Poznaniu (1908). Kiniarz próbował doprowadzić do wpisania historycznego obiektu na listę zabytków. Choć nie udało mu się to z zespołem kamienic, które zajmowała Awangarda (były odbudowane po wojnie), to we współpracy z konserwatorkami zabytków na listę wpisał wnętrze kina. Nie uratowało go to przed wyprowadzką, ale każdy kolejny właściciel musiał działać z zachowaniem układu przestrzennego sali.

W 2011 roku zaczął szukać nowego miejsca. Kolejny prezydent Olsztyna, Piotr Grzymowicz, zaproponował mu budynek po klubie muzycznym Come In, gdzie na przełomie wieków odbywały się rockowe koncerty i imprezy techno. Gdy o tych planach dowiedział się były właściciel klubu, zadzwonił do Lenkiewicza: – Konrad, nie bierz tego! To miejsce jest przeklęte. Tam nic nie wyjdzie.

– On na poważnie z tym przeklęciem? – nie dowierzam. Lenkiewicz się śmieje:

– Oczywiście. Wychodząc ze starej Awangardy, moja żona też ją przeklęła. I jakoś przez kilkanaście lat żaden biznes tam się nie utrzymał. Także coś w tym jest.

Ostatecznie przyjął propozycję Jerzego Okuniewskiego, prezesa Książnicy Polskiej (wywodzącej się z Olsztyna sieci księgarń), który miał zamiar dobudować do swojej głównej siedziby nowe piętra. „Przyjdź, zobacz, co ci mogę dać", powiedział Okuniewski. Przestrzeń była dużo mniejsza, ale miała kilka sal. Żeby sprzęt do wyświetlania zmieścił się w kabinie projekcyjnej, kiniarz zlecił przerobienie dwóch projektorów w jeden duży, na który zamiast tradycyjnych szpul z aktami, które trwały po 20 minut, nakładało się film w całości.

– W 2011 roku cyfry [filmy na nośnikach cyfrowych – przyp. S.G.] dopiero zaczęły wchodzić. Nawet multipleksy grały jeszcze ze szpuli – wspomina Lenkiewicz. Z przerobionego projektora wyświetlał filmy jeszcze dwa lata. Później, z pomocą programu Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej (PISF), stopniowo scyfryzował wszystkie trzy sale.

Właściciel Awangardy szczególnie chwali sobie wsparcie z międzynarodowej sieci kin Europa Cinemas. Wywodząca się z Francji i działająca w ramach unijnego programu MEDIA Creative Europe organizacja wypłaca roczne ekwiwalenty rzędu nawet 100 tysięcy złotych. Warunek to granie europejskiego repertuaru (też z własnego kraju). Kwoty są wyliczane według progów procentowych każdemu z ponad 3 tysięcy kin w Unii Europejskiej.

– To pozwoliło mi zebrać wkład własny na projektory cyfrowe do trzech sal. Jeden to około 240 tysięcy – mówi Lenkiewicz. W programie cyfryzacji kin PISF daje 50 procent tej kwoty. – Kino cyfrowe spowodowało, że mniejsze przybytki nie musiały już czekać na kopie. Mogły grać filmy premierowo. Musiały tylko spełnić warunki dystrybutora – stwierdza. Według niego w małych miastach kina działające w domach kultury zaczęły się odradzać. W istocie to, czy kino otrzymało 50 procent wkładu, zależało od woli lokalnych polityków.

– Jak burmistrz lubi piłkę, to w mieście będzie stadion, a jak mandolinę, to dom kultury – podsumowuje później Ewa Bilińska-Wołodźko, wieloletnia dyrektorka domu kultury w Dobrym Mieście, w latach 90. przez lokalną młodzież zwana „ciocią Elą", od 20 lat na emeryturze.

Lenkiewicz nauczył się funkcjonować w erze multipleksów. Szybko zorientował się, że może z nimi konkurować, nawet jeśli także wyświetlają wartościowe filmy. Podaje przykłady odnoszących sukcesy polskich reżyserów, takich jak Wojciech Smarzowski, Paweł Pawlikowski czy Jan Komasa. – *Ida* nie była grana w multikinach, ale *Zimna wojna* już tak. Jak Helios w pierwszym tygodniu wrzucił ten film na godzinę 11:00, a w drugim na 20:00, to już wiedziałem, co będzie. Potem był seans o 13:00 i po dwóch tygodniach *Zimną wojnę* zdjęli. A ja grałem ją przez 186 dni bez jednego dnia przerwy. Bo reklama szeptana zaczyna się po dwóch, trzech tygodniach. Dopiero wtedy ludzie zaczynają przychodzić – tłumaczy.




—

KOLEJNE TĄPNIĘCIE przyszło z pandemią. – Pamiętam ostatni seans przed lockdownem, grałem *Na rauszu*. Godzina 20:00, tłum ludzi. Trzy sale. I wszyscy, co kupują bilety: „stówa, bez reszty", „stówa, bez reszty". Żebyśmy tylko przetrwali – wspomina. W latach 2020–2022 reguły dotyczące widowisk co chwila się zmieniały, raz można było zapełnić co drugie miejsce, to znów wracał całkowity zakaz. – A 2019 to był rekordowy rok, jeśli chodzi o frekwencję w Polsce. Pracowały na to wszystkie kina przez prawie 30 lat – mówi. Według Głównego Urzędu Statystycznego (GUS) w tamtym roku polskie kina odwiedziło 61,7 milionów widzów. W pierwszej dziesiątce najchętniej oglądanych filmów znalazł się wtedy tylko jeden film studyjny, *Boże ciało* Jana Komasy. W 2020 roku liczba widzów spadła do 19,5 miliona. W 2025 było ich 49,7 miliona.

Z pomocą rządowych programów wsparcia, zwanych tarczami antykryzysowymi, Lenkiewicz przetrwał pandemię. Dziś właściciel Kina Awangarda musi konkurować z platformami streamingowymi. Te cieszą się popularnością nie tylko u młodych. – Miałem wśród widzek emerytowane nauczycielki, około 15 pań. Przychodziły zawsze we wtorki. Zamawiały wino, ciasto, siedziały, potem zawsze na trzech salach coś było dla nich. Po pandemii pań nie ma. Tydzień, dwa, miesiąc. Kiedyś na ulicy spotykam dwie z nich. „O, miło panie widzieć, coś dawno nie było pań w kinie". Zmieszane mówią: „Panie Konradzie, bo my teraz w każdy wtorek spotykamy się u którejś z koleżanek, kupujemy ciasto, wino i oglądamy serial *The Crown*. Widział pan?". „Widziałem". „Podobał się?" „Przyzwoity". „Bo my oglądamy już drugi sezon". „A ile oglądacie odcinków naraz?" „Trzy". „Oj, to prędko do kina nie wrócicie".

Bywałam w Awangardzie na przestrzeni lat i Lenkiewicz w kasie zawsze stał zasępiony. Wita mnie szerokim uśmiechem. – A po co ja tutaj stoję? Żeby nie siedzieć w ogródku w dresie, bo bym już zdziadział zupełnie, wolę rozmawiać z ludźmi – mówi. – Przychodzą do mnie, pytają: „Panie Konradzie, co pan dziś poleca?". Czuję się tutaj jak prawdziwy gospodarz.

Dwa tygodnie później, gdy kupuję bilet na film, znowu jest poważny. Tego dnia umarła jego mama. „To dzięki niej pokochałem kino", pisze na swoim profilu w mediach społecznościowych.

Dopiero w 2026 roku w jednej z trzech kamienic, które zajmowała Awangarda na Starym Mieście, otworzył się lokal – sieciowa naleśnikarnia. Zajęła dawną salę kinową, czyli część wpisaną do rejestru zabytków. Układ przestrzenny pozostał nienaruszony, a w środku znajdują się nawiązania do historii tego miejsca.

—

PODOBNĄ DROGĘ od głównego kina w województwie do zmagającego się z wolnym rynkiem ośrodka przeszedł Neptun w Gdańsku. Kierujący nim wtedy Mirosław Morzyk (od 1989 do 2015 roku) też redystrybuował

filmy okolicznym kinom. Tyle że „okolica" obejmowała 156 kin (o 100 więcej niż w Olsztynie) i sięgała aż do Pomorza Zachodniego. – Jeden z dystrybutorów filmowych, jak się kiedyś zezłościł, powiedział o mnie „ten car Wybrzeża" – wspomina Morzyk.

Neptun miał za sobą 60-letnią historię. Kino przy ulicy Długiej działało od listopada 1939 roku, kiedy otwarto nazistowski Tobis-Palast. Po wojnie do 1993 roku funkcjonowało pod nazwą Leningrad. Miało do 1200 miejsc i było największym kinem w Polsce. Największym i najważniejszym. To tu odbywały się pierwsze edycje Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych. Razem z Kameralnym i powstałym w 1984 roku Helikonem tworzył Gdańskie Centrum Kultury Filmowej (po 1990 roku – Gdańskie Centrum Filmowe). Te dwa mniejsze kina prowadziła Anna Morzyk, żona Mirosława. Odpowiadała też za działającą w Centrum na przełomie lat 80. i 90. wypożyczalnię kaset wideo.

Zanim Morzyk przejął Neptuna, w 1989 roku wziął w ajencję Kino Bajka w gdańskim Wrzeszczu. Było to jedno z pierwszych prywatnych kin w Polsce – za pierwsze uważa się Przedwiośnie w Łodzi. Morzyk chciał przejąć jeszcze pobliskie Kino Znicz, ale ówczesny dyrektor Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów zaproponował mu Leningrad. Czas był trudny – koniec dystrybucji państwowej oznaczał luki w repertuarze. – Wtedy powiedziałeś mi, że jesteś bankrutem – mówi siedząca obok męża Anna Morzyk, a on stwierdza: – Uratował mnie wtedy krakowski IFDF „ApolloFilm". Wydębiłem od jej dyrektora kopię filmu *Porno* Marka Koterskiego, którą wstawiłem i grałem, grałem, grałem. Potem dystrybutorzy z ITI, Stefan Laudyn i Piotrek Grajkowski, przytargali fotosy do *Niebezpiecznych związków*, czyli pierwszego filmu w Polsce dystrybuowanego prywatnie.

Z VHS-ami Neptun wygrał *Batmanem* (polska premiera w 1990 roku). Ale i tak musieli ratować się restrukturyzacjami. Jak już było wspomniane, dawne OIRF-y z pomorskiego, kujawsko-pomorskiego i warmińsko-mazurskiego wchłonęła nowa instytucja filmowa, Neptun Film. Jej szefami zostali Leszek Kopeć i Mirosław Morzyk. Kontrowersje budziło zwierzchnictwo pomorskiego nad dwoma pozostałymi województwami. – Okazało się skuteczniejsze – kwituje Morzyk. W podobny sposób powstało sześć innych instytucji z głównymi siedzibami w Poznaniu, Warszawie, Katowicach, Krakowie, Łodzi i we Wrocławiu.

Neptun Film pozostawał nierentowny, a jako instytucja nie mógł być sprywatyzowany. Trzeba było znaleźć inne rozwiązanie. Morzyk tłumaczy zawiłości, powołanie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością i przeniesienie do niej majątku instytucji w zamian za udziały. – Trzeba było łapać prawą ręką za lewe ucho – podsumowuje. Według niego już wtedy było widać, że bez tworzenia sieci multipleksów w branży działać się nie da.

*Znikanie w całej Polsce multipleksów ma kilka przyczyn: koszty najmu, konkurencja ze strony platform streamingowych i ceny działek, które bardziej opłaca się sprzedać deweloperom.*

Ostatecznie spółkę sprzedano funduszowi wspomnianych już braci Motz – w ramach tego samego przejęcia zamknięto „starą" Awangardę. Wówczas Mirosław Morzyk i Leszek Kopeć zostali dyrektorami gdańskiej spółki Neptun Film, której udziały kupił Capital Park, *de facto* likwidator Neptuna i reszty kin. Pytam, jak do tego doszło. – Odbyło się walne zgromadzenie i ono podjęło takie decyzje. A my zostaliśmy dyrektorami z określonym zadaniem. I to zadanie musieliśmy po prostu wykonać albo zrezygnować – odpowiada Morzyk.

W 2008 roku Kino Neptun zawiesiło działalność na sezon zimowy. Później znowu działało do 2015 roku, ale seanse nie odbywały się każdego dnia. – Nie było zgody nowego właściciela żeby inwestować – mówi dawny dyrektor. Poza wchodzącą już cyfrą o odnowienie prosił się system ogrzewania, oparty na dwóch wielkich piecach wodnych grzanych węglem. Gdy zakazano nim palić w Głównym Mieście (reprezentacyjnej, starej części gdańskiej dzielnicy Śródmieście), zimą na sali Neptuna temperatura spadała do 14 stopni Celsjusza. Do tego ekran, według Morzyka, na tak wielkiej sali powinien być większy.

Jedyną nadzieję ocalenia umierającego giganta widział w rozbudowaniu zespołu Neptun/Helikon/Kameralne i utworzeniu tam citypleksu, a więc kina na około sześć sal, które miałoby zachować studyjny charakter. Jako przykład udanej przebudowy w takim duchu podaje Koninklijk Theater Tuschinski w Amsterdamie. Sześciosalowy obiekt mieści się w secesyjnej kamienicy w centrum miasta. Wokół głównej sali z 1921 roku dobudowano kolejne. – Tyle że tam można było dojechać, a na Długą nie – mówi Morzyk. Bo ulica Długa jest wyłączona z ruchu samochodowego. Były dyrektor uważa, że jesienią i zimą to zniechęcało widzów. Poza tym ryzyko rozbudowy kina miasto oceniło jako niewspółmierne do kosztów, szacowanych na około 2 miliony dolarów, jak w 2015 roku mówił Morzyk dla portalu Trojmiasto.pl. Kina na Długiej przegrywały więc z otwartą niedaleko Neptuna Cinema City Krewetka.

Dziś z pierwszych trzech gdańskich multipleksów – Multikina przy Alei Zwycięstwa (otwarte w 2000 roku), Heliosa w galerii handlowej Alfa przy ulicy Kołobrzeskiej na Przymorzu (2002) i Cinema City Krewetka przy ulicy Karmelickiej (2003) – działa tylko Multikino. Krewetka stoi pusta od 2018 roku, a całą galerię Alfa, pomimo protestów mieszkańców, zamknięto 29 marca 2026 roku. W jej miejscu firma deweloperska Euro Styl postawi blok. Podobnie wiosną tego roku w Sopocie zamknięto Multikino przy Placu Zdrojowym u stóp Monciaka – po zniknięciu Polonii jedyne kino w tym mieście. Likwidowanie multipleksów w całej Polsce ma kilka przyczyn: koszty najmu, konkurencja ze strony platform streamingowych i ceny działek, które bardziej opłaca się sprzedać deweloperom. Dlatego, jak przekonywał mnie Lenkiewicz, dziś w sieciówkach można obejrzeć filmy studyjne, bo kina wielosalowe „ratują się jak mogą".

Ale początki milenium to głód nowego. – Tradycyjne kina były w większości zaniedbane, wyposażone w przestarzały sprzęt. Nieremontowane od lat – mówi Anna Morzyk. A w tych nowych działał „efekt barowy multipleksów". Widz nie przychodził na konkretny film, tylko po doświadczenie kina

z popcornem i colą, a multipleks zarabiał już nie na bilecie, ale na barze.

Mimo swoich rozmiarów pod koniec działalności Neptun wyświetlał kameralne obrazy. Największy sukces w tych latach to praktycznie pozbawiony dialogów francuski film *Wielka cisza*, którego akcja rozgrywa się w klasztorze. – Na sali też wszyscy siedzieli cichutko. Przychodziło po kilkaset osób i to było ewenementem w skali kraju, bo film chodził głównie po kinach studyjnych – wspomina Anna Morzyk.

„Cześć starenia! Dziękuję za wszystko!" – te ostatnie słowa Zbyszka Cybulskiego podobno wycisnęły łzy z oczu widzów Neptuna. 31 maja 2015 roku urządzono pożegnalny pokaz *Do widzenia, do jutra* Janusza Morgensterna, filmu kręconego w powojennym Gdańsku. Współautorem scenariusza był Cybulski, który także zagrał w tym filmie główną rolę. Do napisów końcowych dyrekcja kina dodała: „Zapraszamy do Gdyni!".

—

W LATACH 70. XX wieku niedaleko Kina Neptun, pod gdańskim Ratuszem Głównego Miasta, prowadzono badania archeologiczne. Odkryto wtedy znaleziska świadczące o osadnictwie na tym terenie już w 930 roku, a więc starsze o 60 lat od przyjmowanej dotąd daty założenia miasta. Gdyby znaleziono coś z tego okresu w 2003 roku, kiedy na miejscu kina rozpoczęto budowę hotelu, musiałaby ona zostać zatrzymana.

Przy początkowych badaniach archeologicznych pracowała archeolożka i kulturoznawczymi Kora Tea Kowalska. Opisała to w swojej książce *Patrz pod nogi. O zbieraniu rzeczy*: „Nastroje wśród wieloletnich pracowników kina już wtedy były minorowe. Czasem któryś z nich zaglądał do piwnic i zrezygnowany podpytywał, czy już znaleźliśmy ten przedlokacyjny Gdańsk, licząc może, że gdybyśmy znaleźli, to ostatecznie zamknięcie przesunęłoby się w czasie. (...) Jeśli ślady Gdańska z X wieku gdzieś tam były, to zostały bezpowrotnie zniszczone razem z kinem".

Kowalska w swojej książce zastanawia się, jak to możliwe, że budynek, przebudowany w latach 50. XX wieku, bogato zdobiony elementami powojennej sztuki, nie został wpisany na listę zabytków. Odpowiedź według niej jest prosta – szersze zainteresowanie architekturą i dizajnem PRL-u nastąpiło dopiero kilka lat później. Przedtem wielkoformatowa mozaika Anny Fiszer znajdująca się na tyłach kina (i pojawiająca się w kadrze *Do widzenia, do jutra*) na nikim nie robiła wrażenia. Po prostu była. – Kiedy trójmiejskie środowisko artystyczne zaczęło bronić tej mozaiki, pojawił się wokół tego fermencik. To był moment, kiedy deweloper miał trochę złą prasę – wspomina autorka.

Na ostatni seans do Neptuna Kowalska nie przyszła. – Żegnamy kino? Miałam na to wewnętrzną niezgodę – mówi.

Pod naciskiem opinii publicznej Capital Park zobowiązał się do stworzenia w hotelu kina. Piotr Gładkowski, wówczas inspektor nadzoru budowlanego przy przebudowie Neptuna, wspomina spotkanie ze społecznością Gdańska: – Na jednej z narad okazało się, że prowadzący projekt menedżer z Warszawy ma bardzo duży problem, żeby wykonać to zobowiązanie. To kino miało być nie na górze, tylko... Właściwie nie wiadomo, gdzie miało być, bo to było rzucone zupełnie *ad hoc*, żeby ten bunt opanować – mówi.

Temat nowego kina stał się „gorącym ziemniakiem" dla podwykonawców. – Stanęło na starych powierzchniach piwnicznych, gospodarczych, bardzo mocno zapuszczonych. I rzeczywiście projektantka zaaranżowała tam kino. Już na etapie początku budowy wiedziałem jednak, że to pic na wodę, fotomontaż. To nie spełniało zasad, które pozwalałyby temu miejscu funkcjonować – mówi dalej Gładkowski. W końcu to on podjął się utworzenia tam kina. Capital Park wyłożył pewną sumę, a resztę zorganizował sam. Wziął kredyty, leasingi, wspomagał się innymi działalnościami biznesowymi. Tak powstało Kino Kameralne Cafe.

—

DO NIEDAWNA Kino Kameralne Cafe z salą na 48 widzów było jedynym kinem studyjnym w Gdańsku Głównym. Dopiero w 2025 roku otwarto Kino Spectrum w odnowionym, legendarnym w latach 50. klubie Rudy Kot (dziś Kot). Niemal całość repertuaru Kameralnej Cafe to filmy studyjne. Piotr Gładkowski jest jednym z dwóch

Wydawnictwo
LITERÓWKA
przedstawia:




*„Warstwy" to nie tylko dzieło sztuki.*
*To także księga mądrości.*

Przemek Staroń



koordynatorów Sieci Kin Studyjnych w regionie Polska Północna. Mimo że kino znajduje się w centrum (choć trzeba wiedzieć, jak trafić na tyły hotelu), właściciel przyznaje, że takiego miejsca nie prowadzi się dla zysków.

Nadziei na poprawę sytuacji mniejszych kin upatruje w trwających w Stowarzyszeniu Kin Studyjnych (SKS) pracach nad ustawą o kinie i filmie studyjnym. Klimat polityczny jest niezły – sprawie sprzyjają związani ze środowiskiem senatorka Małgorzata Kidawa-Błońska (żona reżysera i producenta Jana Kidawy-Błońskiego) czy wiceminister kultury i szef Departamentu Prawa Autorskiego i Filmu, mający na koncie występy aktorskie Maciej Wróbel.

Gdańszczanka Agata Wojtuń do końca chodziła do Neptuna, a wcześniej Leningradu. Była na ostatnim seansie. – Nie pamiętam zbiorowego płaczu, za to działo się coś innego. W scenie z mozaiką [Anny Fiszer – przyp. S.G.] wszyscy zaczęli klaskać – wspomina. Dziś to Kameralne jest jej kinem pierwszego wyboru. – Głównie ze względu na repertuar. Mała sala mi nie przeszkadza. Chodząc tam, mam poczucie wspierania ludzi z pasją, a nie korpo. To jak kupowanie książek w lokalnej księgarni – mówi.

W Kinie Kameralnym można bawić się na quizie filmowym lub przyjść na dyskusję do Klubu Filmowego „Podziemie". Kilka razy prelekcję prowadził tam Bartosz Filip, filmoznawca: – Pod tym ceglanym sklepieniem czuję się trochę jak w katakumbach po dawnym kompleksie kin. Przypomina mi się wtedy Helikon. Mieli tam fotele o bardzo niskich oparciach, właściwie się na nich leżało, bo nieustannie się rozsuwały – mówi.

Do Kameralnego wstawiono oryginalne siedzenia z Neptuna, obite nowym aksamitem. Skrzypienie zostało. – Sala nie za duża, ale wygrywa klimatem kina nastawionego na eksperymentowanie, trochę misyjnego miejsca zajawkowiczów (choć oczywiście rachunki muszą się zgadzać). Zespół jeździ na festiwal do Cannes szukać filmów, a podczas seansu podadzą kieliszek wina, który można postawić sobie przy stoliku między siedzeniami. Takie szczegóły budują atmosferę spotkania – podsumowuje Filip.

Dawne widzki Neptuna dziś cenią sobie specjalne pokazy dla seniorów o godzinie 12:00 (bilety po 12 złotych, w karnecie – 10 złotych). – Są tacy, co nie chodzą do Kameralnego? To sobie krzywdę robią. Czasy się zmieniają, trudno. Mnie też jest zawsze smutno, gdy widzę tę przebudowę, ale… – mówi Alicja Kempińska, jedna z widzek, a inna, Anna Kowalska, kończy: – Szuka się kina, w którym można obejrzeć dobry film.

—

POCZĄTEK MAJA 2026 ROKU, Kino Nawojka, Lipno, województwo kujawsko-pomorskie. Jest przed 18:00, za chwilę seans filmu *Michael*, fabularnej opowieści o Michaelu Jacksonie. Obok mnie stoi rodzina z na oko 10-letnim chłopcem w czarnym stroju ozdobionym brokatowymi skarpetkami, rękawiczkami i kapeluszem *à la* Król Popu. Pomijając wprawiające w dyskomfort użycie sztucznej inteligencji w animacjach twarzy



bohaterów i całkowitą apoteozę Jacksona, film ogląda się przyjemnie. Na wygodnych fotelach do muzyki głównego bohatera filmu podrygują jego fani sprzed lat. Prawie jak w multipleksie, ale bez popcornu i na sali liczącej tylko 135 miejsc.

Menedżerka kina, Monika Boncal, mówi, że wybiera filmy, które mogą spodobać się widzom. Od „trudniejszego" repertuaru jest Monika Głowacka, która od 2013 roku w Kinie Nawojka prowadzi Dyskusyjny Klub Filmowy „Se(a)ns". Teraz, po remoncie, widzowie chętnie przyjdą na ambitniejszy film. Mamy możliwość zamawiania nowych produkcji.

Podczas majowego spotkania „Se(a)nsu" grano *Wartość sentymentalną*, która polską premierę miała w lutym 2026 roku. Głowacka odczytuje ze swoich notatek: „100 osób". – Widzowie sporo już o tym filmie słyszeli. Mówiłam na poprzedniej prelekcji, że miał 19-minutowe owacje na stojąco w Cannes. Poza tym czasem przychodzi ktoś spoza stałej widowni. Nawet z Włocławka – mówi. To najbliższe większe miasto, oddalone około 30 kilometrów od Lipna. Na spotkaniach klubu pojawiają się widzowie w wieku od 40 lat wzwyż. Dominują 50- i 60-latkowie.

Czasem przyjeżdżają twórcy, jak reżyser Piotr Domalewski przy okazji seansu *Ministrantów*. – Przyjeżdżają, bo wierzą w sens tworzenia sztuki filmowej – stwierdza Głowacka i przyznaje, że wiele zależy też od jej siły przekonywania. Środki na honoraria dla gości kino jest w stanie uzyskać ze sprzedaży biletów. – Znacznym wsparciem jest dofinansowanie z PISF-u, jednak od jakiegoś czasu środki na honoraria dla gości jesteśmy w stanie uzyskać ze sprzedaży biletów. Ale to wymagało wytrwałości, zanim kino przeszło proces rewitalizacji i otrzymało wysokiej jakości sprzęt.

W 2023 roku Kino Nawojka przeszło kapitalny remont. Zakupiono projektor cyfrowy (za 240 tysięcy złotych), nowy ekran, wymieniono siedzenia i całkowicie odnowiono wnętrze kina. Zewnętrze również przeszło renowację – jeszcze przed czterema laty ściany bryły były odrapane i w kolorach biało-żółtych, dziś są utrzymane w szarościach. Całość prac kosztowała prawie 4,5 miliona złotych. Większość z tego pokryły środki unijne. Cyfryzację kina objął program PISF-u.

W pochodzącym z XIX wieku budynku na początku była cerkiew, w 20-leciu międzywojennym funkcjonował tu Dom Ludowy. Kino powołali do życia okupujący Lipno Niemcy. Z kolei po drugiej wojnie światowej bydgoskie przedsiębiorstwo „Film Polski" otworzyło tu Kino Ojczyzna. Nazwa „Nawojka" pojawiła się w latach 70. i nawiązuje do imienia przypisywanego żyjącej w XV wieku pierwszej polskiej studentce, która w męskim przebraniu miała kształcić się na Akademii Krakowskiej. Według niektórych źródeł była córką burmistrza Dobrzynia nad Wisłą niedaleko Lipna.

Od 38 lat w Kinie Nawojka pracuje Paweł Wolski, przez większość tego czasu jako kinooperator. Uczył się fachu od Edwarda Krajewskiego, który przepracował tu 40 lat

i (podobnie jak wielu kinooperatorów do końca XX wieku) mieszkał w pomieszczeniach nad kinem. Wolski chwali się, że po remoncie projektor laserowy mają lepszy niż w Rypinie (w należącym do pobliskiego miasta Kinie Bałtyk), ale z sentymentem wspomina taśmy 35 milimetrów. – Piękna sprawa. Przychodzisz i widzowie wiedzą, że od ciebie coś zależy. Trzeba było zdążyć przełączyć akty. Jeśli był moment opóźnienia, na ekranie pokazywała się biała plama, a po widowni przechodził pomruk niezadowolenia – wspomina.

Dziś w projektorni, w której kiedyś stały maszyny produkcji Łódzkich Zakładów Kinotechnicznych, jest sporo wolnego miejsca. Ekrany i projektor mieszczą się na biurku. Jeden projektor szpulowy jest wystawiony w hallu, drugi stoi na strychu. – Rekuperacja, ciepła woda w kranach… – Wolski zaczyna wymieniać najbardziej palące potrzeby, zaspokojone trzy lata temu. Przedtem sala była nieogrzana, a filmy puszczano z odtwarzacza blue ray. Dzisiaj każdy element kina jest nowy, stylizowany na *art déco*.

Zanim doszło do metamorfozy, kino rozsławił Przegląd Twórczości Filmowej „Pola i inni" poświęcony urodzonej w Lipnie Poli Negri. Odbył się z inicjatywy Lipnowskiego Towarzystwa Kulturalnego imienia Poli Negri. Pomysł wypromowała krytyczka filmowa Wiesława Czapińska-Kalenik. Dziś, po 19 edycjach, w hallu budynku wywieszone są zdjęcia uczestników imprezy: Daniela Olbrychskiego, Nataszy Urbańskiej, Bogusława Kaczyńskiego, Marcina Dorocińskiego czy Joanny Kulig.

W udostępnionej zwiedzającym sali pamięci Poli Negri na piętrze kina widnieje plakat z laureatami festiwalu z jego honorową statuetką „Politki". Wśród nich jest Igor Chalupec, spadkobierca Poli Negri (urodzonej jako Apolonia Chałupiec) – biznesmen znany z prezesowania „Ruchowi" w ostatnich latach przed upadkiem spółki [o czym pisała Sylwia Gutowska, „Pismo" nr 1/2026 – przyp. red.], za co w marcu 2026 roku postawiono mu zarzuty prokuratorskie w sprawie o niegospodarność i szkody na blisko 429 milionów złotych. Statuetkę otrzymał w 2005 roku, gdy podarował kinu pamiątkę po krewnej – zdjęcie z dedykacją.

W Nawojce seanse odbywają się tylko w weekendy (w tygodniu kino gości szkoły), a filmy pojawiają się z kilkutygodniowym opóźnieniem. Żeby wyświetlać obraz premierowo, trzeba spełnić warunki dystrybutora, na przykład grać cztery seanse dziennie przez dwa tygodnie. Nie wiadomo wtedy, czy seans się zwróci. Na własnych zasadach (na przykład tylko jeden raz) można to robić, zamawiając film z dwu-, trzytygodniowym opóźnieniem.

*W latach 90. kino w Dobrym Mieście ograniczyło częstotliwość seansów z codziennych na weekendowe. – Jak przyszło 20 osób, to już był sukces. Ale graliśmy nawet dla dwóch – wspomina ówczesna dyrektorka.*

Monika Głowacka oprócz Dyskusyjnego Klubu Filmowego „Se(a)ns" prowadzi w Nawojce program edukacji filmowej KinoSzkoła i sekcję Familijny Klub Filmowy „Filmiś", który zaprasza dzieci z opiekunami na seanse i związane z nimi zajęcia. Już na przykładzie najmłodszej widowni widać, jakim zagrożeniem dla kin jest zbyt szybkie pojawianie się nowych produkcji na platformach streamingowych. – Odpływa mi bardzo dużo widzów. Ostatnio przygotowałam edukacyjny pokaz filmu „Psoty", trzy miesiące po premierze. Planowałam zaprosić aktora. Dzieci powiedziały, że nie przyjdą, bo tytuł już jest na Netflixie. Platforma to coś, w co od razu się zanurzają – mówi. Zazwyczaj filmy pojawiają się na niej po około miesiącu, bywa, że szybciej.

—

„CZY ŚMIERĆ KINA może być przyczyną osobistej traumy?", rozważa w swojej książce *Patrz pod nogi. O zbieraniu rzeczy* Kora Tea Kowalska. Zadaję sobie to pytanie, odwiedzając Dobre Miasto. Mimo że tamtejsze kino opiera się śmierci.

W liczącej niecałe 10 tysięcy mieszkańców gminie, oddalonej o 25 kilometrów od Olsztyna, odkąd pamiętam, w starym budynku znajdowało się Kino Przyjaźń. W Dobrym Mieście pod koniec swojego życia mieszkali moi dziadkowie. W trakcie pisania tego tekstu dowiaduję się, że w latach 80. moja babcia dorabiała do emerytury, sprzątając w tym kinie.

– Dzięki temu mogłam sobie wejść na seans, usiąść na schodkach, jak nie było miejsc, i oglądać filmy. Pierwszym, jaki tam zobaczyłam, była *Wierna rzeka*, a z zagranicznych: *Czy leci z nami pilot?* – wspomina moja siostra cioteczna, Ewelina Sapińska. Mówi, że babcia załatwiała też bilety innym naszym kuzynom, a to było coś, bo bilety były wtedy drogie.

– Czy babcia lubiła kino? Całe życie ciężko pracowała, nie miała czasu na rozrywki. Ale czasem przycupnęła ze mną i razem oglądałyśmy. A kiedy indziej zabraniała mi wejść na salę, krzycząc: „Ewa, wracaj, to nie jest film dla ciebie!". Tak było z *Wirującym seksem*, czyli *Dirty Dancing* – mówi Ewelina. Choć w nim polski tytuł był bardziej „seksualny" niż sam film.

W czasach PRL-u kina Przyjaźń rozsiane były po całej Polsce – w Gdańsku, Lublinie, Warszawie. Beata Harań, burmistrzyni Dobrego Miasta, a w latach 2006–2010 dyrektorka dobromiejskiego centrum kultury, wspomina, że kiedy została szefową instytucji, radni chcieli zmienić tę nazwę. Sprzeciwiła się. – Mówiłam, że przyjaźń to przyjaźń, niekoniecznie polsko-radziecka. To neutralne słowo – mówi.

Kino wciąż funkcjonuje, i to pod starą nazwą. Tyle że wchodzący się o tym nie dowie, bo przed wejściem od lat nie ma już neonu „Przyjaźń". – Z informacji przekazanych przez poprzedników wynika, że konserwator zabronił – mówi Weronika Chworak, dyrektorka Centrum Kulturalno-Bibliotecznego w Dobrym Mieście, która pełni tę funkcję od listopada 2024 roku. Częścią tej instytucji jest kino, a jego budynek jest wpisany na listę zabytków. Pochodzi z końca XIX wieku i na początku był domem parafialnym kościoła ewangelickiego. Natomiast obecna sala projekcyjna była salą balową. Kino działa tam od lat 50. XX wieku – informacja z notatek byłego kinooperatora podaje 1955 rok. Przy wejściu do budynku wisi plakat z terminarzem kinowym za styczeń 1960 roku.

Przez 24 lata dyrektorką centrum kultury była Elżbieta Bilińska-Wołodźko. Zanim nią

została, pracowała w przyzakładowym domu kultury i prowadziła w Kinie Przyjaźń dyskusyjny klub filmowy. Jak każdy szef kina w regionie, filmy brała z Awangardy. – Miałam służbową Nyskę i mój pracownik, Bogdan Hrywniak, jeździł nią trzy razy po szpule do *Listy Schindlera*. Tak sobie zamarzyłam, żeby ludzie szybciutko zobaczyli ten film, bo to ważne kino jest. Ale na sali było jakieś 70 osób na te 135 miejsc. Nie zawojowałam tym dziełem mieszkańców Dobrego Miasta – mówi. Pracownicy kina po żaden inny tytuł nie jeździli już specjalnie tuż po premierze.

Na początku lat 90., gdy królowały kasety wideo, dyrektorka ograniczyła częstotliwość seansów z codziennych na weekendowe. – Jak przyszło 20 osób, to już był sukces. Ale graliśmy nawet dla dwóch – wspomina Bilińska-Wołodźko. Mówi też: – Zawsze jak z Konradem [Lenkiewiczem – przyp. S.G.] narzekaliśmy na frekwencję, to mówiliśmy, że mimo to kino nigdy nie umrze. No i chyba nie umiera? – zauważa i porównuje je do papierowej książki. – Zawsze będą ludzie, którzy wybiorą ten rodzaj przekazu.

Według badań GUS-u z 2025 roku 70 procent Polaków nadal chodzi do kina, ale najwięcej z nich (35 procent) to sporadyczni widzowie. Aktywnych kinomanów, czyli osób regularnie odwiedzających kina, jest tylko 14 procent. Członkowie tej grupy równie często sięgają po streaming.

W 2008 roku, już za kadencji w dobromiejskim centrum kultury Beaty Harań, kino przeszło remont. Otynkowano ściany, wyburzono i odrestaurowano zabetonowane wcześniej okna, a także – kosztem miejsc na widowni – zrobiono przestrzeń między sceną a siedzeniami. Było to konieczne, bo w budynku odbywały się sesje rady miasta. Dziś w kinie jest 55 miejsc, a filmy są wyświetlane przez rzutnik z laptopa. Pokazy dla dorosłych widzów są w niektóre weekendy, a w tygodniu kino odwiedzają szkoły. CKB w Dobrym Mieście korzysta z licencji zbiorczej, za którą płaci raz w roku 2000 złotych. W kinie repertuarowym cena, jaką trzeba zapłacić dystrybutorowi za udostępnienie filmu na nośniku, waha się między 500 a 1000 złotych. – Po objęciu przeze mnie stanowiska, okazało się, że przez lata instytucja nie współdziałała dobrze z PISF-em czy ZAIKSem i narosły zaległości. – mówi Weronika Chworak. Nowa dyrektorka wyrównała zaległości.

Seanse w obecnej formie są za darmo. W dniu, w którym odwiedzam kino, przychodzą cztery osoby. Patryk Szuszkiewicz, koordynator kina i student produkcji filmowej na łódzkiej Filmówce, puszcza film *Przyjeżdża orkiestra* z 2007 roku izraelskiego reżysera Erana Korilina.

*Według badań GUS-u z 2025 roku 70 procent Polaków nadal chodzi do kina, ale najwięcej z nich (35 procent) to sporadyczni widzowie. Aktywnych kinomanów, czyli osób regularnie odwiedzających kina, jest 14 procent.*

Dużo więcej, bo około 100 osób, można zobaczyć na letnich seansach plenerowych, które odbywają się we wsi Swobodna pod Dobrym Miastem. Inną formą przyciągnięcia większej widowni są cykle pokazów wokół jednego znanego reżysera, jak „Lynchospekcja", która odbyła się w zeszłym roku.

Na pokazach wciąż trafiają się ludzie, dla których wyjście do kina jest podniosłym wydarzeniem. Dyrektorka wspomina starszego pana, który przed seansem zadzwonił z pytaniem, czy może przynieść swoje rzeczy. Na salę wniósł stolik, obrus, wino, kieliszki i sałatkę. Tak świętował z żoną rocznicę ślubu.

– W zeszłym roku mieliśmy łącznie 86 seansów i 4207 widzów. Zysków za bilety nie ma, ale staramy się zarabiać na wejściówkach do skansenu miejskiego czy warsztatach ceramicznych. Biletujemy też inne wydarzenia, głównie teatralne – mówi Chworak. Podkreśla, że darmowe seanse są szansą dla dzieci z ubogich rodzin, by poczuły, że kino to miejsce dla nich.

W Przyjaźni odbywają się też koncerty czy wiece wyborcze lokalnych polityków i wspomniane sesje rady miasta. To jedyna okazja, gdy radni odwiedzają kino. Starą salą kinową zachwycają się za to grający tam muzycy. Chworak wspomina Jana Młynarskiego i Urszulę Dudziak. Ale o finansach decydują ci pierwsi – radni.

Kino Przyjaźń jest tylko jedną z placówek Centrum Kulturalno-Bibliotecznego w Dobrym Mieście, które działa w całej gminie. W jego skład wchodzą jeszcze: biblioteki w tej miejscowości i pobliskim Cerkiewniku, dawna stodoła przekształcona na salę teatralno-koncertową, Miejski Skansen, a dodatkowo 16 świetlic we wsiach wokół Dobrego Miasta. Na całość rocznie dyrektorka ma budżet w wysokości 2 milionów złotych. Połowę z tego pochłaniają rachunki. Trzeba też opłacić pracowników. Na same wydarzenia zostaje jej 300 tysięcy złotych.

W tej chwili nie ma widoków na zakup nowego projektora ani remont. Szacunkowe koszty to blisko dwóch milionów złotych. By dostać dofinansowanie z PISF-u, gmina musiałaby najpierw wyłożyć połowę. Jak w Lipnie, czasem miastu pomaga jakaś znana postać, która się tam urodziła. – Czy Krzysztof Daukszewicz nie pochodzi z Dobrego Miasta? – pytam i w odpowiedzi, której udziela Chworak, słyszę: – Spod Dobrego Miasta. Opowiedział mi historię związaną z tym kinem. Umówił się w nim na randkę, ale dziewczyna go wystawiła.

Jak podaje GUS, w 2025 roku w Polsce było 366 kin jedno- i dwusalowych oraz 109 „minipleksów" (trzy do siedmiu sal). Multipleksów było 59. Do Sieci Kin Studyjnych należało 247 kin.



Więcej na ten temat przeczytasz lub wysłuchasz na **magazynpismo.pl/kino**

POEZJA

# valentino

MARIA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA

—

to twoje oczy duszne z senną powieką
to twój gest wdzięk zwierzęcy nerw twarz blada
*valentino!* valentino! tyś niedaleko
skoro cień twój ruchliwy na ekran pada

tańczysz jak dawniej smukły gorący niemy
jak dawniej patrzysz w oczy swojej partnerce
chociaż twoje świetliste filmowe serce
wie już dzisiaj to *wszystko* czego nie wiemy

*Utwór pochodzi z tomu* Dancing*, dostępnego obecnie w Wolnych Lekturach.*

MARIA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA (1891–1945), poetka i dramatopisarka dwudziestolecia międzywojennego.



FOTOESEJ

# Zurumbático

*zdjęcia i tekst* LUIS COBELO

NIEKOŃCZĄCA SIĘ PODRÓŻ na terytorium, na którym narodził się literacki świat Gabriela Garcíi Márqueza – do Aracataca w Kolumbii, rodzinnego miasta autora *Stu lat samotności* i inspiracji dla jego mitycznego Macondo.





Projekt *Zurumbático* wywodzi się z ducha tysięcy miast i miasteczek Karaibów i Ameryki Łacińskiej – przestrzeni ukształtowanych przez sprzeczności. Współistnieją tam pamięć i rzeczywistość, a historie łączą w sobie hart ducha, improwizację, humor, przemoc, a także niezwykłą zdolność do znajdowania sensu w niepewności.

Aracataca i jej okolice, położone w pobliżu kolumbijskiego regionu Karaibów, stały się moim punktem wyjścia. Pierwotnym impulsem była twórczość Garcíi Márqueza, ale projekt *Zurumbático* nigdy nie miał na celu zilustrowania *Stu lat samotności*. Zamiast tego wchłonął jego atmosferę i odpowiedział na nią za pomocą mojego własnego języka wizualnego.

Zakorzeniony w mojej karaibskiej wrażliwości Wenezuelczyka, projekt ten jest serią spontanicznych obrazów. Zrodziły się one z intymnego procesu eksploracji – poetyckich, symbolicznych, a czasem niepokojących – w których indywidualna pamięć łączy się z szerszym doświadczeniem latynoamerykańskim.

To zmysłowa interpretacja miejsca, w którym współistnieją elementy magiczne i polityczne, intymne i zbiorowe, absurdalne i codzienne. Obrazy oscylują między dokumentem a fikcją, przefiltrowane przez karaibską perspektywę ukształtowaną przez upał, pamięć, humor, stratę, wyobcowanie i wyobraźnię.

Karaiby to dla mnie nie tylko region geograficzny, ale sposób doświadczania czasu, konstruowania narracji i rozumienia tożsamości. To przestrzeń, w której historie przekazywane są poprzez gesty, ciszę, muzykę, rytuały i codzienne spotkania.

*Zurumbático* to moja własna powieść wizualna, zbudowana z portretów, pejzaży, przedmiotów i symbolicznych fragmentów. Jej narracja nie ma struktury linearnej. Rozwija się poprzez emocjonalne powiązania i wizualne skojarzenia, bez z góry ustalonej ścieżki, pozwalając obrazom na stworzenie własnej wewnętrznej logiki.

Koncepcyjnym i emocjonalnym punktem wyjścia dla projektu stało się słowo *zurumbático* – pochodzące od hiszpańskiego „cień" i używane na określenie kogoś zdezorientowanego, roztargnionego, melancholijnego, nieobliczalnego lub zagubionego.

W czasach, gdy migracja, niestabilność polityczna i przemiany społeczne nieustannie przekształcają społeczności Karaibów i Ameryki Łacińskiej, mój projekt stanowi refleksję nad tym, w jaki sposób terytoria potrafią trwać poza swoimi fizycznymi granicami – zwłaszcza dla tych, którzy doświadczają oddalenia i wygnania.

*Zurumbático* to podróż przez uczucia, doznania, wrażenia i nieoczekiwane spotkania. Dzięki niej zrozumiałem, że to, co niezwykłe, codzienne, humorystyczne, a nawet tragiczne, nie zawsze wymaga wyjaśnienia czy uzasadnienia. Po prostu istnieje.

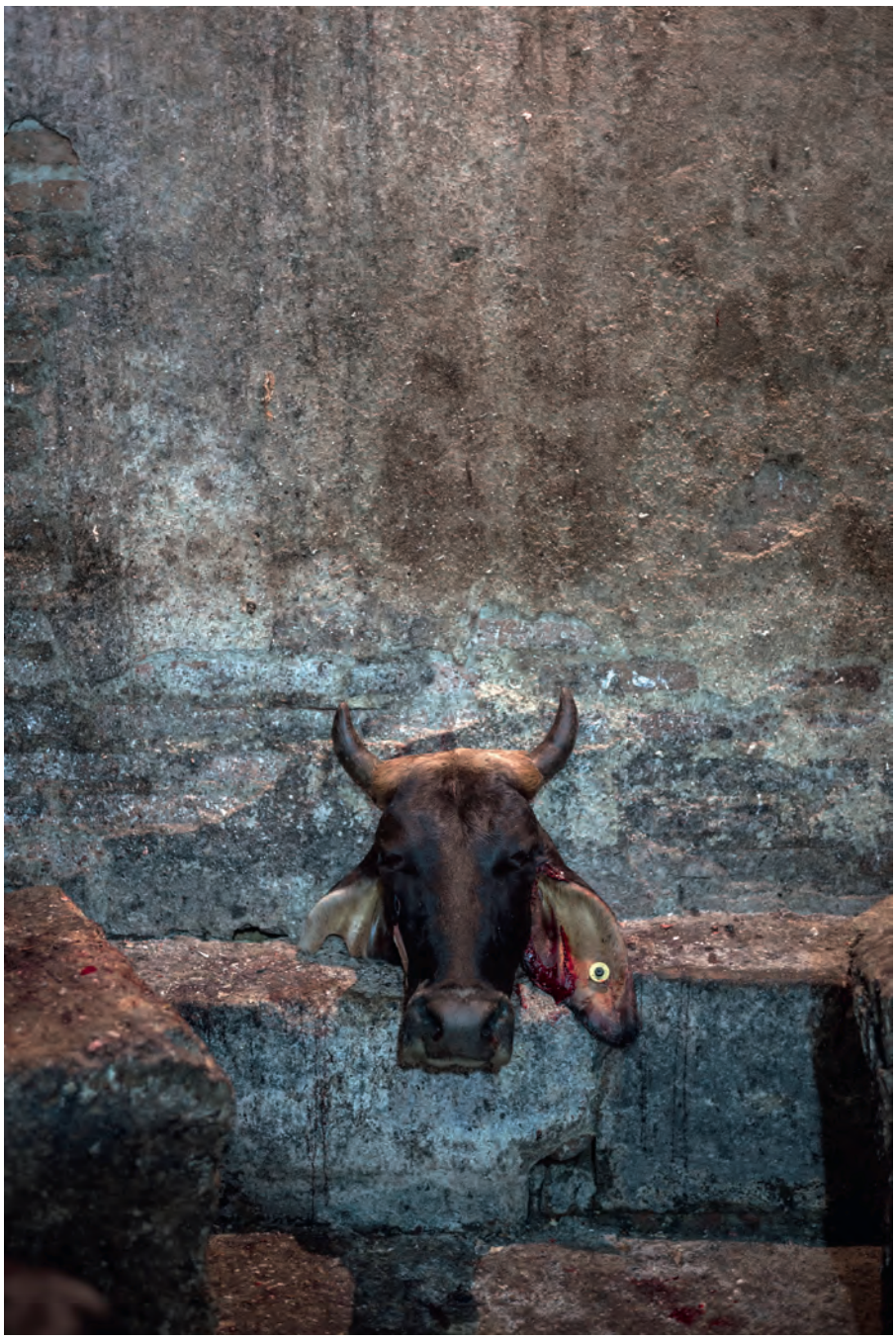













ESCUDRIÑAD
LAS ESCRITU-
RAS; PORQUE
A VOSOTROS
OS PARECE
QUE EN ELLAS
TENÉIS LA
VIDA ETERNA;


Y ELLAS SON
LAS QUE DAN
TESTIMONIO
DE MÍ.
S. JUAN 5, 39











LUIS COBELO, artysta wizualny, fotoreporter. Absolwent Filozofii na Uniwersytecie Zulii w Wenezueli. Realizował projekty dokumentalne w obu Amerykach, Azji i Europie, publikowane w czasopismach w Hiszpanii, Europie i Ameryce Łacińskiej. Obecnie skupia się na twórczości artystycznej oraz tworzeniu albumów fotograficznych (m.in: *Zurumbático* i *Chas Chas*) i wystaw. Interesuje go kultura Ameryki Łacińskiej, czerpie inspirację z literatury, kultury popularnej, kina, poezji, mitów i tradycji. Wykorzystuje różne rodzaje rzeczywistości wyobrażonych, magicznych lub fantastycznych, aby tworzyć równoległe światy. Urodził się w Acarigua w Wenezueli. Mieszka w San Francisco.

PORTRET

# Ta, która nie milczy

*tekst* AGNIESZKA ŻĄDŁO

DLA NIEKTÓRYCH najodważniejszy głos prawa międzynarodowego, dla innych symbol wszystkiego, co najgorsze w systemie ONZ. W ciągu kilku lat Francesca Albanese stała się jedną z najbardziej rozpoznawalnych i najbardziej znienawidzonych kobiet świata dyplomacji.

Jest 27 października 2022 roku, sala III Komitetu Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku. Przed delegatami kilkudziesięciu państw siedzi 45-letnia włoska prawniczka w charakterystycznych okularach w grubych czarnych oprawkach i dużych okrągłych kolczykach. Jeszcze nie ma tak siwych włosów, jakie przybędą jej w kolejnych latach. Nazywa się Francesca Albanese.

Zaledwie pół roku wcześniej uzyskała mandat specjalnej sprawozdawczyni do spraw sytuacji praw człowieka na okupowanych od 1967 roku terytoriach palestyńskich. To jej debiut w tej roli przed Zgromadzeniem Ogólnym. Może dlatego zaczyna mówić, nie mając włączonego mikrofonu. Po chwili z uśmiechem na ustach go włącza i rozpoczyna prezentację swojego pierwszego raportu. „Od 55 lat Izrael próbuje pogrzebać niezbywalne prawo narodu palestyńskiego do samostanowienia. (…) Systematyczne i świadome naruszanie przez Izrael podstawowych elementów prawa do samostanowienia ujawnia prawdziwą naturę okupacji: celowo ekspansywny, segregacyjny i represyjny system zaprojektowany po to, by uniemożliwić Palestyńczykom realizację samostanowienia" – mówi Albanese.

Sprawozdawczyni przedstawia swoje tezy spokojnie, nie podnosząc głosu, akademickim językiem. „To nie jest, jak się często uznaje, nierozwiązywalny konflikt między dwiema stronami wynikający z nieusuwalnej rywalizacji czy sprzecznych tożsamości. To rzeczywistość ukształtowana przez głęboką i utrzymującą się od dawna niesprawiedliwość" – przekonuje delegatów. Działanie Izraela nazywa „istotą kolonializmu osadniczego", ale odpowiedzialnością obarcza także inne kraje.

Palestyna dziękuje za raport.

Szczególnie entuzjastycznie reaguje Syria, której przedstawiciel mówi: „Nigdy nie przypuszczałem, że zobaczę tak odważny raport. Może stać się pani naszą ulubioną sprawozdawczynią". Indonezja dziękuje Albanese za „mocne wezwanie do zakończenia nielegalnej izraelskiej okupacji" i popiera postulat przygotowania planu prowadzącego do jej zakończenia. Malezja ocenia, że raport „potwierdza stosowane przez Izrael praktyki apartheidu", Namibia natomiast podkreśla jego „dużą wartość", chwaląc sposób ujęcia problemu z perspektywy prawa międzynarodowego.

Kraje europejskie – nawet te przychylne, jak Luksemburg czy Norwegia – koncentrują się głównie na naruszeniach prawa humanitarnego, potrzebie odpowiedzialności i rozwiązaniu dwupaństwowym. Nie podejmują najdalej idących tez Albanese dotyczących kolonializmu osadniczego czy apartheidu. Wielka Brytania zwraca uwagę na prawo Izraela do samoobrony.

Izrael nie zabiera głosu. Nie znaczy to oczywiście, że zgadza się z wystąpieniem nowo wybranej specjalnej sprawozdawczyni. Wręcz przeciwnie. Powiedzieć, że od początku jej mandat nie podoba się w Tel Awiwie i Jerozolimie, to nic nie powiedzieć.

PÓŁ ROKU WCZEŚNIEJ, I KWIETNIA 2022 roku Federico Villegas, przewodniczący Rady Praw Człowieka, w trakcie 49. sesji ogłasza




*rysunek* AGATA BURNAT

AGNIESZKA ŻĄDŁO, dziennikarka. Autorka i współautorka książek, m.in. *Znowu w grze*, *Ab ovo*, *Światła małego miasta*, *Przewiew*. Nominowana do Nagrody Grand Press 2017. Stypendystka MKiDN, finalistka konkursów stypendialnych im. Leopolda Ungera oraz im. Teresy Torańskiej. Absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu. Miłośniczka Europy Wschodniej i tagliatelle.

powołanie nowych wysłanników ONZ – do spraw zmian klimatu oraz praw człowieka w trzech krajach. Na tablicy ukazują się nazwiska nominowanych, w tym Franceski Albanese, kandydatki na stanowisko specjalnej sprawozdawczyni do spraw sytuacji praw człowieka na okupowanych od 1967 roku terytoriach palestyńskich.

Merav Marks, prawniczka i dyplomatka reprezentująca Izrael, błyskawicznie reaguje. W imieniu swojego kraju wyraża „sprzeciw w najostrzejszych słowach". Nie zgadza się na radykalizację mandatu, który, jej zdaniem, od początku był jednostronny i który demonizuje jej kraj. Nagranie do tej pory jest dostępne na stronach ONZ w archiwum prasowym. „Poglądy nowo mianowanej specjalnej sprawozdawczyni, przedstawiane w licznych artykułach, podczas wydarzeń publicznych oraz w mediach, nieustannie powielające oszczerstwa wymierzone w Izrael, pokazują, że nie jest ona odpowiednią osobą do pełnienia tej funkcji – mówi Marks. – Co więcej, sama specjalna sprawozdawczyni ujawniała obawy dotyczące swoich głęboko zakorzenionych osobistych poglądów, które – jak stwierdziła – mogą wpływać na jej obiektywizm w ocenie sytuacji. Jest oczywiste, że ta nominacja nie spełnia kryteriów określonych w rezolucji, zgodnie z którą przy nominowaniu, wyborze i mianowaniu posiadaczy mandatów kluczowe znaczenie mają niezależność, bezstronność i obiektywizm."

Kilka minut po oświadczeniu przedstawicielki Izraela Federico Villegas wygłasza krótkie podsumowanie o charakterze niemal dyscyplinującym. Podkreśla, że członkowie Rady nie mogą wybierać jedynie tych mechanizmów ochrony praw człowieka, które odpowiadają interesom politycznym ich krajów, a ignorować pozostałe. Państwa członkowskie są tutaj przede wszystkim obrońcami praw człowieka, a nie przedstawicielami swoich interesów.

Protest Marks nie odnosi skutku, jest jedynie politycznym sygnałem, bo Albanese ma już mandat w kieszeni. Taka jest procedura. 1 maja 2022 roku włoska prawniczka zostaje powołana na stanowisko specjalnej sprawozdawczyni ds. Palestyny.

Dwadzieścia dni później w rozmowie z Middle East Monitor zapewnia, że będzie raportować Radzie Praw Człowieka i Zgromadzeniu Ogólnemu ONZ, troszcząc się o niezależność, efektywność i uczciwość. „Wierzę, że mechanizmy i prawo dotyczące praw człowieka pozostają niezbędne, aby przypominać wszystkim o granicy między tym, co legalne, a tym, co nielegalne, o tym, co jest możliwe, a co nie" – zapowiada z nadzieją.

Mandat zmienia nie tylko jej pozycję zawodową. Wpływa także na rytm życia całej rodziny. Albanese przez lata łączy pracę ekspercką z wychowaniem dzieci i prowadzeniem domu. Po nominacji ten porządek zaczyna się rozpadać. „Muszę przyznać, że nigdy nie byłam szczególnie dobra w wyznaczaniu granic między pracą a życiem prywatnym, a w 2022 roku, kiedy otrzymałam mandat specjalnej sprawozdawczyni ONZ, granice te całkowicie się rozpłynęły. Na początku okazało się to prawdziwym wyzwaniem dla naszego życia rodzinnego. Aż dotąd, pomimo wymagającej pracy, która wiązała się z częstymi podróżami, zawsze zajmowałam się dziećmi – od szkoły po ułożenie do snu – domem i wspólnymi sprawami, od zakupów po wakacje. Nagle straciłam czas i siły, by zajmować się tym wszystkim" – wspomina w książce biograficznej *Kiedy świat śpi. Opowieści, słowa i rany Palestyny* (przeł. Tomasz Kwiecień).

> *W Jerozolimie Albanese widziała dzieci zbierające morwy z drzewa za jej domem. Patrząc, jak przeciskają się przez dziurę w siatce, zaproponowała, że będzie im otwierać furtkę. Jeden z chłopców odmówił: „Będziemy się przeciskać tak jak do tej pory".*

Może liczyć na wsparcie męża. Ekonomista i pracownik Banku Światowego Massimiliano Calì wydaje się podzielać nie tylko jej poglądy, ale również wiarę w moralny obowiązek działania. Zachęca ją do pisania książki o Palestynie, a gdy mieszkają w Jerozolimie, aktywnie uczestniczy w protestach przeciw eksmisjom palestyńskich rodzin w dzielnicy Asz-Szajch Dżarrah. Dołącza też do organizacji Ta'ajusz, której członkowie wspierają Palestyńczyków narażonych na przemoc osadników. „Tak samo jak ja nie tolerował niesprawiedliwości" – wspomina Albanese.

Gdy w lutym 2025 roku w Niemczech Albanese otrzymuje wiadomość, że część polityków oraz środowisk proizraelskich domaga się jej zatrzymania lub wszczęcia wobec niej postępowania pod zarzutem podżegania do nienawiści i antysemityzmu, o szóstej rano dzwoni do Maxa i pyta, co ma zrobić, bo nie widziała dzieci od prawie miesiąca i boi się aresztowania. On odpowiada: „Idź spokojnie i rób, co masz zrobić. Jesteśmy z tobą". Jeszcze nie wie, że sam także zapłaci cenę za ten małżeński aktywizm.

—

FRANCESCA PAOLA ALBANESE, urodzona 30 marca 1977 roku w Ariano Irpino, niewielkim mieście w regionie Kampania na południu Włoch, lubi przedstawiać swoją drogę zawodową jako historię walki z niesprawiedliwością.

W rozmowie z dziennikarzem „Guardiana" Julianem Borgerem w 2026 roku przyznała, że duży wpływ miało na nią dorastanie w świecie naznaczonym przez zorganizowaną przestępczość i rządy klientelistyczne, w którym obywatel odnosi sukcesy tylko wtedy, gdy ma powiązania polityczne. „Rodzice nie chcieli zaakceptować wszechobecnej korupcji i nauczyli mnie czuć do niej pogardę" – podkreślała.

O rodzicach Franceski Albanese wiadomo niewiele. W podziękowaniach na końcu książki biograficznej nie wspomina ojca. Dziękuje matce Liberze (na Facebooku podaje, że ukończyła Wydział Fizyki na Uniwersytecie Neapolitańskim), bratu Giuseppemu i siostrze Lelli. „Moja matka zasługuje na największe podziękowania za wszystko, co mi dała, za wszelkie małe ziarna, które we mnie zasiała, ucząc mnie niezależności, niezbędnej podstawy do bycia wolną osobą" – pisze Francesca.

W wywiadzie dla „Guardiana" mówi także, że wzorcami do naśladowania byli dla niej włoscy „męczennicy sprawiedliwości": Paolo Borsellino, sędzia walczący z mafią, zabity w samochodzie w wyniku zamachu bombowego w 1992 roku, i jego kolega Giovanni Falcone, zamordowany w tym samym roku wraz z żoną i trzema

ochroniarzami, gdy mafia wysadziła w powietrze cały odcinek autostrady, którym jechali.

Jej droga międzynarodowa zaczyna się – tuż po studiach prawniczych w Pizie – na prestiżowej School of Oriental and African Studies w Londynie, jednej z najbardziej renomowanych europejskich uczelni zajmujących się problematyką postkolonialną. To właśnie tam, w 2005 roku – jak sama opisuje w swojej książce *Kiedy świat śpi* – po raz pierwszy dostrzega rozbieżność między dominującymi narracjami politycznymi a rzeczywistością opisywaną przez prawo międzynarodowe.

Nie podchodzi do egzaminu adwokackiego, nie zamierza praktykować we Włoszech. Interesują ją prawa człowieka. W latach 2003–2013 współpracuje z organizacjami ONZ, w tym z departamentem prawnym palestyńskiej agencji pomocy humanitarnej UNRWA (United Nations Relief and Works Agency for Palestine Refugees in the Near East – Agencja Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie) oraz biurem ONZ do spraw praw człowieka. Jako pracowniczka jednej z nich w 2010 roku przeprowadza się wraz z mężem na dwa lata do Jerozolimy.

Od razu po przyjeździe izraelski przewodnik przekonuje ich, że kamienie, na które patrzą, „noszą jeszcze ślady Exodusu". Francesca i Max dostrzegają w tym polityczną propagandę. Z polecenia pracownika Jerusalem Hotel trafiają do Abu Hassana, lokalnego działacza i społecznego animatora, który oprowadza zagranicznych gości po Jerozolimie, ukazując palestyńską perspektywę. Pokazuje im rodziny rozdzielone murem, dzieci zmuszone do chodzenia do szkoły przez kanały ściekowe.

Jedno ze wspomnień Albanese z Jerozolimy dotyczy dzieci zbierających morwy z drzewa rosnącego za jej domem. Widząc, jak przeciskają się przez dziurę w metalowej siatce, zaproponowała, że będzie im otwierać furtkę. Ku jej zaskoczeniu jeden z chłopców grzecznie odmówił. „Nie, dziękuję. Będziemy się przeciskać tak jak do tej pory" – odpowiedział. Po latach Albanese będzie podejrzewać, że chłopcem tym był najprawdopodobniej Mohammed el-Kurd, poeta, dziennikarz i znany na świecie działacz palestyński [jego wiersz publikowaliśmy w „Piśmie" nr 4/2025 – przyp. red.]. Spotkanie z nim odebrała jako lekcję godności i samodzielności Palestyńczyków.

Podobne wrażenie zrobi na niej komentarz Abu Hassana, kiedy ten dowiedział się, że Albanese będzie pracować na miejscu dla międzynarodowej organizacji. „Te sępy z ONZ! Było lepiej, gdy was tu nie było, bo nic nie robicie, wasza obecność niczego nie zmienia, a odkąd tu jesteście, widzimy jedynie, że wszystko podrożało" – słyszy i próbuje się bronić. Mężczyzna przerywa jej jednym pytaniem: „Ale co ty, co ty sama chcesz robić?" Jak przyznaje po latach: „Na to pytanie nadal próbuję odpowiedzieć".



Po opuszczeniu Jerozolimy pod koniec 2012 roku Albanese nie zrywa z Palestyną, choć doświadczenie życia pod okupacją okazuje się dla niej przytłaczające. Szczególnie że spodziewa się pierwszego dziecka, córki Leili. Rodzi ją w Stanach Zjednoczonych.

W latach 2013–2015 prawniczka przebywa w Waszyngtonie, gdzie działa dla amerykańskiej organizacji pozarządowej Project Concern International jako doradczyni do spraw ochrony podczas epidemii wirusa ebola w Afryce Zachodniej. Ostatecznie osiada z rodziną w Tunisie, podążając za zobowiązaniami zawodowymi męża.

Od 2018 roku kontynuuje pracę dla organizacji międzynarodowych i instytucji zajmujących się prawami człowieka, uchodźcami oraz migracjami jako niezależna ekspertka, na przykład w ARDD (Arab Renaissance for Democracy and Development – Arabskie Odrodzenie na rzecz Demokracji i Rozwoju), gdzie współtworzy Global Network on the Question of Palestine – międzynarodową sieć prawników, badaczy i ekspertów zajmujących się Palestyną.

Wykłada prawo międzynarodowe, uczy o przymusowych przesiedleniach i prawach uchodźców na uczelniach w Europie i krajach arabskich. Jednocześnie prowadzi badania nad statusem prawnym Palestyńczyków żyjących poza granicami historycznej Palestyny. Coraz aktywniej uczestniczy w debatach publicznych, współpracuje z badaczami i organizacjami zajmującymi się prawami Palestyńczyków oraz publikuje teksty dotyczące prawa międzynarodowego.

Najważniejszym efektem pracy w tej dekadzie staje się wydana w 2020 roku książka *Palestinian Refugees in International Law* (*Uchodźcy palestyńscy w świetle prawa międzynarodowego*) napisana wspólnie z Lexem Takkenbergiem, wieloletnim ekspertem UNRWA. Była szefowa tej organizacji Karen AbuZayd nazywa publikację „mistrzowskim przedstawieniem historii i krzywd uchodźców", a międzynarodowy prawnik Anis Kassim – najbardziej wyczerpującym i wszechstronnym traktatem, a nawet biblią o sytuacji Palestyńczyków w świetle prawa międzynarodowego.

—

PO LATACH Albanese przyzna, że impulsem do napisania tej książki stała się wojna w Gazie w 2014 roku. W *Kiedy świat śpi* wspomina: „Spędzałam godziny z Leilą przyciśniętą do piersi, czytając wiadomości. Ilu kolegów pracujących dla UNRWA wtedy zginęło, ile było zniszczeń! Wówczas myśleliśmy, że już nic bardziej potwornego stać się nie może. To właśnie wtedy Max namówił mnie, bym przyjęła propozycję, którą od dwóch lat składał mi mój dawny kolega z pracy Lex Takkenberg".

Gdy w 2022 roku kończy się rozpoczęta pięć lat wcześniej podwójna kadencja Michaela Lynka jako specjalnego sprawozdawcy ONZ do spraw sytuacji praw człowieka na okupowanych od 1967 roku terytoriach palestyńskich, nazwisko Albanese jest już dobrze znane w środowisku specjalistów od prawa międzynarodowego i uchodźców.

– Nie znałem wcześniej Franceski osobiście – wspomina w rozmowie z „Pismem" Michael Lynk, profesor nadzwyczajny na Uniwersytecie Zachodniego Ontario. – Przeczytałem jednak książkę, którą napisała wspólnie z Lexem Takkenbergiem.

Miałem też bliskiego przyjaciela, który znał ją z pracy w UNRWA i bardzo cenił. Zacząłem więc śledzić jej działalność: czytałem jej teksty, słuchałem internetowych spotkań autorskich. W końcu, pod koniec 2021 roku, skontaktowałem się z nią i zapytałem, czy rozważyłaby kandydowanie na stanowisko specjalnej sprawozdawczyni. Powiedziałem jej: „Dobrze mówisz, dobrze piszesz, rozumiesz problem palestyński, a ponadto jesteś ekspertką w dziedzinie prawa międzynarodowego, która dogłębnie rozumie kwestię praw człowieka. Myślę, że byłabyś bardzo dobrą specjalną sprawozdawczynią". Ostatecznie zdecydowała się kandydować.

Lynk podkreśla, że nie miał żadnego wpływu na sam wybór. – Wiedziałem jednak, że po siedmiu kolejnych mężczyznach pełniących ten mandat istnieje potrzeba znalezienia kompetentnej i przekonującej kobiety. Rozmawiałem z kilkoma kandydatkami, nie tylko z Francescą, i zachęcałem wartościowe osoby do zgłaszania swoich kandydatur. Od początku było też dla mnie jasne, że ktokolwiek obejmie ten mandat, będzie atakowany. Nawet gdyby był archaniołem – uzupełnia swoją wypowiedź profesor Lynk.

—

URZĄD Specjalnego Sprawozdawcy ONZ do spraw sytuacji praw człowieka na okupowanych od 1967 roku terytoriach palestyńskich należy do najbardziej kontrowersyjnych i politycznie obciążonych w całym systemie ONZ. Powstał w 1993 roku na mocy decyzji Komisji Praw Człowieka ONZ, poprzedniczki dzisiejszej Rady Praw Człowieka.

Już sam jego zakres stał się źródłem wieloletniego sporu. Mandat do pełnienia urzędu zobowiązuje sprawozdawcę do monitorowania działań Izraela jako państwa okupującego, nie obejmuje natomiast naruszeń popełnianych przez stronę palestyńską. Izrael od lat argumentuje, że taka konstrukcja czyni mandat z definicji jednostronnym i politycznie motywowanym. Kolejne izraelskie rządy twierdziły, że nie jest możliwe uczciwe badanie konfliktu, jeśli jedna ze stron została z góry wyłączona spod kontroli.

– W 1993 roku arabsko-muzułmańska większość w Komisji Praw Człowieka ONZ utworzyła stanowisko specjalnego sprawozdawcy do spraw Palestyny specjalnie po to, by demonizować Izrael poprzez wykorzystywanie oskarżeń o naruszenia praw człowieka oraz instytucji międzynarodowych – mówi mi profesor Gerald Steinberg, założyciel i prezes think tanku NGO Monitor, emerytowany wykładowca Uniwersytetu Bar-Ilan, badacz dyplomacji i bezpieczeństwa Bliskiego Wschodu, polityki praw człowieka i organizacji pozarządowych. – Wielu poprzedników Franceski Albanese na tym stanowisku formułowało wobec Izraela fałszywe oskarżenia. Byli to zarówno John Dugard, Richard Falk, jak i Michael Lynk. Ich działalność należy do głównych źródeł tak zwanego nowego antysemityzmu, który charakteryzuje się nieuzasadnionymi i nieproporcjonalnymi atakami na syjonizm, państwo żydowskie oraz jego zwolenników. Albanese została wybrana dlatego, że należy do tego nurtu.

*Nie próbuje być neutralna. W sytuacji rażących naruszeń praw człowieka i ogromnej asymetrii sił rolą specjalnego sprawozdawcy nie jest neutralność, lecz pokazanie tego, co dzieje się na miejscu, i wskazanie odpowiedzialnych.*

Albanese – jak twierdzi mój rozmówca – od zawsze była nie tyle prawniczką, ile propagandystką, obsesyjnie skupioną na Żydach i Izraelu. Gdy jej nazwisko pojawiło się wśród kandydatów na stanowisko specjalnej sprawozdawczyni ONZ, było dla niego jasne, że będzie kontynuowała i rozwijała tę działalność.

– Obsesja na punkcie Izraela oraz rozpowszechnianie kłamstw o Izraelu i Żydach uczyniły ją sławną. Trafia nawet do magazynów modowych, takich jak „Vogue". Jest pierwszą kobietą na tym stanowisku, a radykalizm stanowi część jej atrakcyjności – twierdzi profesor Steinberg.

Dodaje, że emocjonalny styl przekazu Albanese dociera do osób podzielających podobne poglądy, a część międzynarodowych mediów chętnie go powiela. Jednocześnie, jego zdaniem, odstrasza wielu odbiorców, którzy nie są wrogo nastawieni ani do Izraela, ani do Żydów. Jej działalność – według Steinberga – obnaża najbardziej toksyczne cechy systemu ONZ.

– Nie próbuje być neutralna. W sytuacji rażących naruszeń praw człowieka i ogromnej asymetrii sił rolą specjalnego sprawozdawcy nie jest neutralność, lecz pokazanie tego, co dzieje się na miejscu, i wskazanie odpowiedzialnych – broni jej Neve Gordon, pochodzący z Izraela profesor prawa międzynarodowego i praw człowieka na Queen Mary University w Londynie. – A Francesca nie boi się mówić o wnioskach, do których dochodzi. Analizuje dowody, formułuje ocenę i publicznie przedstawia swoje stanowisko. Nie próbuje dopasowywać swoich poglądów do oczekiwań ludzi u władzy ani zabiegać o ich względy. Mówi władzy prawdę. Bardzo niewiele osób w życiu publicznym ma taką odwagę. W systemie ONZ było to dla mnie czymś bardzo odświeżającym.

—

JEJ POPRZEDNICY rzeczywiście znajdowali się w centrum międzynarodowych sporów. Przełomowym okazał się mandat Johna Dugarda, południowoafrykańskiego prawnika, który pełnił funkcję w latach 2001–2008. Wychowany w czasach apartheidu, coraz częściej porównywał sytuację Palestyńczyków do systemu segregacji rasowej w Republice Południowej Afryki. To właśnie za jego kadencji pojęcie apartheidu zaczęło pojawiać się w debacie wokół izraelskiej polityki na okupowanych terytoriach.

Jeszcze większe kontrowersje wywoływał Richard Falk, amerykański profesor prawa międzynarodowego, który sprawował mandat w latach 2008–2014. Konflikt między nim a Izraelem od samego początku był bardzo silny. Izrael odmówił współpracy z Amerykaninem, a pod koniec 2008 roku zatrzymał go na lotnisku Ben Guriona i deportował.

W trakcie swojej kadencji Falk wielokrotnie oskarżał Izrael o łamanie prawa międzynarodowego, wspierał kampanię BDS (globalny ruch solidarności z Palestyną, który powstał w 2005 roku z inicjatywy palestyńskich organizacji; nazwa pochodzi od ang. Boycott, Divestment, Sanctions – Bojkot,

Wycofanie inwestycji i Sankcje), ale to jego pozamandatowe działania wywoływały najwięcej kontrowersji.

Najgłośniejszy skandal wybuchł w 2011 roku, kiedy profesor zamieścił na swoim blogu rysunek przedstawiający psa z jarmułką na głowie i napisem „USA", pożerającego zakrwawione ludzkie szczątki i sikającego na postać symbolizującą sprawiedliwość, która ślepo za nim podążała. Zarówno Izrael, jak i ówczesny sekretarz generalny ONZ Ban Ki-moon potępili publikację, uznając ją za antysemicką. Falk ostatecznie usunął obrazek.

Jeszcze większe oburzenie wywołały jego wypowiedzi dotyczące zamachów z 11 września 2001 roku. Wprawdzie nie mówił wprost, że za atakami stał rząd USA, ale publicznie sugerował potrzebę ponownego zbadania wydarzeń i pozytywnie wypowiadał się o środowiskach tak zwanego 9/11 Truth Movement. Zarówno Stany Zjednoczone, jak i Izrael wielokrotnie domagały się jego odwołania.

Choć Michael Lynk uchodził za bardziej powściągliwego niż Falk, a organizacje praw człowieka uważały go za jednego z najbardziej rzeczowych i kompetentnych pod względem prawniczym mandatariuszy w historii stanowiska, również stał się obiektem ostrych ataków.

– Nie miałem żadnych relacji z izraelskim rządem. Nie pozwolono mi wjechać na okupowane terytoria palestyńskie. Co roku pisałem, że zamierzam przyjechać, i spotykałem się z ciszą. Nigdy nie odpowiadano na moje listy. Nie miałem też żadnej nadziei na prowadzenie oficjalnego dialogu z izraelskimi dyplomatami w Genewie czy Nowym Jorku – mówi kanadyjski profesor.

Jak podkreśla, przeciwnicy jego raportów rzadko polemizowali z samymi ustaleniami czy argumentacją prawną. Zamiast tego skupiali się na podważaniu jego wiarygodności i atakowaniu samego mandatariusza. – Ci, którzy bronią izraelskiej okupacji lub negują związane z nią naruszenia praw człowieka, są bardzo głośni. Dysponują globalną siecią wsparcia i wolą atakować posłańca niż sam przekaz – dodaje Lynk.

Uważa, że ataki na niego czy innych sprawozdawców to nic w porównaniu z tym, czego doświadcza Albanese. – Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jednym z elementów




tej nagonki może być również seksizm – przyznaje.

—

FRANCESCA ALBANESE niemal od pierwszego dnia sprawowania mandatu staje się celem zorganizowanej kampanii krytyki. Ministerstwo Spraw Zagranicznych Izraela regularnie publikuje oświadczenia kwestionujące jej bezstronność, a część izraelskich polityków określała ją mianem aktywistki, a nie ekspertki ONZ. Tak jak jej poprzednicy nie otrzymuje zgody na wjazd do Izraela ani na okupowane terytoria palestyńskie pozostające pod izraelską kontrolą. Większość informacji musi zbierać zdalnie, podczas spotkań online, wyjazdów do państw sąsiednich i rozmów z organizacjami pozarządowymi.

Wśród najostrzejszych krytyków Albanese znajdują się zarówno izraelski NGO Monitor, jak i szwajcarski UN Watch oraz amerykańska, skrajnie manipulująca informacjami Anti-Defamation League (ADL). Regularnie publikują raporty i wpisy poświęcone jej wcześniejszym wypowiedziom i punktują aktualnie popełniane błędy. Nazywają ją: notoryczną antysemitką, zwolenniczką terroryzmu Hamasu, siewczynią nienawiści pod maską praw człowieka. W lutym 2026 roku jedna z tych organizacji, obsesyjnie skupiona na Albanese, przygotowuje film, tak zmontowany, żeby zasugerować, że Izrael jest według niej „wspólnym wrogiem ludzkości".

Za dowody biorą ostre komentarze Albanese zamieszczane na platformach społecznościowych: określanie Izraela ucieleśnieniem zła, potwornością naszego stulecia, czystym złem, jakiego świat nigdy wcześniej nie widział. To, że premiera Izraela Binjamina Netanjahu porównywała do Adolfa Hitlera, a jego politykę do nazizmu. W sierpniu 2024 roku nazwała Gazę „największym i najbardziej haniebnym obozem koncentracyjnym XXI wieku".

Najwięcej emocji wzbudza jej wpis na Facebooku z 2014 roku podczas wojny w Gazie, który jest wyciągany jako kontrargument wobec wszystkich jej działań. Albanese napisała wtedy: „Ameryka i Europa, jedna podporządkowana żydowskiemu lobby, a druga poczuciu winy z powodu Holokaustu, pozostają na uboczu i nadal potępiają uciskanych – Palestyńczyków – którzy bronią się jedynymi środkami, jakie mają (obłąkanymi rakietami), zamiast zmuszać Izrael do ponoszenia odpowiedzialności wynikającej z prawa międzynarodowego".

W tym samym okresie na swoich profilach w portalach społecznościowych ostro krytykowała zachodnie media, zarzucając między innymi BBC jednostronne relacjonowanie konfliktu i sugerując wpływ proizraelskich środowisk na sposób przedstawiania wydarzeń („Jeśli to ma być dziennikarstwo, to najwyraźniej izraelskie lobby jest w waszych żyłach i systemie").

Gdy w 2022 roku została nominowana na specjalną sprawozdawczynię ONZ, przyznała, że w 2014 roku użyła niewłaściwego sformułowania (chodziło o „żydowskie lobby") i przeprosiła za nie, podkreślając, że jej krytyka dotyczyła państwa Izrael, a nie społeczności Żydów. Stwierdziła, że „głęboko żałuje" użytych słów, ponieważ mogły zostać odebrane jako antysemickie, choć – jak zapewniała – nie taki był jej zamiar. Jak twierdzi, miała na myśli istotną rolę odgrywaną w polityce amerykańskiej przez Amerykańsko-Izraelski Komitet Spraw Publicznych.



Kilka lat później znów musiała się tłumaczyć ze swojej internetowej działalności. Gdy prezydent Francji Emmanuel Macron nazwał atak Hamasu z 7 października 2023 roku „największą antysemicką masakrą naszego stulecia", Albanese odpowiedziała mu na platformie X: „Nie, panie Macron. Ofiary 7 października nie zostały zabite z powodu swojej żydowskości, lecz w odpowiedzi na izraelski ucisk". Później dopowiadała, że nie usprawiedliwia Hamasu i wielokrotnie potępiała zbrodnie popełnione 7 października, ale z zasadniczej tezy nigdy się nie wycofała.

Również Niemcy uznały za „przerażające" to, że specjalna sprawozdawczyni „usprawiedliwia ataki terrorystyczne i zaprzecza ich antysemickiemu charakterowi". Nazwały jej wypowiedzi „hańbą".

O związki z Hamasem była oskarżana wielokrotnie. Nawet w rodzinnych Włoszech konserwatywny dziennik „Il Giornale" zdecydował się opublikować tekst o konferencji *16 lat oblężenia Gazy: wpływ i perspektywy* zorganizowanej w 2022 roku. Albanese, która łączyła się online, zabierała głos po dwóch ważnych postaciach Hamasu. „Macie prawo stawiać opór tej okupacji" – miała powiedzieć do Palestyńczyków. Broniła się, tłumacząc, że nie zdawała sobie sprawy, kim są pozostali prelegenci, a wydarzenie nastąpiło przed uzyskaniem przez nią mandatu specjalnej sprawozdawczyni.

—

MIMO KRYTYKI ALBANESE nie przestaje działać. W czerwcu 2023 roku przedstawia Radzie Praw Człowieka raport *Palestyńskie doświadczenie za kratami i poza nimi* poświęcony systemowi pozbawiania wolności Palestyńczyków. Nie opisuje w nim wyłącznie więzień i aresztów. Twierdzi, że izraelska okupacja tworzy „ciągłość więzienną" (*carceral continuum*) obejmującą nie tylko cele i ośrodki zatrzymań, lecz także ograniczenia przemieszczania się, system pozwoleń, nadzór biurokratyczny i cyfrowy oraz stałą kontrolę codziennego życia Palestyńczyków.

Raport zawiera dane, które szybko stają się powszechnie znane. Albanese przypomina, że od 1967 roku izraelskie władze zatrzymały ponad 800 tysięcy Palestyńczyków, w tym tysiące dzieci. Jej zdaniem pozbawianie wolności nie jest narzędziem bezpieczeństwa, lecz jednym z podstawowych mechanizmów utrzymywania okupacji [o tym procederze pisała Dalia Mikulska, „Pismo" nr 2/2025 – przyp. red.]. W czasie prezentacji raportu mówi dziennikarzom, że nie ma innego określenia, by opisać system narzucony Palestyńczykom niż „więzienie pod gołym niebem". Słowa te stają się jednym z najczęściej cytowanych fragmentów jej wypowiedzi w 2023 roku.

Jesienią Albanese publikuje kolejny raport, tym razem poświęcony najmłodszym żyjącym pod izraelską okupacją. Pisze, że

palestyńskie dzieci są jednocześnie „nadmiernie widoczne" jako ofiary przemocy i „niewidzialne" jako podmioty praw. Analizuje skutki aresztowań, ograniczeń przemieszczania się, przemocy osadników i nieustannej niepewności związanej z życiem pod okupacją. Raport zostaje ukończony tuż przed atakiem Hamasu z 7 października, dlatego nie obejmuje jeszcze wydarzeń, które wkrótce całkowicie zmienią światową narrację dotyczącą konfliktu [o tym ataku pisała Karolina Przewrocka-Aderet, „Pismo" nr 4/2024 – przyp. red.].

Przygotowuje go w trakcie wakacji, które wraz z córką Leilą i synem Giordanem spędza na Sycylii u teściów. Kontrast ją uderza. Podczas gdy jej dzieci bawią się nad morzem, ich palestyńscy rówieśnicy opowiadają o nocnych najściach żołnierzy, strachu, aresztowaniach krewnych i życiu pod okupacją. Szczególnie poruszyło ją, jak bardzo były „dobrze zorganizowane i zdyscyplinowane" oraz jak naturalnie mówiły o sprawach, które dla europejskich rówieśników byłyby niewyobrażalne.

„Tamto lato pamiętam również jako czas, kiedy moje rodzone dzieci po raz pierwszy zadały mi pytanie, dlaczego spędzam tyle czasu z tymi dziećmi przy komputerze, a nie z nimi. (...) Próbowałam odpowiedzieć, będąc niemal pewną, że nie zostanę zrozumiana, lecz z nadzieją, że zasieję w ten sposób jakieś ziarno na przyszłość: «Bo gdybym była matką dziecka żyjącego w takiej sytuacji jak te dzieci przy komputerze, chciałabym, żeby znalazła się jakaś inna mama, która chciałaby mi pomóc»" – pisze w książce *Kiedy świat śpi*.

Pod koniec 2023 roku Albanese jest już znacznie bardziej rozpoznawalna niż większość specjalnych sprawozdawców ONZ. Nie dzieje się tak wyłącznie z powodu raportów. Coraz większą rolę odgrywa jej sposób komunikacji: bezpośredni, emocjonalny i często wykraczający poza konwencjonalny styl urzędników międzynarodowych. Krytycy zarzucają jej, że przekształca mandat ekspercki w platformę politycznego zaangażowania.

Są tacy, którzy odbierają to pozytywnie. – W przeciwieństwie do wielu wysokich urzędników międzynarodowych Albanese jest gotowa porzucić charakterystyczny dla ONZ, często zawiły i ostrożny język dyplomatyczny, by otwarcie nazywać systemowe i trwające naruszenia praw człowieka, pozostając jednocześnie w granicach prawa międzynarodowego – przyznaje redakcji „Pisma" Shawan Jabarin, dyrektor generalny Al-Haq, palestyńskiej organizacji praw człowieka na Zachodnim Brzegu.

> *W marcu 2024 roku Albanese w raporcie stwierdza, że istnieją „uzasadnione podstawy", by uznać, że działania Izraela w Gazie spełniają przesłanki zbrodni ludobójstwa.*

W swojej opinii nie jest odosobniony. W obronie Albanese stają zarówno palestyńskie organizacje społeczne, jak i część międzynarodowego środowiska praw człowieka. Amnesty International, Human Rights Watch, FIDH (Fédération internationale pour les droits humains – Międzynarodowa Federacja Praw Człowieka) czy setki akademików podpisujących listy otwarte powtarzają podobny argument: problemem nie jest to, że Albanese mówi zbyt dużo, lecz że przekazuje rzeczy, których wielu polityków i dyplomatów wolałoby nie słyszeć.

—

GDY 7 PAŹDZIERNIKA Hamas atakuje Izrael, a wojna w Gazie trafia na czołówki mediów całego świata, Albanese wchodzi w ten nowy etap konfliktu już nie jako mało znana ekspertka ONZ, lecz jeden z najbardziej wyrazistych głosów debaty o Palestynie. Wywołuje burzę swoim wpisem o tym, żeby spojrzeć na kontekst wydarzeń.

Jeszcze przez kilka miesięcy gromadzi materiały, przeprowadza wywiady i analizuje dokumentację dotyczącą działań wojennych Izraela. W marcu 2024 roku ogłasza światu swój najgłośniejszy raport *Anatomia ludobójstwa*.

Po raz pierwszy urzędująca specjalna sprawozdawczyni ONZ stwierdza, że istnieją „uzasadnione podstawy", by uznać, iż działania Izraela w Gazie spełniają przesłanki zbrodni ludobójstwa określone w konwencji ONZ z 1948 roku. Wskazuje na zabijanie członków grupy, powodowanie poważnych szkód fizycznych i psychicznych oraz tworzenie warunków życia prowadzących do jej fizycznego zniszczenia.

Raport wywołuje natychmiastowe reakcje polityczne. Izrael odrzuca go jako całkowicie bezpodstawny i oskarża Albanese o stronniczość. Zwolennicy raportu uznają go za jeden z najważniejszych dokumentów dotyczących wojny w Gazie. Pojęcie ludobójstwa w odniesieniu do Gazy, dotychczas funkcjonujące głównie w środowiskach akademickich i aktywistycznych, trafia do głównego nurtu międzynarodowej debaty.

Równocześnie Albanese zaczyna otwarcie domagać się konkretnych działań państw. Wzywa do nałożenia embarga na dostawy broni dla Izraela i większej presji międzynarodowej. Jej raport zaczynają cytować politycy, organizacje pozarządowe i prawnicy zajmujący się postępowaniami przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości oraz Międzynarodowym Trybunałem Karnym. Palestyński Al-Haq „z zadowoleniem przyjmuje" dokument i popiera „słuszny wniosek, że działania Izraela były motywowane logiką ludobójczą wpisaną w projekt kolonializmu osadniczego". Fundacja Nelsona Mandeli cytuje za specjalną sprawozdawczynią, że istnieją „uzasadnione podstawy, by sądzić, że próg wskazujący na popełnienie ludobójstwa przez Izrael został osiągnięty" w kontekście wydarzeń w Strefie Gazy. Jesienią 2024 roku Albanese publikuje kolejny dokument dla ONZ – *Ludobójstwo jako kolonialna eliminacja*. Nie skupia się już wyłącznie na działaniach wojennych po 7 października. Umieszcza wydarzenia w Gazie w szerszym kontekście kolonializmu osadniczego, przymusowych przesiedleń i długotrwałej polityki zmiany struktury demograficznej Palestyny. Twierdzi, że przemoc w Gazie nie jest odosobnionym epizodem, lecz częścią wieloletniego procesu wypierania Palestyńczyków z ich ziemi.

– Podpisałbym się pod każdym z jej raportów – deklaruje w rozmowie ze mną Michael Lynk, specjalny sprawozdawca ONZ w latach 2016–2022.

W 2025 roku Albanese rzuca światło na gospodarczy wymiar konfliktu. W raporcie *Od ekonomii okupacji do ekonomii ludobójstwa* analizuje rolę międzynarodowych korporacji współpracujących z izraelskimi instytucjami i odnoszących ekonomiczne korzyści z okupacji. Wskazuje dziesiątki przedsiębiorstw i argumentuje, że bez globalnego wsparcia finansowego oraz technologicznego izraelski system kontroli nad Palestyńczykami nie mógłby funkcjonować w obecnej skali.

To właśnie ten dokument wywołuje jedną z najostrzejszych reakcji politycznych wobec specjalnej sprawozdawczyni ONZ. 9 lipca 2025 roku sekretarz stanu USA w administracji Donalda Trumpa Marco Rubio ogłasza wobec Albanese sankcje za jej nieuprawnione i haniebne działania mające na celu skłonienie Międzynarodowego Trybunału Karnego do podjęcia działań przeciwko amerykańskim i izraelskim urzędnikom, firmom oraz menedżerom. Oskarża ją o prowadzenie „kampanii politycznej i ekonomicznej wojny".

„To było okropne. Stawiało mnie w jednym szeregu z seryjnymi mordercami i handlarzami narkotyków na międzynarodową skalę" – mówiła Albanese dziennikarzowi „Guardiana" Julianowi Borgerowi, podkreślając, że otrzymała jedną z najsurowszych kar bez możliwości obrony, bez żadnego procesu.

O uchylenie sankcji zabiegał jej mąż, Massimiliano Calì, występując również w imieniu 13-letniej córki, obywatelki Stanów Zjednoczonych, której prawa – jak argumentowała rodzina – zostały naruszone przez decyzję administracji. Ponieważ status niezależnej ekspertki ONZ ograniczał Albanese możliwości bezpośredniego dochodzenia sprawiedliwości przed amerykańskimi sądami, to właśnie Calì wniósł pozew przeciwko władzom USA.

Utrzymywał w nim, że sankcje uderzyły nie tylko w jego żonę, lecz także w całą rodzinę, powodując poważne konsekwencje finansowe i osobiste. Według pozwu rodzina utraciła możliwość swobodnego korzystania z międzynarodowych usług bankowych, napotkała trudności związane z dostępem do mieszkania w Waszyngtonie, a długotrwała niepewność i presja wywołały silny stres i konieczność korzystania z pomocy medycznej.

W pozwie wskazywał na presję zewnętrzną, kampanie prowadzone przeciwko niemu oraz obawy o dalszą karierę w Banku Światowym. Niektóre proizraelskie środowiska wzywały jego pracodawcę do zwolnienia go z pracy ze względu na publiczną działalność i poglądy żony. W kwietniu bieżącego roku część mediów informowała, że udało się zawiesić go w obowiązkach.

Wiadomo jednak, że z powodu sankcji pracę na Uniwersytecie Georgetown pod koniec 2025 roku straciła Francesca. Kariera prawniczki zajmującej się prawami człowieka zaczęła wpływać na każdy aspekt jej życia prywatnego, a w szczególności na bezpieczeństwo. W wywiadzie dla „Guardiana" mówiła o tym, że dostaje groźby śmierci. Po publikacji raportu *Anatomia ludobójstwa* ktoś do niej anonimowo zadzwonił i powiedział, że jej córka zostanie zgwałcona, podając nazwę szkoły. W marcu 2025 roku skrajnie prawicowa organizacja Betar opublikowała wpis zapowiadający wizytę Albanese w Londynie z użyciem emotikonu pagera. Było to powszechnie odczytywane jako nawiązanie do eksplozji pagerów członków Hezbollahu w Libanie we wrześniu 2024 roku i traktowane jako zapowiedź ataku terrorystycznego.

Jednocześnie Francesca zyskuje status celebrytki, choć powtarza, że najważniejszy jest przekaz, a nie ona. Jej wykłady gromadzą tłumy, ludzie rozpoznają ją na ulicy i dziękują za działalność. Dziennikarz „Guardiana" opisuje jedno z takich spotkań na Uniwersytecie Genewskim: „Przemawia do tłumu w ten sam sposób, w jaki rozmawia prywatnie – z humorem i rozmachem, sypiąc anegdotami. Przedstawia wizję świata pełną nadziei, że sytuacja może się zmienić".

W 2025 roku Albanese zostaje laureatką holenderskiej Nagrody imienia Driesa van Agta, hiszpańskiej Nagrody Praw Człowieka przyznawanej przez Hiszpańskie Stowarzyszenie Praw Człowieka oraz nagrody za działalność feministyczną hiszpańskiego Ministerstwa Równości. W tym samym czasie zwolennicy prawniczki zgłaszają jej kandydaturę do Pokojowej Nagrody Nobla, argumentując, że jej raporty i publiczne wystąpienia przyczyniają się do obrony międzynarodowego porządku prawnego. W 2026 roku trzy belgijskie uniwersytety przyznają jej wspólny doktorat honoris causa, a rząd Hiszpanii odznacza ją Orderem Zasługi Cywilnej – jednym z najwyższych odznaczeń państwowych – za dokumentowanie i nagłaśnianie naruszeń prawa międzynarodowego wobec Palestyńczyków.

– Wierzy w prawo i w znaczenie prawa, ale przy tym jest bardzo przyjazna i niezwykle troskliwa nie tylko wobec ludzi w Gazie, ale także wobec osób wokół siebie – ocenia profesor Neve Gordon. – Jeśli pójdziesz z nią na kolację, ona będzie pilnowała, żeby wszyscy byli zadowoleni, żeby każdy miał co jeść. Jeśli jest na jakimś wydarzeniu i okazuje się, że część osób nie może wejść, pójdzie do organizatorów i będzie szukała rozwiązania. Nie ma znaczenia, czy zna te osoby ani jakie mają poglądy. Do tego ma świetne poczucie humoru. Jest osobą, przy której ludzie czują się swobodnie.

Podobnie wypowiada się o włoskiej prawniczce Youmna El Sayed, niezależna palestyńska dziennikarka:

– Francesca pokazała nam coś, czego desperacko szukaliśmy przez całą tę wojnę: autentyczne człowieczeństwo. Wojna dla nas nie była tylko historią bomb, zniszczeń, śmierci i wysiedleń. Była także doświadczeniem opuszczenia. A ona słuchała naszych historii, dokumentowała nasze cierpienie, badała fakty i publicznie mówiła o tym, co ustaliła. Nie odwracała wzroku, gdy sytuacja stawała się niewygodna. Nie milczała, gdy nasilała się krytyka. Dla wielu Palestyńczyków miało to ogromne znaczenie. Nie dlatego, że sama mogła zakończyć wojnę, ale dlatego, że wykorzystywała każdą dostępną platformę i każde narzędzie, aby przypominać, że palestyńskie życie, prawa i godność mają znaczenie.

W maju 2026 roku zniesiono sankcje nałożone na Albanese w Stanach Zjednoczonych.

We **wrześniowym numerze** „Pisma" przeczytasz portret słynnego reżysera **Wernera Herzoga**.



APTECZKA Kulturalny niezbędnik złożony z najważniejszych książek, reprodukcji obrazów, filmów i płyt, ale też wspomnień o miejscach, formujących doświadczeń. Moich rozmówców i rozmówczynie pytam o to, co przynosi im spokój, napędza do działania i ratuje w momentach kryzysu. Z czego składa się kulturalna apteczka etiopsko-amerykańskiej artystki wizualnej, JULIE MEHRETU?

# Na tratwie meduzy

JULIE MEHRETU, etiopsko-amerykańska artystka wizualna. Laureatka m.in. MacArthur Award (2005). W 2020 roku znalazła się na liście 100 najbardziej wpływowych osobowości magazynu „Time". W 2025 roku otrzymała Order Sztuki i Literatury ministra kultury Republiki Francuskiej. Mieszka i pracuje w Nowym Jorku.

Największy wpływ na to, co w danym momencie znajduje się w mojej apteczce, mają wydarzenia na świecie. Każdy dzień zaczynam od przeglądu wiadomości. Chcę być na bieżąco z tym, co się dzieje. Doświadczenie migracji kształtuje bowiem w człowieku postawę nieustannej czujności.

Zanim skończyłam siedem lat, wraz z rodziną musieliśmy uciekać z ogarniętej rewolucją Etiopii. Przenieśliśmy się do Stanów Zjednoczonych. Mój ojciec dostał posadę wykładowcy geografii ekonomicznej w East Lansing, w stanie Michigan. Odkąd pamiętam, razem z mamą starali się zaszczepić we mnie uważność na otaczającą rzeczywistość. To dzięki nim nie wyrosłam na naiwną idealistkę i nie dałam się uwieść postkolonialnym obietnicom. Już w bardzo młodym wieku, śledząc w telewizji poczynania amerykańskich polityków, zrozumiałam, co tak naprawdę oznacza powiedzenie: „Król jest nagi".

To krytyczne podejście realizuję w obrębie tworzonej przeze mnie sztuki. Choć poruszam się głównie w polu abstrakcji, nie zawężam swoich działań jedynie do malarskich gestów. Czerpię z języka architektury i mass mediów.

Na obrazie *Black city* (*Czarne miasto*, 2007) postanowiłam zestawić na płótnie rysunki architektoniczne nazistowskich kompleksów wojskowo-przemysłowych z planami średniowiecznych fortyfikacji, które następnie zamalowywałam farbą akrylową. *Mogamma, A Painting in Four Parts* (*Mogamma, obraz w czterech częściach*, 2012) stworzyłam za to w reakcji na Arabską Wiosnę. Punktem wyjścia był dla mnie tytułowy budynek rządowy przy Placu Tahrir w Kairze, który stał się symbolem tych historycznych protestów. Z kolei cykl *TRANSpaintings* (2023), malowany na półprzezroczystej siatce poliestrowej [materiale powszechnie stosowanym w procesie sitodruku – przyp. red.], bazuje na relacjach z mediów społecznościowych i zdjęciach fotoreporterów, którzy dokumentują wojnę w Ukrainie.

W moich pracach chcę przypomnieć o tym, że żyjemy w czasach chaosu, w których nie ma już miejsca na uniwersalizmy. Świadomie opieram moje obrazy na doświadczeniu, zderzam w nich różne porządki i unikam uproszczeń. Bo sztuka, w odróżnieniu od polityki, nie musi składać obietnic bez pokrycia.

Choć podstawą moich artystycznych działań jest research, żadna z moich prac nie powstałaby bez muzyki. Nie mam jednej stałej playlisty. To, czego słucham, zależy od tego, nad czym akurat pracuję. Gdy w 2017 roku malowałam na wystawę w San Francisco Museum of Modern Art (SFMOMA) dwa wielkoformatowe obrazy – *HOWL, eon (I, II)* – w słuchawkach na zapętleniu leciał debiutancki album *Section.80* Kendricka Lamara. Z kolei po tegorocznej podróży do Afryki, podczas której odwiedziłam sześć różnych krajów, moje muzyczne zainteresowania skręciły ku tamtejszym brzmieniom. Od tego czasu zasłuchuję się w dźwiękach amapiano, afropunku i afrobeats (najbardziej poruszają mnie kawałki nigeryjskiej wokalistki Tems).

Natomiast gdy potrzebuję oderwać myśli od samego procesu twórczego, słucham podcastów i audiobooków. Ostatnio wróciłam do powieści *Raj* Toni Morrison. Nieustannie zachwycam się precyzją, z jaką potrafiła konstruować zdania i splatać ze sobą różne narracje. Choć napisała tę książkę prawie trzy dekady temu, mam wrażenie, że w ogóle nie straciła ona na aktualności. Morrison w mistrzowski sposób opisuje w niej działanie patriarchatu i napięcia rasowe, z którymi wciąż dziś się mierzymy.

Równie aktualny wydaje mi się napisany w połowie XIX wieku *Moby Dick* Hermana Melville'a, w którym zaczytywałam się w pandemii. Nasze życie nie różni się przecież tak bardzo od losu załogi statku „Pequod". I czy my też nie podążamy za szaleńcami, którzy prowadzą nas ku nieuchronnej katastrofie?

W całym tym bałaganie, jakim jest współczesny świat, spokój pozwala zachować mi buddyjska idea nieprzywiązywania (*non-abidance*, w sanskrycie: *apratiṣṭhita*) – świadomość, że nic nie jest trwałe, a jedyne, na co tak naprawdę mamy wpływ, to chwila obecna. Bo nawet jeśli jutro wybuchnie kolejna wojna, to dziś mogę zabrać partnerkę i dzieci na spacer. Możemy wspólnie obejrzeć zachód słońca. W tej jednej chwili – tu i teraz – może być dobrze.

*Rozmawiał i przełożył Mateusz Roesler*



MATEUSZ ROESLER, kulturoznawca, dziennikarz, badacz komunikacji. Absolwent Gender Studies IBL PAN. W „Piśmie" odpowiada za koordynację projektów i współprace strategiczne. Autor podcastu *Trzaski i szmery*. Nawiązał długofalowe partnerstwo z żółwiem Herbertem. Instagram: @mm_roesler.

*rysunki* ANNA GŁĄBICKA

# Mężczyźni, którzy chcą zamknąć usta kobietom

*tekst* HELEN LEWIS
*przłożyła* KATARZYNA MOJKOWSKA

AGRESYWNA FORMA MIZOGINII stała się najważniejszą spoiną amerykańskiej prawicy.

Douglas Wilson ma pewną skromną propozycję, jak zmienić życie w Ameryce na lepsze: chce uchylić 19. poprawkę przyznającą kobietom prawa wyborcze. Jak wyznał mi niedawno, według niego w idealnym systemie „struktura w polityce przypominałaby tę, jaką praktykujemy w naszym kościele. Otóż na jedno gospodarstwo domowe przypadałby jeden głos".

Wilson jest współzałożycielem Konfederacji Ewangelicznych Kościołów Reformowanych z siedzibą w Moscow w Idaho. W ciągu pięciu ostatnich dekad zbudował tam niewielkie imperium poświęcone krzewieniu jego teokratycznej wizji Stanów Zjednoczonych: istnieją już wydawnictwo, szkoła, uczelnia humanistyczna i usługa streamingu wideo. Członkiem jego denominacji religijnej, zrzeszającej około 170 różnych Kościołów, jest sekretarz obrony Pete Hegseth, a w lutym poproszono Wilsona o poprowadzenie spotkania modlitewnego w Pentagonie. Gdy więc pastor sugeruje mimochodem, że można by pozbawić połowę Ameryki praw obywatelskich, ma posłuch.

Gdy zapytałam go o powyższy postulat, Wilson odparł, że ta kwestia nie należy do jego priorytetów. – Mamy ważniejsze sprawy na głowie – stwierdził. Taką zmianę widziałby raczej w perspektywie jakichś 200 lat. Szlag mnie trafił, kiedy usłyszałam, jak chłodno kalkuluje priorytety. – Gdybym powiedziała, że moim zdaniem wszystkich białych mężczyzn powinno się zamknąć w klatkach – ale jeszcze nie teraz, teraz nie mam takich aspiracji – nie interesowałoby już pana nic innego, co miałabym do powiedzenia.

Wilson się zaśmiał. – Och, pewnie skupiłbym na pani całą swoją uwagę.

Oto błyskotliwe, dobroduszne oblicze Douglasa Wilsona – człowieka, który opuściwszy marynarkę wojenną, z miejsca przystąpił do hippisowskiej kongregacji, bo lubił grać na gitarze, ostatecznie zaś, po wyjeździe dotychczasowego pastora, sam zaczął odprawiać nabożeństwa. To ten sam mężczyzna, który pewnego razu wybrał się w tournée debat po wielu miastach z należącym do nowych ateistów Christopherem Hitchensem [zapoczątkowany w 2004 roku nowy ateizm zakłada naukową krytykę religii – przyp. tłum.], a ich wspólne uwielbienie dla pisarza P.G. Wodehouse'a zaowocowało przyjaźnią. Jednak na swojej stronie internetowej Blog & Mablog ten 72-latek odsłania zupełnie inną twarz. Od ponad dwóch dekad publikuje tam wymowne opinie na temat nieposłusznych kobiet czy też – jak je nazywa – „małocycatych staruch", „wiedźm", „lesb typu drwal" i „rozpustnic". Glorię Steinem i jeszcze jedną feministkę ochrzcił kiedyś mianem „dwóch pizd". A to i tak ugrzeczniona wersja. Co roku obchodzi „listopad bez brania jeńców", kiedy to obiecuje czytelnikom, że będzie pisał to, co naprawdę myśli.

Według Wilsona nie należy dopuszczać do tego, by kobiety „w trybie zwyczajnym" zajmowały stanowiska polityczne, nie wolno im też służyć w wojsku w roli żołnierzy frontowych. Mężowie powinni decydować



*rysunek* PATRYCJA PODKOŚCIELNY

HELEN LEWIS, brytyjska dziennikarka, współpracowniczka magazynów „The Guardian" i „The Sunday Times", regularnie pisze do „The Atlantic". Autorka *Difficult Women: A History of Feminism in 11 Fights*.

o wadze nieposłusznych żon, ich nawykach konsumenckich i o tym, co oglądają w telewizji. Zdaniem konserwatywnej pisarki Karen Swallow Prior bezkompromisowa wizja Ameryki Wilsona niegdyś była uważana za marginalną. Jednak odkąd dzięki powiązaniom z sekretarzem Hegsethem zyskał na znaczeniu, „już nikt nie może z pełnym przekonaniem powiedzieć, że Doug Wilson to postać drugorzędna".

Teolog jest istotnym głosem ruchu nazywanego czasem „maskulinizmem", który postuluje zwalczanie zdobyczy feminizmu i przywracanie prymatu mężczyzn. Reprezentuje jego religijną wersję, silnie nacechowaną ideą męskiego „zwierzchnictwa" nad rodziną i zaczerpniętym od Świętego Pawła przekonaniem, że pobożne kobiety „mają milczeć". Istnieje jednak również całe mnóstwo maskulinistów świeckich, a także nominalnie muzułmańskich – na przykład streamer Sneako, określający sam siebie mianem sutenera Andrew Tate czy podcaster Myron Gaines. Nagonka na kobiety dobrze się klika w mediach społecznościowych i można dzięki niej sprzedać całą masę reklam kryptowalut, zakładów sportowych i suplementów. Da się zarobić niezłe pieniądze na mówieniu mężczyznom, że w rzeczywistości to oni są uciśnioną płcią.

Nie jest to jednak po prostu ruch naciągaczy wykorzystujących kaprysy algorytmu. W ostatniej dekadzie jednym z największych wyzwań stojących przed Nową Prawicą stało się unowocześnienie ideologii, tak by była spójna z myśleniem elektoratu Donalda Trumpa. Maskulinizm okazuje się wielkim darem, ponieważ łączy ponad podziałami frakcje o odmiennych poglądach na – powiedzmy – protekcjonizm, Izrael czy gigantów technologicznych; wszystkie mogą się zgodzić co do tego, że feminizm zaszedł za daleko i trzeba przywrócić tradycyjne role płciowe. Maskulinizm nie jest marginalnym systemem przekonań, stał się najważniejszą siłą spajającą amerykańską prawicę – stworzył nieprawdopodobną konstelację pastorów, osób publicznych, senatorów, kaznodziejów, influencerów, podcasterów i fanbojów.

Często mówi się, że ruch MAGA [Make America Great Again – przyp. red.] stanowił reakcję na pierwszego czarnego prezydenta i rosnącą populację latynoską. Jednak fakt, że manosfera [męski, prawicowy internet – przyp. tłum.] kusi osoby o wielu odcieniach skóry, w połączeniu ze wzrostem popularności Trumpa w 2024 roku wśród młodych mężczyzn z mniejszości, sugeruje coś innego. – Ludzie pytają mnie, co wzbudza gniew Nowej Prawicy – wyznała mi Laura Field, której książka *Furious Minds* (*Wściekłe umysły*) opisuje intelektualne fundamenty trumpizmu. – Myślę, że w dużym skrócie można powiedzieć, że prawicowcy są wściekli z powodu postępującej od kilku lat utraty własnego statusu społecznego oraz na elity, które do tego dopuściły. Natomiast najzwięźlej rzecz ujmując: na kobiety. To kobiety odebrały im status.

W podejściu Wilsona do dyskursu publicznego zdecydowanie widać element, który profesjonalni zawodnicy wrestlingu nazywają *kayfabe* – udawanej, ostentacyjnej prowokacji; trollowania charakterystycznego dla zachowań prawicy w internecie. Pastor chce, by podobne mi feministki wkurzały się na jego co bardziej niedorzeczne propozycje, dzięki czemu będzie mógł zrobić z nich panikary lub histeryczki. Jednak zarówno Wilson, jak i rosnąca liczba jego potężnych sojuszników szczerze wyznają te przekonania i gdyby tylko mieli okazję, wprowadziliby je w życie.

Jedno z głównych twierdzeń maskulinizmu brzmi: nikt nie rozmawia o mężczyznach. Rzeczywiście! Kwestie mężczyzn wcale nie są omawiane: ani w książce senatora Josha Howleya z 2023 roku zatytułowanej *Manhood: The Masculine Virtues America Needs* (*Męskość. Męskie wartości, jakich trzeba Ameryce*), ani w dokumencie Tuckera Carlsona *The End of Men* (*Koniec mężczyzn*), ani w szerokim wyborze dostępnych w serwisie Amazon książek chrześcijańskich o znamiennych tytułach *Man for the Job* (*Męska robota*), *Masculine Christianity* (*Męskie chrześcijaństwo*) i *It's Good to Be a Man* (*Dobrze być mężczyzną*), a także ich świeckich odpowiednikach, choćby *Why Women Deserve Less* (*Dlaczego kobiety zasługują na mniej*). Nie wspomina się o nich również na facebookowych stronach (które bywają starannie posegregowane pod względem płci odbiorców) ani w niektórych z najpopularniejszych niezależnych podcastów Ameryki, takich jak *Modern Wisdom* (*Współczesna mądrość*), *Huberman Lab* (*Laboratorium Hubermana*) czy *The Diary of a CEO* (*Dziennik CEO*).

Przez całe dekady każda ze zdobyczy feminizmu w amerykańskim życiu publicznym wywoływała ostry sprzeciw. Pierwsza fala aktywizmu na rzecz praw kobiet sprawiła, że na przekór zaciekłej i czasem przemocowej opozycji uzyskały one prawa wyborcze. Po tym jak druga fala doprowadziła do uchwalenia 9. poprawki i przyniosła kolejne sukcesy w walce z dyskryminacją ze względu na płeć, Phyllis Schlafly skutecznie zawalczyła przeciwko pełnej ratyfikacji *Equal Rights Amendment* – poprawki dotyczącej równości praw. W drugiej dekadzie XXI wieku, z jej obsesją na punkcie tożsamości, korporacyjna Ameryka całkowicie skupiła się na popieraniu chwytliwych sloganów w rodzaju „Przyszłość jest kobietą". Ów komercyjny blitzkrieg niewątpliwie przekonał co poniektórych, że kobiety osiągnęły poprawę swojego losu kosztem mężczyzn. Przez kilka ostatnich lat ciągle słyszałam, że chłopców wpędza się w poczucie wstydu, jak gdyby byli splamieni czymś w rodzaju grzechu pierworodnego. W latach tych można było zaobserwować

kontrreakcje, na przykład zupełne zarzucenie ruchu #MeToo, konserwatystów napawających się uchyleniem wyroku w sprawie Roe przeciwko Wade'owi i powrót otwarcie seksistowskich odzywek do życia publicznego – choćby *Quiet, piggy* [„Milcz, świnko" – tak w listopadzie 2025 roku prezydent Donald Trump zareagował na pytanie dziennikarki o akta Epsteina – przyp. tłum.].

Podobnie jak inne najpopularniejsze ruchy społeczne maskulinizm ma wiele odmian i przybiera formy zarówno możliwe do obrony, jak i alarmujące. Na jednym krańcu spektrum znajduje się uzasadniony niepokój o to, że mężczyźni doświadczają samotności, o ich spadającą liczebność na uczelniach wyższych, dotykający mężczyzn bez wyższego wykształcenia zastój płac i katastrofalne skutki grania na giełdzie, gamingu i pornografii. Na drugim krańcu maskulinizmu leżą mizoginistyczne słownictwo, z hasłami w rodzaju AWFUL i „długiego domu" (do tych terminów jeszcze wrócimy), oraz program polityczny zbliżony do tego z *Opowieści podręcznej* Margaret Atwood, gdzie kobietom odmawia się prawa do pracy, głosowania i kontroli nad własnym ciałem.

W internecie maskulinizm przedstawiany jest jako wyraz buntu – przekraczającego granice dobrego smaku, pokazującego środkowy palec liberalnemu establishmentowi – wyrażanego za pomocą słów zakazanych przez korporacyjne działy HR. Ujawnione w ostatnich latach grupowe czaty Młodych Republikanów i uniwersyteckich konserwatystów dowiodły, jak wykorzystują oni przesiąknięty rasizmem seksizm w charakterze mechanizmu więziotwórczego. „Jeśli twój pilot to pilotka o skórze o dziesięć tonów ciemniejszej niż cera mieszkańca Sycylii, uciekaj. Wrzeszcz «nie!»" – napisano na kanale na Telegramie, wykorzystywanym przez liderów oddziałów Młodych Republikanów w Nowym Jorku, Kansas, Arizonie i Vermoncie. (Do uczestników czatu należało kilka kobiet). Richard Hanania, który sam siebie określa jako byłego białego nacjonalistę, nazywa takie wewnątrzgrupowe sygnały *the Based Ritual* [„testem lojalności", terminem zaczerpniętym z tytułu eseju Hananii z 2025 roku – przyp. tłum.] – w ten sposób młodzi entuzjaści ruchu MAGA udowadniają sobie nawzajem własną wiarygodność.

Dla zetek intelektualnym dziedzicem Douglasa Wilsona jest Nick Fuentes, przywódca bandy trolli znanych jako Groypers. Samozwańczy chrześcijański nacjonalista, antysemita i prawiczek zbudował sobie bazę fanów między innymi za sprawą silnie mizoginistycznego języka. „Naszym wrogiem politycznym numer 1 są kobiety, bo kobiety wszystko ograniczają, każdą rozmowę, każdego mężczyznę – no, wszystko" – powiedział na początku tego roku podczas streamu na żywo. Dodał: „Hitler uwięził Cyganów, Żydów, komunistów – wszystkich swoich politycznych rywali – a my musimy zrobić to samo z kobietami". Sugerował zsyłkę do „gułagów rozpłodowych. Grzeczne zostaną wyzwolone. Niegrzeczne będą do końca życia zasuwać w kopalniach".

Retoryka Fuentesa pokazuje, jak w postrzeganie świata przez pryzmat płci można łatwo wpleść inne uprzedzenia. Homoseksualni mężczyźni? Zniewieściali, niezainteresowani sportem, a tym samym niemęscy. Żydzi? Raczej sprytni niż wysportowani; również niemęscy. Wykładowcy uniwersyteccy? Rachityczni postmoderniści; to też niemęskie. Osoby trans? Degeneraci, oczywista sprawa. Muzułmanie? Armia najeźdźców-gwałcicieli. Czarni mężczyźni? Bandyci, przed którymi trzeba chronić białe kobiety (o ile ulegną patriarchatowi). Niemal każdemu obliczu współczesnej internetowej prawicy można się przyjrzeć przez pryzmat płci. Wiele osób zrzeszonych w Heritage Foundation, być może najbardziej wpływowej organizacji politycznej ruchu MAGA, odcięło się w ubiegłym roku od tej grupy, gdy jej przewodniczący odmówił potępienia antysemityzmu Fuentesa. Pogląd, że miejsce kobiet jest w obozach przymusowego rozrodu, nie wzbudził aż takich emocji.

Wilson powiedział mi, że jego zdaniem ten rodzaj retoryki jest w niewybaczalnie złym tonie. „Biblia mówi, że pobożna kobieta jest koroną mężczyzny – stwierdził. – Nigdy nie słyszałem, by król wysławiał się o swojej koronie w sposób, w jaki Fuentes mówi o kobietach. To niepojęte". Chciałam dowiedzieć się, czy „małocycate staruchy" pochodzą z Ewangelii św. Marka czy Łukasza, ale Wilson zdążył się już rozkręcić. Jego zdaniem Fuentes jest takim ekstremistą, że równie dobrze może być agentem federalnym pracującym pod przykrywką, by zdyskredytować ich ruch. „Mnie tam się wydaje, że on nie jest po naszej stronie".

Wilson może mieć rację co do kwestii teologicznych, jednak obaj mężczyźni czerpią korzyści ze strategii retorycznej opartej na szoku i trwodze. W 2014 roku wybuchł niewielki skandal, kiedy to ujawniono, że użytkownik „William Wallace II" – autor publikowanych na forach internetowych wielostronicowych tyrad o Ameryce jako „ocipiałej nacji", w której „mężczyźni są wychowywani przez zgorzkniałe, zazdrosne o penisy, wypalone samotne matki feministki pilnujące, by każdy Johnny wyrósł na przemiłą babę, która sika na siedząco" – to nikt inny jak pastor jednego z mega kościołów Mark Driscoll. Dziś taki język nie wywołuje większego zdziwienia.

*Dla zetek guru stał się Nick Fuentes, przywódca bandy trolli, antysemita i prawiczek, który używa mizoginistycznego języka.*

—

AUTORZY, KTÓRZY NIEGDYŚ skrywali swoje maskulinistyczne zapędy, pisząc pod pseudonimem, dziś publikują oburzające treści pod własnym nazwiskiem. Chociażby prowokator w manosferze znany jako Raw Egg Nationalist, a na X, gdzie ma ponad 300 tysięcy



obserwujących, jako @Babygravy9. Porady dotyczące stylu życia i dietetyki – na przykład „slonking", połykanie surowych żółtek w całości – przeplata on skrajnie prawicowymi, antyimigracyjnymi postami politycznymi. Publikuje w Infowars, portalu propagatora teorii spiskowych Alexa Jonesa. Pisze o dyskryminacji białych i ma swoją własną linię ziołowych herbat Kindred Harvest w torebkach bez mikroplastiku.

W 2024 roku lewicowa grupa aktywistów ujawniła, że pod tymi pseudonimami kryje się Charles Cornish-Dale, historyk religii, który studiował zarówno na Oksfordzie, jak i w Cambridge, i którego praca doktorska nosiła tytuł *Migrations of the Holy: The Devotional Culture of Wimborne Minster, c.1400–1640* (*Migracje świętości. Pobożna kultura miasta Wimborne Minster w latach około 1400–1640*). Gdy upubliczniono jego nazwisko, 38-letni dziś Cornish-Dale skonkludował: „*doxing* [ujawnienie danych osobowych w internecie – przyp. tłum.] jedynie mnie wzmocnił i sprawił, że jestem jeszcze bardziej oddany temu, co robię".

Swojej najnowszej książki, *The Last Men* (*Ostatni mężczyźni*), nie podpisał już pseudonimem. Kwestionuje w niej możliwość „bycia w pełni mężczyzną w liberalnej demokracji". Jego recepty na polityczne bolączki, podobnie jak w przypadku Wilsona, można nazwać bezkompromisowymi. Jak sam mi opowiedział: – Ktoś zaczepił mnie niedawno – wydaje mi się nawet, że była to dziewczyna – z pytaniem: „I jak, odebrałby pan kobietom prawo głosu?". A ja na to: „Zabrałbym je też ogromnej większości mężczyzn".

W swojej książce, wydanej przez prestiżową konserwatywną oficynę Regnery, Cornish-Dale sugeruje, że na Trumpa głosowali mężczyźni o wysokim poziomie testosteronu, jako że wysoki testosteron koreluje z akceptacją hierarchii, statusu i nierówności. Liberalizm natomiast tłamsi siły witalne mężczyzn: „Lewicowcy otwarcie akceptują dziś demaskulinizację i niski poziom testosteronu jako element własnej tożsamości". Powraca również do argumentu, który po raz pierwszy zawarł w artykule *Ecce Homos* – że lewica okradła heteroseksualnych mężczyzn z ich bohaterów, przedstawiając ważne postaci jako osoby homoseksualne. Życzyłby sobie oczyścić z podtekstów platoniczne męskie przyjaźnie, jak z czasów „Juliusza Cezara czy Aleksandra Wielkiego, ostatniej bitwy Spartan pod Termopilami, kowbojów, piratów, gangsterów".

*The Last Men* to książka frapująca, jako że zdaje się wyrażać jednakowe zaniepokojenie spadającymi współczynnikami urodzeń, jak i faktem, że *Tajemnica Brokeback Mountain* zdobyła trzy Oscary. Cornish-Dale identyfikuje potencjalnie niepokojące zjawiska, takie jak odnotowywany na całym świecie spadek liczby plemników w spermie, i wskazuje na autentyczne uczucie znudzenia będące doświadczeniem wielu młodych mężczyzn w Ameryce tkwiących w niesatysfakcjonujących pracach, szukających większego sensu w życiu. Winą obarcza elity: To o n i dbają, żebyś był gruby; to im nie podoba się podejmowanie ryzyka czy hierarchia; to o n i nazywają męskość toksyczną.

Podczas rozmowy Cornish-Dale wymądrza się, ale i budzi sympatię; swoim leniwym sposobem mówienia przywodzi mi na myśl Simona Cowella. Wywiad odbył się na Zoomie o 6:00 jego czasu i odniosłam wrażenie, że mój rozmówca, ubrany w pasiastą piżamę, jest jeszcze w łóżku. Jego aktualny styl to ogolona głowa i napakowane ciało, chociaż jeszcze w 2012 roku porzucił badania terenowe w klasztorze buddyjskim, kiedy poproszono go o obcięcie męskiego koczka. – Przechodziłem wtedy przez fazę hipsterską – powiedział mi. – Chcieli, żebym nosił długą szatę zamiast dżinsowych rurek, a ja po prostu nie zamierzałem tego robić.

Cornish-Dale to w zasadzie influencer – aczkolwiek znający wiele trudnych słów. Jednak maskulinizm nie jest zaledwie jednym ze sposobów zarabiania na ekonomii uwagi. Reprezentantów podobnego światopoglądu mających silne związki z konserwatywnymi kręgami politycznymi jest więcej.

Jedna z takich osób to Scott Yenor, który stwierdził, że współczesne kobiety są „otumanione lekami, wścibskie i kłótliwe". Od 2000 roku wykłada filozofię polityczną na Uniwersytecie Stanowym w Boise w stanie Idaho, blisko 500 kilometrów na południe od bastionu Douglasa Wilsona w Moscow. Współpracował też z gubernatorem Florydy Ronem de Santisem przy wycofywaniu programów DEI [promujących różnorodność, równość i inkluzywność – przyp. tłum.], które konserwatyści uważają *de facto* za krzywdzący białych mężczyzn system parytetów rasowych i płciowych. „Nasz sprzeciw budzi zasadniczo «antydyskryminacja»" – napisał Yenor w 2021 roku w mailu ujawnionym „New York Timesowi" w odpowiedzi na wniosek o udostępnienie informacji publicznych.

Dziś Yenor sam lubi trochę podyskryminować. Ubiegłej jesieni, w eseju dla Claremont Institute, napisał, że według niego należałoby zmienić prawo w sposób umożliwiający przedsiębiorstwom „wspieranie tradycyjnego życia rodzinnego poprzez zatrudnianie wyłącznie mężczyzn – głów rodzin, albo płacenie wynagrodzeń rodzinnych" – czyli zapewniający wyższe płace mężczyznom, by ich żony nie musiały pracować. (Obecnie byłoby to po prostu sprzeczne z konstytucją jako dyskryminacja ze względu na płeć). W 2021 roku twierdził, że uczelnie nie powinny starać się przyjmować większej liczby kobiet na kierunki inżynierskie. Zamiast tego należałoby „rekrutować mężczyzn, przyszłych inżynierów, i wymagać od nich więcej. To samo dotyczy kierunków medycznych, prawa i wszystkich innych branż".

Podobnie jak J.D. Vance szczególną pogardę żywi wobec kobiet niemających dzieci. Niech niebo ma w swojej opiece „bezdzietne krytykantki z mediów" czy „niepłodne biurokratki, kobiety-aparatczyków – to słowa Yenora – które wybierają karierę zamiast dzieci". Jego retoryka jest na tyle nieprzyjemna i skrajna, że nie przyjęto go do zarządu uniwersytetu na Florydzie. Jeśli chodzi o jego poglądy na uchylenie 19. poprawki, Yenor przekonywał mnie w mailu, że „kiedy w Ameryce przysługiwał jeden głos na gospodarstwo domowe – a w każdym razie obowiązywał jakiś ekwiwalent tego prawa – nie była tyranią, tylko dobrze zarządzanym państwem wspierającym rodzinę. Dziś kraj jest już inny, w naszych warunkach ten sam system głosowania byłby czymś nieodpowiednim". (Chociaż Yenor odpowiedział na moje pytanie dotyczące 19. poprawki, nie znalazł czasu na udzielenie mi wywiadu).

Yenor został niedawno przewodniczącym American Citizenship Initiative (Inicjatywy na rzecz Obywatelstwa Amerykańskiego) w Heritage Foundation. Styczniowy raport fundacji wzywał do „ogólnokulturowego Projektu Manhattan" promującego zakładanie i powiększanie rodzin – miałyby w tym pomóc hojne ulgi podatkowe dla tych par, w których tylko jedno z małżonków ma pracę. Zarazem zniechęcano by do aborcji, stosowania antykoncepcji, korzystania z zasiłków dla samotnych rodziców, żłobków, aplikacji randkowych i udzielania rozwodów bez orzekania o winie. Raport zawiera jedno z najmniej romantycznych zdań, jakie w życiu przeczytałam: „Małżeństwo otwiera również wyjątkowe możliwości w zakresie planów emerytalnych".

Wszystko to jest kontynuacją wątków, jakie można znaleźć w *Project 2025*, strategii Heritage Foundation na drugą kadencję Trumpa. Dokument, jak to podsumował mój kolega David Graham, proponuje wizję Ameryki, w której „mężczyźni są żywicielami rodziny, a kobiety matkami".

Sugestia Yenora, że feminizm – i nieodłącznie z nim związane potworności w rodzaju pracy poza domem, antykoncepcji i niezależności finansowej – zafundował kobietom nerwice i wpędził w uzależnienie od leków, jest dziś na prawicy dogmatem wiary. Anonimowi internauci często powołują się na dane sugerujące, jakoby to kobiety o liberalnych poglądach najczęściej zgłaszały, że cierpią na lęki. Jednak obarczanie feminizmu winą za nieszczęścia kobiet zdaje się stać w zupełnej sprzeczności z prawdą historyczną. Czy ci ludzie nigdy nie czytali, powiedzmy, *Mistyki kobiecości*, w której wyczerpująco skatalogowano zgryzoty matek pracujących w domu w połowie ubiegłego wieku? „Wiele gospodyń domowych mieszkających na przedmieściach łykało psychotropy w takich ilościach, jakby to były landrynki" – pisała Betty Friedan (przeł. Agnieszka Grzybek). Jednak w manosferze wmawia się młodym ludziom, że zanim feminizm wszystko zniszczył, mężowie otaczali swoje żony opieką i rozpieszczali je. Dziś kobiety otrzymują dotacje w ramach rządowego rozdawnictwa lub zarabiają sześciocyfrowe kwoty, wykonując bezsensowne „drobne prace biurowe". Zgodnie z maskulinistycznym paradygmatem każda kobieta pracuje w dziale HR dla kotków, a mężczyzna jest hydraulikiem lub marynarzem floty handlowej.

Zapytałam Wilsona o to pełne nostalgii wypaczanie historii przez jego sprzymierzeńców. – Zadam pani proste pytanie – odparł. – Gdyby cofnęła się pani w czasie do roku 1850 i przyjrzała tym wszystkim kobietom, które musiały uzyskać zgodę męża na podróż, odwiedziny u chorej kuzynki czy co tam jeszcze, to ile z nich – niech będzie z dziesięciu tysięcy tych kobiet – ile z nich było na antydepresantach? A ile jest na nich dzisiaj? Odparłam, że nie sposób tego uczciwie porównać, bo dziś wszyscy są na antydepresantach. Na dodatek w latach 50. XIX wieku nie wynaleziono jeszcze SSRI. Kobiety słyszały tylko, że mają łyknąć sobie kapkę laudanum i pojechać do wód.

–

na ile popularne są maskulinistyczne idee? Ubiegłoroczne badania przeprowadzone w 30 krajach przez londyński King's College i Ipsos wykazały, że wśród mężczyzn z pokolenia Z zachodzi o wiele większe niż w przypadku baby boomerów prawdopodobieństwo wyrażania opinii, jakoby walka o równouprawnienie zaszła tak daleko, że dziś to mężczyźni są na straconej pozycji. Dwa razy częściej twierdzili również, że ojciec zostający w domu z dziećmi jest „gorszym mężczyzną". Tymczasem, według ankiety konserwatywnego Manhattan Institute, 83 procent republikanów płci męskiej poniżej 50. roku życia uważa, że społeczeństwo jest zbyt sfeminizowane. Co ciekawe, ankieta ta nie powielała klasycznego motywu mężczyzn z klasy pracującej buntujących się przeciwko przemądrzałym żeńskim elitom: wykazała, że „republikanie z wyższym wykształceniem dwa razy częściej niż ich koledzy na niższym poziomie edukacji popierali pogląd, że społeczeństwo aż nadto zniewieściało".

Ostatnie wybory prezydenckie, w których Trump starł się z Kamalą Harris, były prezentem dla maskulinistów. W końcu czarne charaktery dla tego ruchu to bizneswoman na kierowniczych stanowiskach, feministki i kobiety bezdzietne, a Harris jest ucieleśnieniem wszystkich tych typów. Mężczyźni podcasterzy, którzy w 2024 roku stanęli murem za Trumpem, dziś zapraszają do siebie otwartych mizoginów: wystarczy spojrzeć na karierę chrześcijańskiego uczestnika debat internetowych Andrew Wilsona, który w styczniu pojawił się w prawdopodobnie najpopularniejszym podcaście

**83 procent**

**• republikanów płci męskiej poniżej 50. roku życia uważa, że społeczeństwo jest zbyt sfeminizowane.**

Ameryki *The Joe Rogan Experience*, co dla influencerów manosfery stanowi odpowiednik odśpiewania hymnu podczas Super Bowl.

Dobór gości przez Rogana stanowi przydatny zwiastun nastrojów politycznych w Ameryce; on sam, jeszcze w 2020 roku „Bernie bro" [młody mężczyzna popierający Berniego Sandersa – przyp. tłum.], w 2024 lansował już Trumpa, po drodze przeszedłszy etapy antywoke, irytacji lockdownami w czasach pandemii COVID-19 i głębokiego zaangażowania w teorie spiskowe. Niedawno zaczął interesować się chrześcijaństwem i pojawia się w Kościele bezwyznaniowym.

Wilson, który wystąpił w programie Rogana, żeby promować swoje internetowe kursy debatowania, początkowo zdobył sławę dzięki wielokrotnemu pojawianiu się w *Whatever* – mającym 4,6 miliona subskrybentów na YouTubie podcaście o randkowaniu. Specjalnością programu jest stosowanie manipulacji wobec modelek i dziewczyn z OnlyFans, tak by dostarczały tak zwanych *rage baitów* (wypowiedzi mających prowokować użytkowników) – jak w przypadku jednej z niedawnych gościń, która wyznała, że zasługuje na męża milionera. Na arenie z dzikimi lwami, jaką jest studio *Whatever*, kobiety mają być z góry skazane na porażkę, jednak czasem udaje im się wygrać, jeśli zwyczajnie zachowują spokój wobec męskich zagrywek.

W jednym z odcinków Wilson powiedział gościni, że jest zbyt głupia, by go zrozumieć. W odpowiedzi ona zwróciła uwagę na fakt, że jego własna żona, Rachel, ma dzieci z trzema różnymi mężczyznami. Wtedy Wilson wybuchł. „A ty wylizujesz patelnie – warknął. – Jebana lesba. Nie pierdol farmazonów o mojej żonie, głupia pizdo". I rzucił: „Jestem od ciebie lepszy". To był wyjątkowy przejaw niekontrolowanej agresji. W innym klipie śmiał się z kolejnej gościni, że nie daje rady otworzyć słoika z piklami. Podała mu go, ale on również poniósł porażkę. „No bo zatłuściłaś całą pokrywkę swoim łapskiem" – skarżył się. Wilson dysponuje jednym z najbardziej nieprzyjemnych internetowych wcieleń, na jakie kiedykolwiek trafiłam – a byłam na Bluesky. (Nie odpowiedział na moje zapytanie o wywiad; nie powiem – ulżyło mi).

Jak można się było spodziewać, Roganowi, mężczyźnie o wysokim statusie, Wilson okazywał o wiele większy szacunek niż modelkom w *Whatever*. Odpaliwszy tryb popisującego się ziomka, powiedział Roganowi, że „feministki z miejsca przestałyby być feministkami, gdyby tylko zaznały, tego, no wiesz... no na przykład gdyby ludzie naprawdę musieli zamykać się na noc przed wilkami". (Jak w starciu z wilkiem wypadłby mężczyzna w średnim wieku, odpalający jednego papierosa od drugiego i żyjący z prowadzenia podcastu, pozostaje kwestią otwartą). Różnica pomiędzy tym Andrew Wilsonem a Wilsonem z programu *Whatever* była zdumiewająca – podobnie jak fakt, że Rogan gotów był gościć jego życzliwą wersję, najwyraźniej nie zawracając sobie głowy istnieniem tej drugiej, złowrogiej.

Wilson skorzystał również z okazji, by zareklamować książkę swojej żony *Occult Feminism* (*Feminizm okultystyczny*), w której utrzymuje ona, że feminizm „zrodził się z wierzeń okultystycznych, jako że z założenia stara się sprawić, by kobiety zapanowały nad mężczyznami jako boginie, a przynajmniej próbuje je ubóstwić". Przeczytałam ją (uwaga, spojlery: sufrażystki uwielbiały seanse spirytystyczne, Miley Cyrus posługuje się pogańskim językiem) i mogę wyznać, że doświadczenie to dziwnie przypomina słuchanie, jak jedno z moich znajomych recytuje z pamięci pół tuzina stron Wikipedii przeczytanych po pijaku.

Wilson jednak wypromował swoją żonę na tyle skutecznie, że kilka tygodni później Rachel Wilson osobiście pojawiła się w *The Joe Rogan Experience*. „Tak naprawdę nie miałem dotychczas konkretnego zdania na temat feminizmu" – powiedział jej Rogan, zauważając jedynie, że niektóre feministki nienawidzą mężczyzn. Jednak słuchając jej audiobooka, zrozumiał, że u podstaw tego ruchu leży „czyste szaleństwo".

*Joe Rogan wyznał, że po wysłuchaniu audiobooka Rachel Wilson dotarło do niego, że u podstaw feminizmu leży „czyste szaleństwo".*

Następnie przeszli do złotych przebojów antyfeminizmu, co – jak dowiedziała się Phyllis Schlafly – jest jedynym mile widzianym tematem wypowiedzi kobiet. „Nikt nie chce o tym mówić – poskarżyła się Roganowi Rachel Wilson. – To rozmowa, na jaką nikt nie jest gotowy. Dostęp kobiet do szkolnictwa wyższego jest na całym świecie korelatem numerem jeden – niezależnie od ekonomii, rasy, kultury, statusu, czegokolwiek – spadku współczynnika urodzeń".

W rzeczywistości obserwacja, że istnieje związek pomiędzy edukacją a współczynnikiem urodzeń, w kręgach politycznych byłaby uznana za skrajnie oklepaną: ONZ publikowała badania na ten temat już w latach 90. XX wieku. Jednak w manosferze każda informacja musi zostać podana jako wiedza zakazana. Kilka tygodni później podcasterka Katie Miller – żona Stephena, doradcy Trumpa w Białym Domu – z miną kogoś przełamującego tabu podkreślała dokładnie ten sam fakt w rozmowie z Laurą Ingraham z Fox News. Oznajmiła, że feminizm niszczy rodzinę, bowiem „wypycha kobiety do pracy". Jak zauważa pisarka Jill Filipovic: „była to rozmowa dwóch kobiet prowadzona w ich pracy".

Wyzwanie, jakie stanowi spadek liczby urodzeń, jest w rzeczywistości tak dobrze znane, że w wielu krajach zareagowano na nie wprowadzeniem polityki pronatalistycznej: Singapur oferuje 11 tysięcy dolarów singapurskich [równowartość ponad 30 tysięcy złotych – przyp. tłum.] „bonusu na dziecko", Węgry z kolei zwalniają matki trojga lub więcej dzieci z podatku dochodowego.




Na razie jednak żadna z tych zachęt nie poskutkowała. Tym, co faktycznie pozostaje w sferze tabu, jest kwestia, czy dostęp kobiet do edukacji i rynku pracy powinien zostać ograniczony w imię powołania na świat większej liczby dzieci i ratowania cywilizacji. Chciałabym, by osoby pokroju Rachel Wilson otwarcie wyraziły poparcie dla takich restrykcji, a wówczas mogłybyśmy odbyć porządną dyskusję na ten temat. Zamiast tego wdrażana jest klasyczna maskulinistyczna taktyka: balansowanie na krawędzi propozycji politycznych, które w sondażach wypadłyby równie dobrze, co pomysł przymusowego wszczepiania eboli, a następnie wycofywanie się w ostatniej chwili.

Joel Webbon, skrajnie prawicowy pastor z Austin, który zgromadził ogromną liczbę obserwujących w mediach społecznościowych, sprzeciwiając się feminizmowi i „mafii LGBT", gotów jest mówić otwarcie, że życzyłby sobie ograniczenia udziału kobiet w życiu publicznym. – Jest spora grupa ludzi – oczywiście nie podam ich nazwisk – ale znam wiele osób, i to rozpoznawalnych, które mają poglądy znacznie bardziej prawicowe, niż są gotowe przyznać publicznie – powiedział mi. Nie przeszkadza mu ich taktyka polegająca na kuszeniu umiarkowaną propozycją, by przemycić bardziej radykalne postulaty, ponieważ lewica stosuje ją od dziesięcioleci. Jego zdaniem niewielka grupa ludzi przekonywała, że „miłość to miłość", by dopuścić małżeństwa między osobami tej samej płci, „a tu wtem, proszę ja ciebie, «Drag queen poczyta dzieciom bajeczkę»". Maskuliniści jedynie obracają strategię lewicowców przeciw nim samym.

Podobnie jak Douglas Wilson Webbon regularnie przedstawiany jest jako kaznodzieja szerzący mowę nienawiści; mówił mi, że jego nabożeństwa w Austin przyciągają protestujących, którzy fotografują członków jego kongregacji. I podobnie jak w przypadku zarówno Wilsona, jak i Cornisha-Dale'a istnieje ogromna rozbieżność pomiędzy wojowniczym internetowym wcieleniem Webbona a człowiekiem, z którym rozmawiałam. W swoim podcaście wygłasza prowokacyjne tyrady o „fałszywym grzechu rasizmu", ale w rozmowie w cztery oczy był niezwykle uprzejmy, zwracał się do mnie „proszę pani" i słuchał, nie przerywając, gdy opowiadałam mu, że system, za jakim oręduje, bliższy jest męskiej kurateli nad kobietami obowiązującej w Arabii Saudyjskiej niż jakiejkolwiek tradycji chrześcijańskiej. Swoją obecność w internecie porównuje do działań „apostoła Pawła dyskutującego i wykładającego w szkole Tyrannosa", co stanowiło istotny okres ewangelizacji w początkach Kościoła. Kiedy zerknęłam później na jego kanał w serwisie X, rozprawiał o „żydowskich sodomitach" i podawał dalej posty z konta o nazwie @IfindRetards [mającego na celu obraźliwe wytykanie innym „głupoty" – przyp. tłum.].

Dzisiejszą Phyllis Schlafly jest pisarka Helen Andrews, z którą jestem czasem mylona przez liberałów nieogarniających, że może istnieć więcej niż jedna Helen. W swoim wiralowym eseju z 2025 roku dla magazynu „Compact", zatytułowanym *The Great Feminization* (*Wielka feminizacja*), pytała, czy większy udział kobiet w sile roboczej stanowi „zagrożenie dla cywilizacji". (Serio, kobiety potrafią być t a k i e nerwowe). Nawiązywała w nim do istotnej na prawicy tezy znanej jako długi dom. Głosi ona, że nowoczesne, sfeminizowane społeczeństwo przypomina charakterystyczne dla społeczności przednowoczesnych wspólne hale mieszkalne, zdominowane przez liderki rządzące za pomocą biernej agresji, obrażania się i ostracyzmu wobec wrogów – czyli klasycznie kobiecych sposobów postępowania. Najsłynniejsze ujęcie tezy długiego domu sformułował w religijnym magazynie „First Things" autor podpisujący się pseudonimem Lom3z. Odmówił podania jakichkolwiek konkretnych przykładów, dodając, że i tak nie sposób zdefiniować długiego domu, bowiem „jego definicja musi pozostać elastyczna, w przeciwnym wypadku

straciłaby moc wykpiwania szerokiej konstelacji sił społecznych, które piętnuje". Ależ to wygodne! Zamiast tego długi dom miał stanowić „metonimię braku równowagi trawiącego współczesne imaginarium społeczne". A teraz was zaszokuję: koniec końców ujawniono, że Lom3z jest naukowcem, humanistą.

Andrews pogłębiła tę tezę, argumentując, że „wszystko, co uważasz za «woke», stanowi po prostu epifenomen demograficznej feminizacji". Tłumacząc to na ludzki język, założenie jest takie, że kobiety nie rozwiązują konfliktów niczym bohaterowie filmów Guya Ritchiego – za pomocą rękoczynów przed palarnią, by dwie godziny później nie mieć do siebie krztyny żalu. Zamiast tego – pisze moja imienniczka – „przeciwników ukradkiem podkopują lub poddają ostracyzmowi". Zatem „każdy przejaw kultury unieważniania, tak zwane cancelowanie, jest kobiecy". Po raz kolejny szybkie zerknięcie do książek historycznych rodzi kilka wątpliwości: nóż w plecy w rzymskim senacie był zarówno dosłowny, jak i figuratywny, Watykan zaś zawsze stanowił gniazdo kardynalskich intryg. A kto po zabójstwie Charliego Kirka naciskał na stację ABC, by zdjęła z anteny Jimmy'ego Kimmela? Brendan Carr, przewodniczący trumpowskiej Federalnej Komisji Łączności – i posiadacz chromosomu Y.

—

W DALSZEJ CZĘŚCI ESEJU Andrews złożyła weryfikowalną propozycję: „Jeśli jakaś firma straci zawadiackiego ducha i stanie się sfeminizowaną, skupioną na sobie biurokracją, czyż nie zapanuje w niej stagnacja?". Tak się składa, że ekonomistka pracy Revana Sharfuddin przeprowadziła skomplikowane analizy danych z fabryk z czasów drugiej wojny światowej – jednego z najważniejszych okresów „feminizacji demograficznej" w historii Ameryki – i nie znalazła żadnych dowodów, by paraliżowała je kultura unieważniania czy drobiazgowe procedury korporacyjne. Kiedy zapytałam o to Andrews, zwróciła uwagę, że w wojennych fabrykach samochodowych i elektrycznych wciąż co do zasady obowiązywał podział prac ze względu na płeć, a nawet gdyby było inaczej, to niektórzy kierownicy zatrudniali doradców do pomocy w zarządzaniu nową siłą roboczą. „Jeśli ma to jakieś znaczenie, kontrargumentem, który przemówił do mnie najbardziej, był przykład komunizmu – odpisała w mailu. – W bloku wschodnim kobiety były silnie reprezentowane w medycynie i nauce, a społeczeństwo nie upadło – czy też, no cóż, upadło, ale raczej nie z ich powodu".

W swoim eseju Andrews staje w obronie byłego rektora Harvardu Larry'ego Summersa, który w 2006 roku został zmuszony do dymisji, po tym gdy użył argumentu, że niedostateczna reprezentacja kobiet w naukach ścisłych to skutek ich wrodzonego braku zainteresowania tymi dziedzinami oraz niezdolności do pracy na najwyższym poziomie. Za sprawą akt Epsteina wiemy dziś, że była to łagodniejsza wersja jego prywatnego poglądu, który brzmiał, że kobiety mają niższy iloraz inteligencji niż mężczyźni. (Z ciekawości wyszperałam statystyki różnorodności z 2006 roku, w którym Summers zrezygnował ze stanowiska. Cztery piąte etatowych profesorów Harvardu stanowili mężczyźni). Z perspektywy czasu usunięcie Summersa nie wygląda na skutek feministycznej histerii; to raczej koledzy mogli widzieć w nim kłopotliwy balast i skorzystać z okazji do pozbycia się go.

*Wiele postaci z ruchu MAGA uważa udział kobiet w polityce za problem, bo głosują na niewłaściwych kandydatów i programy.*

Ku mojemu zaskoczeniu, kiedy podzieliłam się tą obserwacją z Andrews, częściowo się ze mną zgodziła. – Twierdzenie, że Larry Summers został zwolniony z powodu kontrowersji, przypomina mówienie, że Ameryka przystąpiła do drugiej wojny światowej z powodu Pearl Harbor – odparła. – To uproszczenie: wystarczająco dobre na jednozdaniową wypowiedź, ale zdecydowanie pomijające istotne czynniki. W naszej korespondencji ironizowała i umniejszała siebie, przepraszając za wszelkie kłopoty, jakich przysporzyło mi branie mnie za nią, „tę złą Helen". Pomyślałam, że ta wersja Andrews nie poniosłaby się wiralem w ten sam sposób jak ta ostrzegająca, że pracujące kobiety stanowią „zagrożenie dla cywilizacji".

Postępująca feminizacja stała się dla prawicy uniwersalnym wyjaśnieniem wielu niedawnych wydarzeń: to kobietom szkoda przegranych, to one skaczą wokół osób kreujących się na ofiary i bardziej przejmują się zranieniem czyichś uczuć niż prawdą – a wszystko to wykorzystują imigranci niemający uregulowanego statusu i brutalni kryminaliści. Zgodnie z tą analizą Renee Good, kobieta zastrzelona przez członka służb imigracyjnych w Minneapolis, zginęła, ponieważ wyznawała lewicowe wartości. „Jedna z AWFUL [dosłownie: okropny, a jednocześnie skrót od *Affluent White Female Urban Liberal* – zamożna biała liberałka mieszkająca w mieście – przyp. tłum.] nie żyje, bo jechała samochodem w stronę agenta Służb Imigracyjnych i Celnych ICE, a ten otworzył do niej ogień" – napisał w poście tuż po tym zdarzeniu prawicowy ekspert Erick Erickson. Kobiety są infantylne, naiwne, niedojrzałe; zwyczajnie nie rozumieją prawdziwego świata.

Wiele postaci z ruchu MAGA uznaje nadmiar kobiecej empatii za kwestię polityczną. Pierwszy odcinek podcastu Douglasa Wilsona *Man Rampant* nosił tytuł *Grzech empatii*. Kanadyjski profesor marketingu Gad Saad regularnie potępia w swoich postach „samobójczą empatię" (z przerwami na uskarżanie się, że kobiety „nie noszą już żadnych prawdziwych ubrań, tylko cały czas chodzą w dresach").

Ta pogarda wobec empatii często prowadzi do wniosku, że udział kobiet w polityce stanowi problem,

ponieważ będą one z uporem maniaka głosować na niewłaściwych kandydatów i programy. „Lata 20. XX wieku stanowiły ostatnią dekadę w amerykańskiej historii, kiedy to można było żywić autentyczny optymizm co do polityki – pisał w 2009 roku Peter Thiel, jeden z pierwszych zwolenników Trumpa w Dolinie Krzemowej, w eseju dla czasopisma wydawanego przez Cato Institute. – Od 1920 roku ogromny wzrost liczby beneficjentów zasiłków i przyznanie prawa głosu kobietom – co daje dwie grupy wyborcze słynące z oporu wobec libertarian – sprawiły, że pojęcie «demokracji kapitalistycznej» stało się oksymoronem". Według tej optyki podział polityczny skorelowany z płcią – 55 procent mężczyzn, ale zaledwie 46 procent kobiet, głosowało na Trumpa w 2024 roku – nie jest jedynie odzwierciedleniem różnicy priorytetów, ale problemem do rozwiązania.

Podczas gdy ludzie pokroju Wilsona życzą sobie uchylenia 19. poprawki, konserwatyści głównego nurtu często reagują lekceważeniem na sugestię, jakoby ktoś naprawdę chciał odebrać kobietom prawa wyborcze, nazywając ją libkową histerią. W końcu zmiana konstytucji wymagałaby zgody trzech czwartych z 50 stanów. „Kwestia dziewiętnastki zaniepokoi mnie w dniu, w którym choćby jeden stan – wystarczy jeden z tych 38 – takie uchylenie przegłosuje" – napisała w marcu w swoim poście Inez Stepman, była pracownica naukowa Claremont Institute. Liberałowie „nie mają do niczego dystansu, czepiają się niewinnych żartów i przekomarzanek przy kieliszku, a potem nieuczciwie wykorzystują je, by odwracać uwagę od prawdziwej polityki i kulturalnej debaty publicznej". Osobiście byłabym bardziej przekonana do takiej argumentacji, gdybym w 2018 roku nie siedziała naprzeciwko konserwatywnego intelektualisty Jordana Petersona, słuchając, jak szydzi z mojej sugestii, że powołani przez Trumpa sędziowie obalą wyrok w sprawie Roe przeciwko Wade'owi. Albo gdyby administracja Trumpa nie poszła z kwestią obywatelstwa z urodzenia aż do Sądu Najwyższego. Albo gdyby Pete Hegseth nie zablokował wcześniej awansu grupy oficerek (i czarnoskórych oficerów) wojska i nie wyrażał często swojego sprzeciwu wobec służby kobiet w roli żołnierzy frontowych.

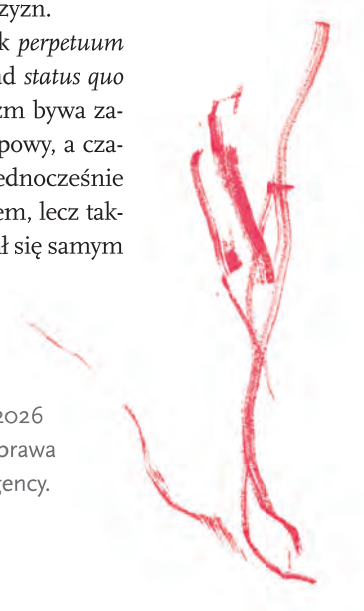
Maskulinizm, niczym podziwiane przez tak wielu liderów Cesarstwo Rzymskie, zbliża się teraz do etapu przekraczania granic imperium. Dla niektórych z jego najgorliwszych wyznawców wszystkie działania przedstawicieli lewicy, niezależnie od płci, są zniewieściałe i złe. Tymczasem jeśli Trump umieszcza na Truth Social wredny post, w którym narzeka na jakąś drobnostkę, jest to przejaw męskiego wigoru. Bujna czupryna Tuckera Carlsona? Mocne włosy – fryzura wręcz macho. Pocieszne upodobanie Bena Shapiro do teatru muzycznego? Prawdopodobnie w tonie najlepszych tradycji wikingów i Spartan. Ten upraszczający sposób postrzegania świata – co kobiece, to samo zło, co męskie, to czyste dobro – stanowi lustrzane odbicie najgorszych ekscesów tumblrowego feminizmu drugiej dekady XXI wieku, kiedy to introwertyczne nastolatki używały hasztagów w rodzaju #ZabićWszystkichFacetów i piły z kubków z napisem „męskie łzy".

W marcu aktywista ruchu anty-DEI, Christopher Rufo, był zmuszony odeprzeć atak anonimowych prawicowych użytkowników piszących, najwyraźniej serio, że biali mężczyźni to „niewątpliwie najbardziej uciśniona grupa w dziejach". Kiedy nazwał ten pogląd „świadczącym o uszkodzeniu mózgu" i powołał się na słabo znane amerykańskie zjawisko zwane niewolnictwem, posypały się na niego skargi. W moim odczuciu zdarzenie to dotyka samego sedna maskulinizmu ruchu MAGA. Które z jego obliczy jest tym prawdziwym – konserwatywni think tankerzy, starający się cofnąć prawa antydyskryminacyjne, czy też opera mydlana z udziałem influencerów skarżących się na „małocycate wiedźmy" i AWFUL-e, z rozkoszą użalających się nad sobą i szufladkujących wszystko, co im nie pasuje, jako babskie?

Jednak, oczywiście, rozsądni intelektualiści i oddziały szturmowe karmią się nawzajem. Czasem wręcz, jak w przypadku Wilsona, koegzystują w jednym ciele. To ruch mający konkretne cele polityczne: wycofanie rozwodów bez orzekania o winie, ulgi podatkowe dla mężczyzn żywicieli i gospodyń domowych. Oraz likwidację wszystkiego, co choćby ociera się o DEI, nawet programów liderskich dla kobiet w wojsku, takich jak ten usunięty przez Hegsetha. Powrót do kultury miejsca pracy rodem z lat 70. XX wieku, kiedy to molestowanie seksualne było na porządku dziennym. Otwarte faworyzowanie mężczyzn w procesach rekrutacyjnych, przy awansach i premiach – innymi słowy odwrotność dyskryminacji: akcje afirmacyjne wobec mężczyzn.

Jednak maskulinizm działa również jak *perpetuum mobile* żalów, pełne udręki zawodzenie nad *status quo* – jakikolwiek by aktualnie był. Maskulinizm bywa zarazem poważny, jak i durny, czasem campowy, a czasem przyprawiający o gęsią skórkę; jest jednocześnie nie tylko zwracającym uwagę performansem, lecz także szczerą propozycją. Nic dziwnego, że stał się samym sednem trumpizmu.

Artykuł ukazał się 14 maja 2026 roku w magazynie „The Atlantic" pod tytułem *The Men Who Want Women To Be Quiet*. © 2026 The Atlantic Monthly Group, Inc. Wszystkie prawa zastrzeżone, dystrybucja Tribune Content Agency.

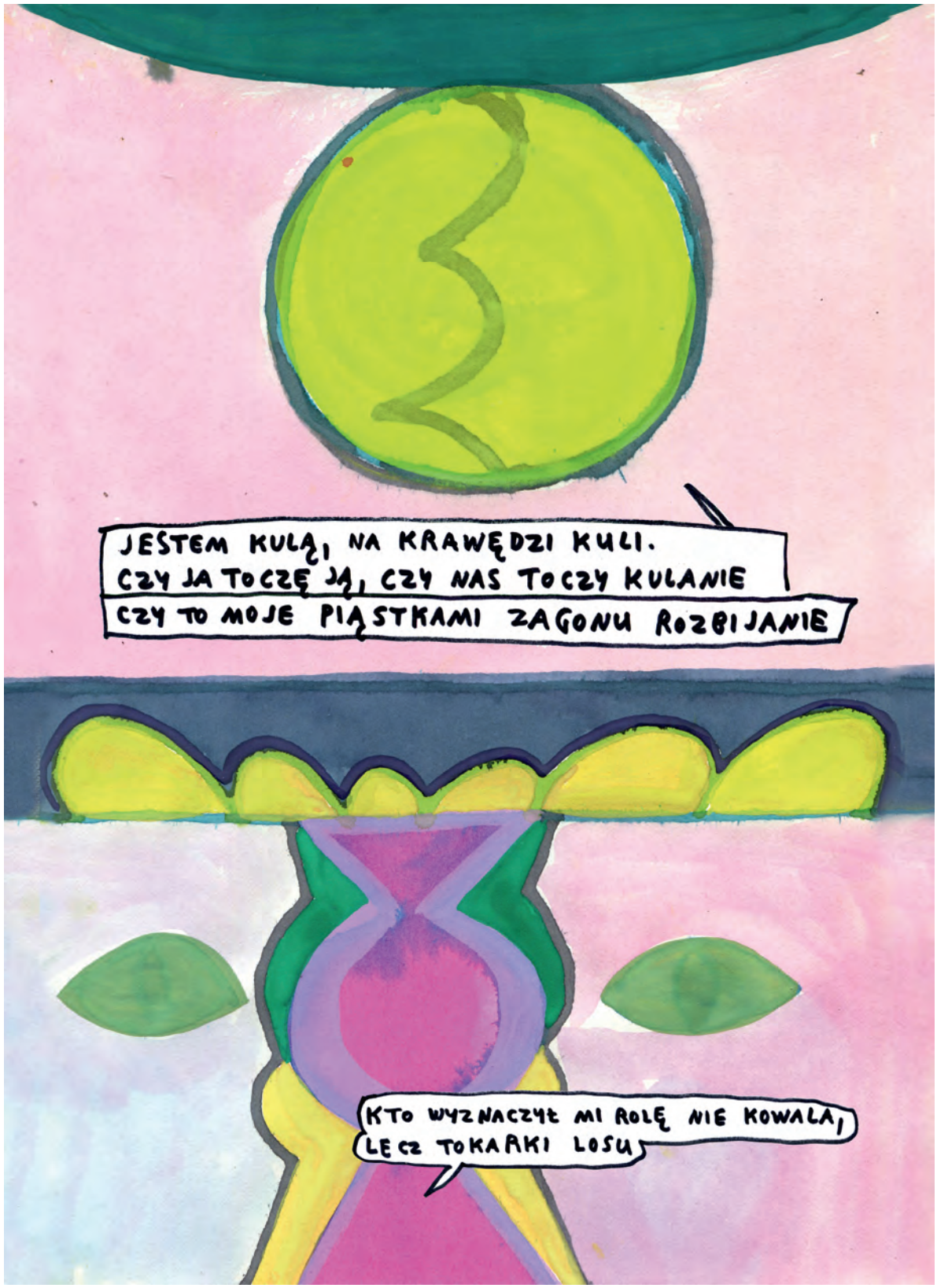


KOMIKS

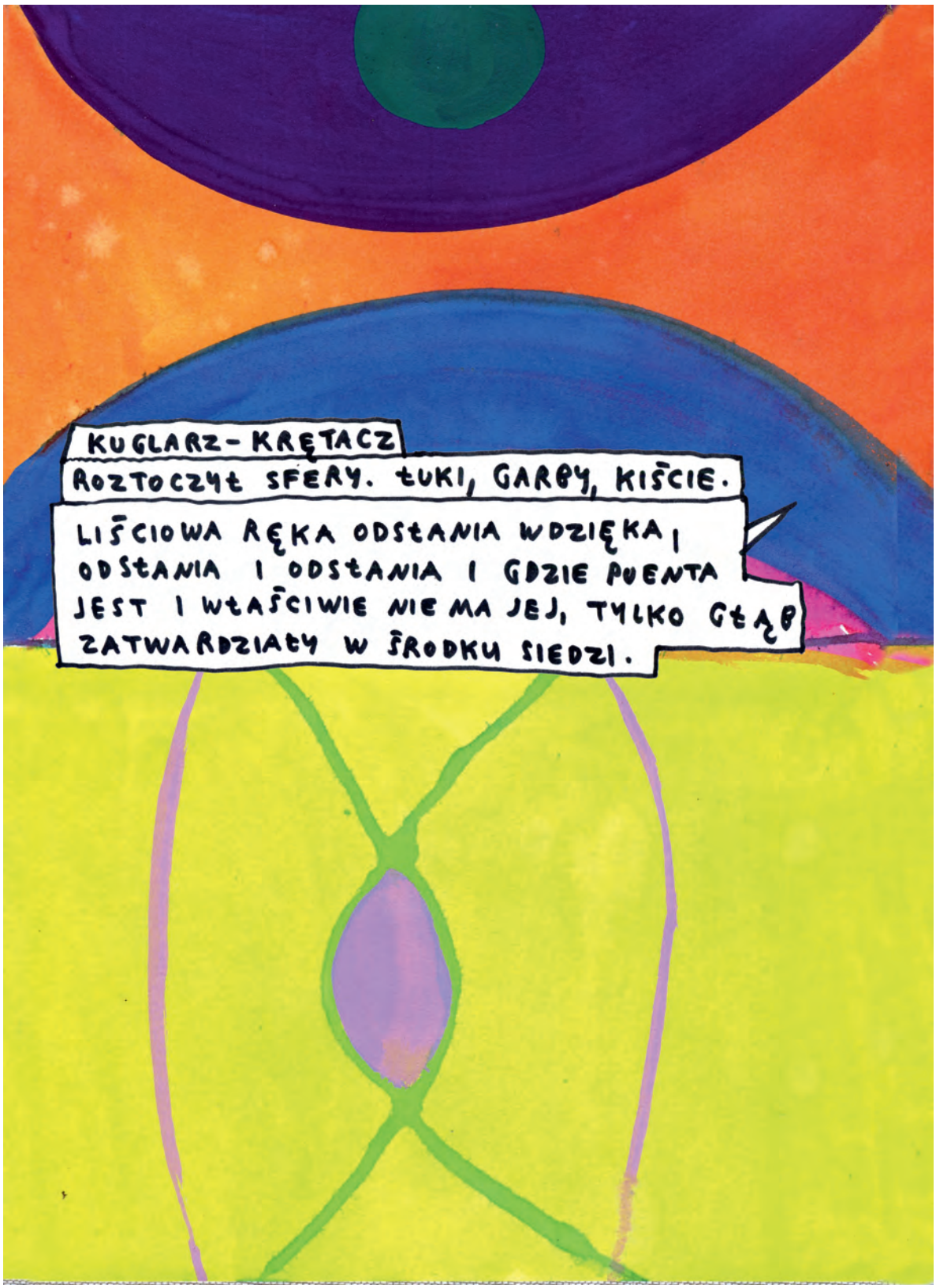
# Kamienna głowa wczesna

*tekst* AGNIESZKA PIKSA, BARBARA JANCZAK, WITOLD SZWEDKOWSKI
*rysunki* AGNIESZKA PIKSA




JESTEM KULĄ, NA KRAWĘDZI KULI.
CZY JA TOCZĘ JĄ, CZY NAS TOCZY KULANIE
CZY TO MOJE PIĄSTKAMI ZAGONU ROZBIJANIE
KTO WYZNACZYŁ MI ROLĘ NIE KOWALA,
LECZ TOKARKI LOSU

AGNIESZKA PIKSA, artystka sztuk wizualnych, rysowniczka, ilustratorka, robi notatki i diagramy. Absolwentka grafiki na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Autorka zinów i komiksów, m.in. *Its just the spin of inner life* i *Na planecie*, redaktorka publikacji: *Są pniaki, krzaki i ptaki*, *Stałe i niestałe*. Mieszka w Krakowie i w Borach Tucholskich.



BARBARA JANCZAK, projektantka i artystka multidyscyplinarna, pracująca na styku designu i sztuki. Absolwentka grafiki na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Dydaktyczka na uczelniach w Polsce i Chinach, aktualnie związana z Uniwersytetem UKEN w Krakowie.



WITOLD SZWEDKOWSKI, twórca interdyscyplinarny, poeta, ogrodnik. Absolwent Psychologii na Uniwersytecie Łódzkim, studiował architekturę krajobrazu na Politechnice Wrocławskiej, a w Wyższej Szkole Oficerskiej im. Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu inżynierię pola walk. Od 2005 roku prowadzi Miejską Partyzantkę Ogrodniczą.



PROZA POETYCKA

# Odcięcie

KRZYSZTOF SIWCZYK

—

Połowiczne odcięcie z pchełkami w uszach, bo jednak dochodzą z zewnątrz trele udających się na spoczynek ptaków, którym sprzyja cicha susza najwidoczniej. Drobią zajadle w szarym kącie za cisem. Kopią uparcie w skorupie gliny, dziobią w osnówkach, ale nie posuwają się dalej, gardzą owocem, rozpoznają trutkę. Na słuchawkach Poison Idea, wymiot w ustach. W ekranie platformy retrospektywny kolega, pełna mimikra w granicznego brynola, zwraca asfalt ze spierzchniętych warg, gra siebie w amoku i zalotnie się uśmiecha do widza, którym się aktualnie jest. Wyszedł na prostą, zrobił swoją sztukę, nie spożywa cukru. Jest kogo podziwiać. Nie dawano mu przyszłości, tymczasem odbył ją jakby na przekór samemu sobie. Widzieć go w powidoku windy, którą jeździło się tylko bardziej w dół, do kiosku z ćmagą dzieloną na małpki, by później błąkać się po stolicy imperium. Opowiadać córce nie ma czego, ale nagle pyta, kto zacz. To towarzysz chwilowych zapomnień, brat łata niepamięci, integralny aktor wiedzący wszystko o swoim aktorstwie, tej szemranej transakcji między ja i "ja", pedagog zmącenia, podający pomocną dłoń widzom własnego delirium. Nie miało się wielu podobnych okazji do podglądania przy pracy analogicznego instynktu zrozumienia dla granych postaci. Stara szkoła. Nie to co teraz, same profesjonalne opakowania na charaktery. Drugi plan delikatności wszedł na scenę z pretensjami do starej szkoły zatracenia. No nic. Tyle z kina na dziś. Wyłączyć platformę, gotować się do spoczynku. Kanapka z dżemem, kanapka z szynką i trzy parówki. Iron Maiden. Żelazny zestaw dla głodomora i przedłużyć tablet, żeby był spokój konsumpcji. W pchełkach skakać po kawałkach, szukać tylko tych kiczów z dzieciństwa, kiedy pokój przypominał kapliczkę na demony, rosła w nim Góra Czaszki, wszystko, co grało pochodziło z piekła zawsze późnego kapitalizmu, o którym opowiadali szmuglerzy złota i krawcowe, umysłowi na kontraktach i przyszywany wujek, pilot. Aces high. Po drugiej stronie kurtyny powstawały tylko kapliczki, w których dziergało się chryzmaty na katanach, ćwiekowało pieszczochy, kolekcjonowało kastety. Teraz leżą na metry w sieciówkach, cała klasa na zdjęciu z wycieczki jest przebrana za przeszłość, wisi w antryju jej formacja pokoleniowa. Ale jak puścić płytę, od razu się nudzi, nie widzi w tym emocji. Każdy na pchełkach słucha swojej nostalgii. Najniższy, wspólny mianownik: brak. Diabeł dalej tkwi w szczegółach pokoju, pod plastrem na rastrze, w woni puszek po piwie, w szpulkach taśm nawijanych ołówkiem, po wciągnięciu przez jamnika. Tkwi po nic, wypłowiały jak katana z przemytu, "rajfle" schodzone w kroku, opakowania po dojrzewającym chłopcu z demobilu, który spuszczał się co noc w kołdrę ze strachu, że porwie go w zaświaty, zanim zdąży cokolwiek zdziałać w komunie fanów przyjemnej w sumie żenady. Jak Szninkiel strapiony na kamieniu, szukał po blokach swojej Volgi do magii. Tak by to można ująć, gdyby było z jakiej czerpać czary. Było nie było rządził zły w pokoju.

KRZYSZTOF SIWCZYK

poeta, eseista. Mieszka w Gliwicach. Fragment pochodzi z przygotowywanej książki *Spis istotnych praktyk*.




Ewa Kuryluk, *Ikowie to my*, 1975, farba akrylowa i kolaż na płótnie. Dzięki uprzejmości artystki i Muzeum Narodowego w Warszawie. *Fot.* PiOTR LIGIER

# Ikowie to my

EWA KURYLUK

farba akrylowa i kolaż na płótnie, 1975

Dzięki uprzejmości artystki i Muzeum Narodowego w Warszawie

ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA, historyczka sztuki, kuratorka. Autorka audycji *Sztuka mniej obca* o sztuce zagranicznej w Programie 2 Polskiego Radia oraz audioserialu *Wszystko już było*, wyróżnionego w konkursie Podcast Roku 2025. Kuratorka takich wystaw jak *Po co wojny są na świecie. Sztuka współczesnych outsiderów* (MSN) i *Nie jestem już psem* (Muzeum Śląskie w Katowicach).

„Pozbawieni miłości", „nieprzyjaźni, nieżyczliwi, niegościnni i ogólnie tak podli, jak tylko podli mogą być ludzie", „używanie wobec nich słowa «zezwierzęcenie» jest obrazą dla zwierząt", „najbardziej egoistyczni ludzie na świecie" – w ten sposób Colin Turnbull w 1972 roku, w głośnej książce *Ikowie, ludzie gór*, zaanonsował światu istnienie Ików, niewielkiej grupy etnicznej żyjącej w górach na pograniczu Ugandy, Kenii i Sudanu Południowego. Brytyjczyk był wówczas jednym z najpoczytniejszych antropologów, co zawdzięczał sukcesowi książki *Leśni ludzie*. W tej publikacji w zdecydowanie odmiennych barwach odmalował harmonijne życie społeczności Mbuti należącej do ludu Pigmejów i zamieszkującej lasy równikowe w Demokratycznej Republice Konga. Ukazując ich wioski jako pełne miłości raje na ziemi, nieskażone zachodnią cywilizacją, idealnie wstrzelił się w klimat hipisowskich lat 60. Z kolei Ikami badacz zajął się pod koniec dekady, w czasie intensywnych zmian związanych z dekolonizacją kontynentu. Społeczność Ików dotknęła wtedy klęska głodu spowodowana z jednej strony decyzjami politycznymi (wysiedleniem przez brytyjskie, a następnie niepodległe ugandyjskie władze z terenów przeznaczonych pod Park Narodowy Kidepo), a z drugiej suszą. Turnbull opisywał egoistyczne, nastawione na przetrwanie zachowania, takie jak kradzież jedzenia czy niechęć do dzielenia się zasobami nawet z własnym potomstwem i starszymi rodzicami. Przyznawał, że są one wynikiem zaistniałej sytuacji, uważał jednak, że kultura Ików znalazła się w stanie takiego rozkładu, że jedynym rozwiązaniem – co sugerował władzom Ugandy – byłoby... jej zniszczenie przez dalszą relokację i rozbicie społeczności.

Podobnie jak wcześniejsza książka, wskrzeszająca topos „szlachetnego dzikusa", rozprawa o Ikach zdobyła duży międzynarodowy rozgłos – na „badania" Turnbulla powoływał się chociażby biolog Richard Dawkins w słynnym *Samolubnym genie* (fragment ten usunął z późniejszych wydań). Stała się ona także podstawą sztuki teatralnej *Ikowie*, wystawionej przez legendarnego awangardowego reżysera Petera Brooka najpierw w Paryżu, a następnie w Londynie z Royal Shakespeare Company. Przedstawienie podróżowało, między innymi do wiedeńskiego Schlachthofu [postindustrialnego centrum kulturalnego w budynku dawnej rzeźni – przyp. red.], gdzie zobaczyła je polska artystka, historyczka sztuki i pisarka Ewa Kuryluk. Poruszyła ją z jednej strony sama tragedia Ików – ofiar politycznych machinacji w ekosystemie, którego byli częścią – z drugiej zaś w ich losie widziała, podobnie zresztą jak Turnbull i Brook, bardziej uniwersalne przesłanie dotyczące natury ludzkiej i ostrzeżenie dla cywilizacji Zachodu.

Obraz *Ikowie to my* jest przykładem jej malarstwa z okresu, który sama określiła jako „fotorealizm symboliczny i subwersywny". Tylko pozornie Kuryluk odchodzi tu od dominującego wówczas w jej twórczości autoportretu. Ciała postaci powstały na podstawie zdjęć, do których pozowała ze swoim partnerem. Ich twarze zastąpiły wizerunki Nubów, przedstawicieli ludu żyjącego na południu Sudanu. Zdjęcia te wykonała w latach 70. Leni Riefenstahl, niesławna nazistowska reżyserka i fotografka. Za ich sprawą udało jej się wrócić na stare lata na międzynarodowe artystyczne salony. „Musimy uporać się z tragedią Ików – pisała Kuryluk. – Samowolnie ingerując w przyrodę, ktoś podpisał na nich wyrok śmierci. I podpisać go może w każdej chwili na każdego z nas (...) gdyż Ikowie – to my". Choć tragiczną historię własnej matki, Żydówki ocalałej z Holokaustu, Kuryluk poznała dopiero po jej śmierci wiele lat później, to już wtedy długi cień zagłady był obecny w dziełach artystki. Na obrazie problematyczne wizerunki, w które wpisana jest wielowarstwowa historia przemocy (nazistowskiej, kolonialnej etc.), łączy z symbolami konsumpcjonizmu: butelką whisky, papierosami Camel, radioodbiornikiem. Czy zatem skrajny indywidualizm, zanik więzi społecznych i egoizm wobec innych kultur nie są czasem tym, co obserwujemy w zachodnich społeczeństwach dobrobytu?

W latach 80. językoznawca Bernd Heine postanowił przeprowadzić szczegółowe badania społeczności Ików i zweryfikować tezy Turnbulla, którego książka od początku była krytykowana za metodologiczne braki i kontrowersyjne tezy. Niemiecki badacz zadał jej ostateczny cios, pokazując, jak mało Brytyjczyk wiedział w istocie o ludziach, z których uczynił uniwersalny symbol mrocznej strony ludzkiej natury. Jeden z lokalnych rozmówców lingwisty pytał go nawet o możliwość wytoczenia antropologowi procesu o zniesławienie. Jak stwierdzał Heine: „Istnieją pewne przesłanki wskazujące, że to, co [Turnbull] przedstawia jako typowe zachowania ludu Ik, jest w rzeczywistości raczej odzwierciedleniem jego własnej mentalności".

„Książkę tę – napisał autor antropologicznych bestsellerów – poświęcam plemieniu Ików, do których nauczyłem się nie żywić nienawiści".

MSN MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ W WARSZAWIE

Prace Ewy Kuryluk można zobaczyć w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie na wystawie *Drogi Czarnych wkraczają w Biały Ląd* (kuratorka Oliwia Bosomtwe) do 10 stycznia 2027 roku.

Więcej na **magazynpismo.pl/w-ramach-pisma**

# Kto się śmieje z Paula Coelho?

*tekst* OLGA DRENDA

DLACZEGO MY, polscy milenialsi, w liceum zaczytywaliśmy się w *Alchemiku*, traktując go jak przewodnik duchowy, cytując w wypracowaniach i w statusach na Gadu-Gadu, by chwilę później zrobić z jego autora głównego bohatera złośliwych memów?

Toniemy nie dlatego, że się zanurzamy, lecz dlatego, że pozostajemy pod wodą"; „Bywa, że pierwszej miłości nigdy się nie zapomina, ale ona zawsze się kończy", a także „Jeżeli nie możesz zasnąć, to znaczy, że wcale tak nie chciało ci się spać" oraz „Jak jest źle, to jest źle. Potem może być i gorzej" (dwa z powyższych cytatów rzeczywiście pochodzą z powieści, dwa zaś to memy-apokryfy – zachęcam do zgadywania). O „banały jak u Paula Coelho" oskarżani byli: Ignacy Karpowicz (w recenzji *Miłości* autorstwa Kamili Czai); Małgorzata Lebda (w przekrojowym tekście Piotra Sadzika o pułapkach koniunktury we współczesnej prozie polskiej; autor proponuje tam quiz: kto to napisał – Lebda czy Coelho); Jakub Żulczyk (Zbigniew Jazienicki, przychylny wobec *Wzgórza psów*, obwinia pisanie w pośpiechu); Katarzyna Nosowska (Przemysław Zańko, autor recenzji jej książki, pisze te słowa nie bez przykrości i trochę wręcz przeprasza). Narazili się także: Popek w Królu Albanii uprawiający „filozofowanie godne Paula Coelho"; Maja Sablewska – „Coelho krajowej mody", a hipotetycznie i Stephen King (w wierszu Magdaleny Gałkowskiej *Miłość*, gdzie „nawet Stephen King w końcu/bredzi jak Coelho, a wiersze o miłości/brzmią jak oda do mielonki z promocji/w Lidlu").

Dla polskiego pisarza, rapera, tekściarki porównanie do tego konkretnego pisarza to potwarz i poważne naruszenie godności. Jest równoznaczne z zarzutem odpłynięcia w rejony pseudofilozofii i udającej głębię waty słownej, czy, co najgorsze, dziecinady – a tego publiczność może nie wybaczyć. Chyba że twórca sam uprzedzi potencjalny atak: „Wiem, że to brzmi jak z Coelha...".

Tak, nazwisko brazylijskiego powieściopisarza, bardzo popularnego na całym świecie zwłaszcza na przełomie mileniów, jest u nas do dziś synonimem pseudomądrości. Oznajmić to tonem odkrywcy to niemal jak popełnić kolejny „coelhizm" (znamienne, jak silnie zadomowił się w polszczyźnie ten neologizm na określenie pozornie głębokiej maksymy). To nie będzie kolejny tekst poświęcony analizowaniu przyczyn, dla których Coelho był tak popularny właśnie u nas, pod tym względem Polska nie różniła się od Francji czy Stanów Zjednoczonych. Jednak intensywność fascynacji to jedno, czym innym jest natężenie śmieszkowania i skala wątpliwej sławy, za którą nie zawsze idzie szacunek.

W krajach portugalsko- i hiszpańskojęzycznych, gdzie Coelho czytany jest najdłużej, także z niego żartują (na jednym z memów oznajmia, że sprzeda Opla Corsę), ale to właśnie w Polsce autor *Alchemika* stał się pisarzem najbardziej zmemetyzowanym. Nie jakiś inny król list bestsellerów (Dan Brown? Remigiusz Mróz?), nie któreś z doskonale znanych dostawców pocieszeń (Beata Pawlikowska? Mateusz Grzesiak?), tylko właśnie on. Wyznawcy teorii, że Polska jest w rzeczywistości krajem




*rysunki* MIKITA RASOLKA

OLGA DRENDA, pisarka, eseistka, tłumaczka. Autorka książek: *Duchologia polska. Rzeczy i ludzie w latach transformacji*, *Wyroby. Pomysłowość wokół nas* oraz rozmów *Czyje jest nasze życie* (z Bartłomiejem Dobroczyńskim) i *Książka o miłości* (wspólnie z Małgorzatą Halber). Od 2013 roku prowadzi facebookową stronę Duchologia, a z Jackiem Paśnikiem podcast *Dziś*.

Ameryki Łacińskiej, który omyłkowo znalazł się na innym kontynencie, mogą poczuć satysfakcję: hipoteza po raz kolejny się sprawdza.

Ale kto i dlaczego śmieje się z Paula Coelho? Raczej nie literacki snob – wprawdzie lubi on wybrzydzać na bestsellerowych autorów i utożsamiać popularność z kiepską jakością, jednak w tym przypadku wyzwanie byłoby zbyt proste. Ulubionym zajęciem snoba jest wszak rozwiewanie (rzekomych) złudzeń i zrzucanie z piedestału, a na nim Coelho już dawno nie stoi. Poza tym snoby raczej jego książek nie czytają – tymczasem żarty i memy sugerują, że ich twórców i odbiorców łączy wspólnota oparta na biegłej znajomości wyśmiewanego stylu.

—

POLSKA PUBLICZNOŚĆ od lat ma skłonność do dostrzegania potencjału w twórcach, którzy niekiedy nawet w swoich rodzinnych stronach cieszą się co najwyżej umiarkowaną popularnością. W latach 70. radiowa Trójka puszczała spragnionym hard rocka fanom płyty walijskiej grupy Budgie, która – choć znacząco wpłynęła między innymi na brzmienie Metalliki czy Iron Maiden – nie zdobyła porównywalnej sławy. Poza Polską, gdzie uwielbiano ich nie mniej niż Deep Purple. Z całej fali syntezatorowych nowych romantyków Polacy najbardziej pokochali Sala Solo z Classix Nouveaux, a nie Duran Duran; podobnie było z licznymi zespołami grającymi rocka progresywnego, na przykład Porcupine Tree – w Anglii cenionym, lecz niszowym. Raz wybrani przez polską publiczność artyści cieszą się niebywałą stałością fanowskich uczuć: Gordon Haskell, niegdysiejszy muzyk zespołu King Crimson, czy francuskojęzyczny Kanadyjczyk Garou mogli liczyć tu na królewskie przyjęcie nawet wtedy, gdy ich popularność za granicą już gasła.

Podobnie rzecz ma się z pisarzami. Marek Raczkowski zwięźle ujął ten fenomen w swoim komiksie:

– *I am a very famous writer* – mówi postać w szarym swetrze.

– *I have never heard about you* – dziwi się rozmówca.

– *I am famous in Poland*.

Człowiek w szarym swetrze to najpewniej William Wharton, pisarz i malarz, który w Polsce znalazł niemal swój drugi (albo trzeci – po Francji) dom. Amerykanin był chętnie czytany w latach 80., przede wszystkim za sprawą *Ptaśka*, historii nietypowej przyjaźni między wycofanym, zakochanym w ptakach chłopcem a jego kolegą, lokalnym twardzielem. *Ptasiek* dotarł do finału Nagrody Pulitzera, rozgłos zyskała także jego filmowa adaptacja w reżyserii Alana Parkera, w której czas akcji przeniesiono z drugiej wojny światowej na okres wojny w Wietnamie. To uczyniło film znaczącym głosem w debacie o ciężarze tego konfliktu. W 1995 roku pisarz odwiedził Polskę na zaproszenie Domu Wydawniczego Rebis, które wydało już wówczas *Ptaśka*, *Tatę*, *Niezawinione śmierci* i *Spóźnionych kochanków*. Podobno był zszokowany entuzjazmem, z jakim przywitali go czytelnicy. Wielokrotnie powracał tu w nimbie idola, a niektóre jego powieści zostały opublikowane jedynie u nas.

Wharton przypadkowo odkrył przepis na oczarowanie polskiego czytelnika: solidna obyczajowa literatura środka, poświęcona często skomplikowanym relacjom rodzinnym, z mocnym komponentem osobistym i autoterapeutycznym, ale także z elementami osobliwości, niesamowitości. W 1997 roku w plebiscycie na ulubione książki czytelniczek „Filipinki", wówczas najpopularniejszego czasopisma dla ambitnych nastolatek, na 24 pozycje aż 7 zajmowały powieści amerykańskiego twórcy. Skojarzenie z literaturą młodzieżową stało się zresztą ulubioną bronią krytyków sceptycznych wobec bestsellerowej literatury: „Harlequinami dla bardziej wtajemniczonych studentek" nazwał książki Whartona poeta Dariusz Suska. (Dlaczego postanowił dokopać akurat studentkom, a nie studentom? Oto jest pytanie). Poczytność bywa czasami grzechem budzącym szczególną podejrzliwość krytyki, ale w przypadku Whartona chodziło chyba bardziej o coś innego: monopolizację uwagi czytelników kosztem literatury polskiej.

Nieco łatwiej miał Jonathan Carroll, któremu kredyt zaufania dał sam Stanisław Lem – z takim autorytetem trudno dyskutować. Poza tym Carroll jest autorem dowcipnym, a to pomaga ujść kary (z *Muzeum Psów*: „banany są jedynym demokratycznym pożywieniem: każde stworzenie wygląda śmiesznie, kiedy je banana"). W 1987 roku fragmenty *Krainy Chichów*, powieści gatunkowo bliskiej urban fantasy czy weird fiction, ukazały się w miesięczniku „Fantastyka", właśnie dzięki rekomendacji Lema. Szczyt szaleństwa na punkcie Carrolla przypadł jednak na 1994 rok, kiedy to w kilku różnych wydawnictwach ukazały się polskie przekłady *Muzeum Psów*, *Na pastwę aniołów*, *Śpiąc w płomieniu* i najsłynniejsza reedycja *Krainy Chichów* z wesołym bulterierem na okładce – wszak akcja powieści rozgrywa się w fikcyjnym mieście, gdzie niemal wszyscy mają te psy. „Autor od bulterierów", podobnie jak William Wharton, regularnie powracał do Polski na gwiazdorskie tournée, a część jego książek miała tutaj swoje światowe premiery. Jego przypadek potwierdził po raz kolejny, że polski czytelnik ma szczególnie czuły radar na realizm magiczny. Samego Carrolla również spotkała tu dość niezwykła przygoda – napisał dwa teksty dla Budki Suflera, *Breathing you* i *Dancing with ghosts* z jubileuszowego albumu *Jest* (2004).

—

PAULO COELHO to przypadek nieco odmienny: nie prorok niedoceniony we własnym kraju, a przeciwnie – pisarz

sławny na całym świecie. Mówimy w końcu o autorze najpopularniejszej w dziejach książki napisanej w języku portugalskim, który w sumie sprzedał na całym świecie 320 milionów egzemplarzy swoich powieści przetłumaczonych na 65 języków. To również autor znany z uporu i cierpliwości. Sukcesu nie osiągnął od razu. *Alchemika*, jego trzeciej powieści, z początku nikt nie zauważył, podobnie jak dwóch poprzednich. Udało się dopiero za drugim podejściem, po zmianie wydawcy. Cierpliwość się opłaciła, bo w 1988 roku na punkcie pisarza oszalała cała Brazylia, po przełożeniu utworów na hiszpański – cała Ameryka Południowa, a później – reszta świata.

Polski czytelnik, zanim udało się wreszcie rozpalić tę miłość, także przekonywał się powoli. Drzewo Babel (wydawnictwo mające wyłączność na przekłady Coelha) prezentowało od 1995 roku kolejne książki, lecz mimo zapewnień o sensacyjnej popularności autora za granicą, ich popularność pozostawała umiarkowana.

A sława Paula Coelho w świecie była już imponująca. Popatrzmy: na reporterskim zdjęciu Susan Biddle dla „The Washington Post", wykonanym w 1999 roku, Bill Clinton, ówczesny prezydent USA, w otoczeniu asystentów spieszy do obowiązków służbowych. Praca pracą, ale głowa państwa nie zapomina przy tym o strawie dla umysłu i ducha – idąc, podczytuje *Alchemika*. Do tego wyraz twarzy prezydenta sugeruje, że chciałby podzielić się z innymi jakąś znaczącą myślą, którą najwyraźniej w tej książce znalazł.

To było wyjątkowo skuteczne lokowanie produktu. Bill Clinton – jak przed nim Theodore Roosevelt, a po nim i George W. Bush, i Barack Obama – należał do tych prezydentów, którzy chętnie dzielili się rekomendacjami czytelniczymi. W jego przypadku rozrzut lektur był wyjątkowo demokratyczny – od Tomasza à Kempis po thrillery – więc właściwie każdy wyborca mógł znaleźć coś dla siebie. Jednak to nie Clinton pierwszy odkrył *Alchemika*. Powieść ukazała się w przekładzie na angielski w roku 1993 i jej popularność rosła stopniowo, aż do prawdziwej eksplozji pod koniec dekady, gdy czytano ją już na całym świecie. Przed prezydentem USA książkę brazylijskiego autora poleciła Oprah Winfrey, której rekomendacje miały wówczas niezwykłą moc, zwłaszcza gdy chodziło o poradniki samopomocy i duchowości. Prezenterka z kolei podobno usłyszała o niej od Madonny, wkraczającej wówczas na najbardziej ezoteryczny etap swojej kariery (co słychać na albumie *Ray of Light*). Tak, drogą marketingu szeptanego – ale szeptanego wystarczająco głośno i przez wpływowe osoby – nieznany szerzej pisarz stał się autorem bestsellerowym na trudnych dla przekładów rynkach amerykańskim i francuskim.

Co przyczyniło się do tak pomyślnego zbiegu okoliczności? W dostatnich na Zachodzie latach 90. pokolenie, które marzyło o symbolicznym powrocie do porzuconych dla kariery hipisowskich ideałów, chłonęło wszystko, co mieściło się pod szerokim parasolem „nowej duchowości", przyczesanej i dostosowanej do wymagań ostrożnego i zamożnego klienta. Czyli oświecenie – tak, ale bez szaleństw i bez rezygnowania z dokonanych wyborów. Najlepiej, żeby poprawiało nastrój i pozwalało z satysfakcją konsumować owoce sukcesu. Ułatwiała to opowieść o „znalezieniu własnej legendy". To właśnie oferował *Alchemik*, baśniowa przypowieść o pasterzu, który wiedziony snem przemierza świat po to, by po licznych przygodach przekonać się, że wyśniony skarb czeka na niego w domu.

Od dawna uważam, że kto pragnie sukcesu, powinien poprosić o pomoc folklorystę. Dowodzi tej prawdy także *Alchemik*, który korzysta ze znanej zasady, że lubimy to, co już znamy. W tym przypadku swojskim skryptem okazał się wątek bajkowy numer 1645 w klasyfikacji Aarnego–Thompsona. To baza wiedzy folklorystycznej – indeks motywów fabularnych, postaci, rozwiązań występujących w bajkach, baśniach, mitach i legendach całego świata, pozwalający śledzić ich podobieństwa i wędrówki. *Słownik polskiej bajki ludowej* podpowiada, że chodzi o motyw „sen o skarbie na moście". Przejawia się on w baśniach i podaniach całego świata, między innymi w *Księdze tysiąca i jednej nocy*. Paulo Coelho prawdopodobnie poznał go jednak za sprawą słynnego autora opowieści niesamowitych Jorge Luisa Borgesa i jego *Historii o dwóch, którzy śnili*, zamieszczonej w zbiorze *Powszechna historia nikczemności*. Coelho wielokrotnie przyznawał się do fascynacji argentyńskim pisarzem i składał mu hołd powieściami *Zahir* i *Alef* (zatytułowanymi tak samo jak dwa opowiadania Borgesa).

Choć Coelho prawdopodobnie od początku poruszał się naturalnie na dobrze znanym w Ameryce Południowej obszarze realizmu magicznego, to jednak światowy sukces *Alchemik* zawdzięcza nieco innemu czynnikowi. W Stanach Zjednoczonych trafił na chłonną publiczność, oczekującą książki przypowieści, która zapewni strawę duchową, a jednocześnie da się zastosować w praktyce jako narzędzie autoterapii i samorozwoju. Można założyć, że Coelho sobie tego nie zaplanował, po prostu sprzyjało mu szczęście. Amerykańscy czytelnicy najwyraźniej potrzebowali nowego kieszonkowego objawienia, zwięzłej pozycji, do której będą sięgać po proste słowa pokrzepienia i obietnicę, że zmiana życia i siebie jest możliwa. Taka lektura ma w Stanach długie tradycje.

Nieco wcześniej dzieci kwiaty zaczytywały się w mądrościach Carlosa Castanedy, amerykańskiego antropologa, który – jak twierdził – pobierał nauki u szamana ludu Yaqui, dona Juana Matusa. Choć całość najprawdopodobniej została przez otaczającego się aurą tajemnicy

*Fanką Alchemika została Edyta Bartosiewicz, ceniła go – jeśli wierzyć stronie paulocoelho.pl – Agnieszka Osiecka. Inaczej było w przypadku eks hipiski Kory.*



Castanedę wymyślona, to jego książki mocno wpłynęły na wyobraźnię czytelników w epoce hipisowskiej, inspirował się nimi także George Lucas podczas pracy nad *Gwiezdnymi wojnami*. Do tego samego kanonu należał *Siddhartha* Hermanna Hessego. Jeszcze wcześniej podobnym bestsellerem stał się *Prorok* Khalila Gibrana, libańskiego poety tworzącego na początku XX wieku. Gibran był mistykiem, wierzył w jedność wszystkich wiar, co zbliżało go do bardzo znaczącego wówczas nurtu myśli teozoficznej. W *Proroku*, którego ton kojarzy się z przypowieścią biblijną, ale który więcej zawdzięcza fascynacji dorobkiem Friedricha Nietzschego i Williama Blake'a, zawarł 24 krótkie poematy prozą – odpowiedzi tytułowego proroka na pytania jego wyznawców o najważniejsze życiowe dylematy. Ta przystępna forma sprawiła, że cytaty z książki trafiały do popularnych antologii aforyzmów. Ich miłośnikami byli Elvis Presley i John Lennon – a także Paulo Coelho, który został redaktorem wydanej również po polsku antologii listów Gibrana. Castanedzie zresztą również zawdzięczał sporo – trudno nie zauważyć podobieństw, zaglądając do zbioru przypowiastek *Podręcznik wojownika światła*, w którym porady dla tytułowego wojownika wyraźnie pobrzmiewają *Naukami Don Juana*.

Kontrkulturowy klucz pojawia się tu nieprzypadkowo, bo sam Coelho faktycznie niegdyś hipisował. Pisał teksty piosenek dla słynnego brazylijskiego rockera Raula Seixasa, między innymi do skądinąd świetnego, psychodelicznego albumu *Krig-ha, Bandolo!* Połączyła ich fascynacja mistycyzmem i sztuką awangardową. Swoje ideały zamierzali wcielić w życie, zakładając Sociedade Alternativa – nieformalną społeczność ludzi wolnych, w której obowiązywałaby zasada osobistej suwerenności i dobrowolności. Organizacja ta pozostała na etapie luźnej sieci, choć rozważano założenie własnej komuny w Minas Gerais. Rozpowszechniane przez Coelha i Seixasa broszury wzbudziły podejrzenia ówczesnej władzy (w latach 70. XX wieku w Brazylii rządziła dyktatura wojskowa), co zakończyło się dla obu represjami. Coelho wracał do tych lat w autobiograficznej powieści *Hipis*, utrzymanej już w typowym dla niego tonie nieomylnego proroka, ale przypomnijmy, że potrafił także inaczej, i to nawet z poczuciem humoru:

*Hej, Alu Capone,*
*Weź, zacznij żyć inaczej,*
*Oni już, byku, widzą,*
*Żeś podatkowym krętaczem.*

*Hej, Alu Capone,*
*Już pomyśl o poprawie,*
*Chicago ledwo ciągnie,*
*Zaraz będzie po zabawie.*

*Hej, Juliuszu Cezarze,*
*Lepiej pozostań w domu,*
*W senacie już przejrzeli,*
*Co knujesz po kryjomu.*

*Hej, Lampião,*
*Daj nogę, weź, uciekaj,*
*Bo miejsce na twą głowę,*
*Już na wystawie czeka.*

(...)

*Hej, Jimi Hendriksie,*
*Rzuć scenę dziś, od razu,*
*Weź wzór z Franka Sinatry,*
*Kup auto i daj gazu.*

*Hej, Jezu Chryste,*
*Dla ciebie zaś najlepiej*
*Jest umrzeć w świętym spokoju,*
*Z dala od Boga Ojca w niebie.*

*Jestem astrologiem,*
*Jestem astrologiem,*
*Na słowo uwierzcie mi.*

*Jestem astrologiem,*
*Jestem astrologiem,*
*Znam dzieje od zarania po dziś.*

(przeł. Katarzyna Mojkowska)



—

POLSKI CZYTELNIK nie przekonał się do Paula Coelha od razu. Musiał po prostu ujrzeć go na własne oczy – podobnie jak to było w przypadku Whartona i Carrolla. W 1998 roku, przy okazji reedycji przekładu *Alchemika*, Coelho złożył w Warszawie przełomową wizytę, która zapewniła sprzedaż powieści w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy. Jak pisał Łukasz Gołębiewski: „w ciągu kilku miesięcy stał się autorem popularniejszym od Whartona i Carrolla", co musiało budzić respekt, gdyż z tą dwójką mało kto mógłby stawać do wyścigu (gwoli sprawiedliwości warto dodać, że obaj amerykańscy pisarze, choć także przedstawiciele nurtu lekkiego, byli od Brazylijczyka zdecydowanie ciekawsi pod względem różnorodności stylów, bohaterów, a także zaawansowania kompozycyjnego opowieści). Rok wcześniej przyjechał tu incognito, spragniony zasmakowania zwyczajnego życia; podobno poprosił wydawczynię Barbarę Stępień, by znalazła dla niego tymczasową pracę. Jeden z barów zatrudnił go przy zmywaniu naczyń. „Musiałem pozwolić mojej duszy pożeglować" – tłumaczył pisarz.

Trudno powiedzieć, skąd brał się wcześniejszy dystans polskich czytelników, bo przecież mieli już stosowną zaprawę. Literatura iberoamerykańska i kojarzony z nią realizm magiczny w czasach PRL-u umożliwiały podróże bez trudno dostępnego wówczas paszportu. Książki z serii Wydawnictwa Literackiego *Proza Iberoamerykańska*, z charakterystycznymi okładkami – w mocnych kolorach i z deseniami nawiązującymi do tradycyjnych wzorów Ameryki Południowej – należały do towarów poszukiwanych. Pisząc słowa do *Boskiego Buenos*, Kora inspirowała się powieścią Eduarda Gudiña Kieffera *Żeby cię lepiej zjeść*, a książki Julio Cortázara czy Borgesa wypadało nosić w kieszeni kurtki, jeśli się chciało zrobić wrażenie na otoczeniu.

Jednak PRL się skończył, a wraz z nim przeminęły ówczesne mody literackie, przynajmniej do pewnego stopnia. W nowej rzeczywistości ekonomicznej „towar spod lady" zastąpiła klęska urodzaju, a o uwagę czytelnika zaczęła z powodzeniem konkurować literatura gatunkowa – romans, fantastyka i sensacja. Potrzeby, które zapewniły książkom Paula Coelho taką poczytność na Zachodzie, zarysowywały się także i u nas – co prawda powoli. Na razie mały rynek samorozwoju podbijały przedsiębiorcze kobiety, takie jak nauczycielka pozytywnego myślenia Ewa Foley ze swoimi kasetami do relaksacji, i raczej sympatyczne czasopisma w rodzaju „Nieznanego Świata", na łamach których współistniały gnoza, UFO i zdrowe żywienie.

Literaturę przypowieściowo-samopomocową i strawną, uniwersalną wersję duchowości, owszem, publikowano, ale dla czytelnika nieco innego niż ten amerykański: trochę ekscentrycznego, odważnego, nieobawiającego się złowrogiego widma New Age, którym straszyła (nie tylko religijna) publicystyka prasowa i telewizyjna. Pod szeroki parasol New Age wkładano wszelkie nurty mozaikowej, luźno zdefiniowanej duchowości: zachodnie interpretacje buddyzmu, jogę, medytację, wiccanizm i tak zwaną białą magię, idee zapożyczane z jungizmu, nurt transpersonalny w psychologii, medycynę naturalną czy wywodzące się z ezoteryki początków XX wieku samorozwój i coaching.

W transformacyjnej Polsce głośno oponował przeciwko tym zjawiskom Kościół katolicki, dopatrując się w nich znamion sekt i kultów. Za to z prowadzonych na początku XXI wieku badań antropolożki Doroty Hall wynikało, że adresatkami takiej eklektycznej duchowości były przede wszystkim dorosłe, choć niekoniecznie zamożne kobiety, często płynnie łączące jej elementy z wytycznymi wiary chrześcijańskiej. Wspomniane wcześniej *Nauki Don Juana* Castanedy ukazały się w polskim przekładzie w 1991 roku, ale były czytane chyba głównie przez ówczesnych spóźnionych hipisów, którzy żyli niekomercyjnie i eksperymentowali z magicznymi grzybami polskich łąk. Spośród poczytnych w Polsce publikacji reprezentujących „duchowość środka" być może najbliższe *Alchemika* były książki Anthony'ego de Mello, na czele z *Modlitwą żaby* (w której jezuita z Mumbaju łączył myśl chrześcijańską z nurtami XX-wiecznej psychologii, a pisma europejskich mistyków zestawiał z hinduizmem i buddyzmem), czy *Tao Kubusia Puchatka* Benjamina Hoffa – niewielka książeczka, w której mieszkańcy Stumilowego Lasu w przystępny sposób zachęcają do studiowania nauk taoizmu. Przede wszystkim jednak *Świat Zofii* Josteina Gaardera – wciągające fabularne wprowadzenie do historii filozofii, w połowie lat 90. ukochane zwłaszcza przez nastolatków. Podobnie jak Coelho Gaarder dowodził, że to, co wydawało się trudne i niepojęte, może być zrozumiałe.

Z początku książki Coelha spotkały się z życzliwym odbiorem: oto prosta, lecz pouczająca baśń dla dorosłych, a kto nie lubi baśni. „Mimo że bohater na ogół wędruje pieszo, a kolejne epizody wcale nie zmieniają się w tempie błysków stroboskopu, powiastka Coelha nie nuży. Smakuje czasem jak wanilia, czasem jak owczy



fot. ALEKSANDRA RAJEK

**Dziel się treściami z „Pisma" jeszcze prościej.**

**Zachwycił Cię esej, wzruszyło opowiadanie, zainspirował reportaż? Nie zostawiaj ich tylko dla siebie, podziel się z bliskimi!**

**Więcej na magazynpismo.pl/podzielsie**

ser, zawsze jak fragment *Baśni tysiąca i jednej nocy*" – pisał Leszek Pułka we wrocławskim wydaniu „Wyborczej". Fanką *Alchemika* została Edyta Bartosiewicz, ceniła go także – jeśli wierzyć stronie paulocoelho.pl – Agnieszka Osiecka. Inaczej, co ciekawe, było w przypadku eks hipiski Kory („To są takie formułki, proste recepty, nie chcę tu zresztą robić przykrości panu Coelho. Zresztą on by się pewnie tym wcale nie przejął, bo kim ja jestem dla niego? Margines marginesu" – mówiła w wywiadzie dla Onetu).

Wdzięczną rolę polskiej Oprah przyjął na siebie Wojciech Eichelberger, psychoterapeuta bardzo chętnie wówczas zapraszany na łamy ekskluzywnych czasopism (choć z pewnością niedysponujący tak gwiazdorskim statusem jak legendarna gospodyni talk show). Opublikował on broszurkę *Alchemia „Alchemika"* doradzającą, jak skorzystać terapeutycznie z lektury tej powieści. Tak rozpoczęła się epoka „alchemii stosowanej", czyli czytania z pobudek praktycznych, a nie dla wartości estetycznych. Te ostatnie zresztą, w miarę wzrostu nakładów książek Coelha, coraz częściej podważano. „Dla melomana słuchanie takiej płyty to straszna nuda – w końcu jak długo można znosić skrzeczące morskie ssaki. Jednak ludzie żyjący w stresie i pośpiechu, którzy już nie mogą skupić umysłu na polifoniach i dominantach, potrzebują erzacu muzyki pozbawionej rytmu, melodii i harmonii, oferującej tylko przyjemne, nastrojowe dźwięki. Dla tych ludzi pisze Coelho" – wyjaśniał Wojciech Orliński po wydaniu *Weronika postanawia umrzeć*. Zgadzał się w takim odczytaniu z brazylijskim specjalistą od dorobku Paula Coelho, literaturoznawcą Máriem Maestrim. Cytowany przez „New Yorkera" naukowiec zaliczył pisarza do nurtu yuppie ezoteryki i uznał, że kluczem do powodzenia jego opowieści jest fakt, że potrafi on przedstawić wiedzę potoczną w sposób zapewniający dreszcz przygody i olśnienie dokonanym odkryciem. Czytelnik otrzymuje opowieść, którą już dobrze zna, utwierdza się w wiarach, które już wcześniej wyznawał, lecz każdą kolejną książkę zamyka z poczuciem objawienia.

Polska recepcja *Alchemika* i innych powieści Paula Coelho jeszcze sprzed powstania terminu „coelhizm" i zalewu memów zapewnia nam unikatowy wgląd w realia społeczeństwa, które dopiero uczy się konsumpcyjnego stylu życia, zarazem go pożąda i nie do końca poważa, więc szuka dróg zrozumienia i metod adaptacji. Oto przybywają książki z gatunku mistyki instant, na Zachodzie już oswojonego, lecz u nas stanowiącego nowość – i trzeba sobie jakoś z tym zjawiskiem poradzić. Błaha czy jednak głęboka? – głowili się komentujący, w tym znakomita filozofka Barbara Skarga, która fascynacji *Alchemikiem* nie podzielała, starała się jednak oddać czytelnikom nieco sprawiedliwości, zachęcona przez własną wnuczkę. „Powodzenie tych książek świadczy o tym, że ten konsumpcyjno-reklamiarski sposób życia przestaje wystarczać, że ludzie, zwłaszcza młodzi, zwracają się nieśmiało ku wartościom wyższym. Że szukają ich tam, gdzie nie należy, to już inna sprawa. Lecz czy mamy ich ganić za to, że nie dostrzegają, iż to tylko tych wartości namiastka?" – pytała. Skarga, poszukując prekursorów Coelha, wytoczyła ciężkie działa – przypomniała *Trędowatą* Heleny Mniszkówny. Co prawda dla tej sentymentalnej powieści czas okazał się raczej łaskawy i dziś czytamy ją jako niegroźny romansik retro, lecz dla pokolenia Skargi nosiła ona przeklęte znamię szmiry. Nic dziwnego, że doświadczonej filozofce *Alchemik* wydał się irytująco banalny. Ważniejsze jest jednak to, co pojawiło się w jej wypowiedzi przy okazji, czyli informacja o tym, kto tę niewielką książkę z tak wielkim nabożeństwem czytał – mianowicie wnuczka. Nie adresat typowy według Wojciecha Eichelbergera, czyli zaspokojeni jedynie pod względem materialnym beneficjenci transformacji poszukujący wskazówek na zakrętach życia, a zupełnie inna grupa – młodzież szkolna. Nie klasa, lecz raczej szkoła średnia.



*DEEPITY* – tak filozof Daniel Dennett określił aforyzmy, które uwodzą pozorną głębią, choć w najlepszym wypadku jest to głębia kałuży, a bywa, że wręcz brak im jakiegokolwiek sensu. To odpowiednik naszego „coelhizmu". W anglojęzycznym internecie niekwestionowanym królem pseudofilozoficznej głębi jest lekarz medycyny alternatywnej i propagator samorozwoju Deepak Chopra, słynący z generowania „kosmicznej sałatki słownej" (to on zalecał „leczenie kwantowe") i traktowany z dużą rezerwą, lecz zarazem cieszący się olbrzymią popularnością (choć jego korespondencja z Jeffreyem Epsteinem mogła tę popularność zmniejszyć). W Polsce jego poradniki dróg do obfitości i sukcesu były wprawdzie tłumaczone, lecz lądowały raczej na półkach obok wielu tytułów z kategorii „wiedza średnio tajemna". Internetowe generatory losowych wymyślonych cytatów z Chopry raczej by się u nas nie przyjęły.

Co innego Paulo Coelho, którego *Alchemik* trafił na listę lektur uzupełniających. Kto wie, być może jednym z kluczy do zrozumienia popularności tej książki w Polsce była jej potencjalna przydatność na (starej) maturze, gdzie regularnie jako temat wypracowania powracał „Motyw wędrówki w literaturze na wybranych przykładach"? Zapewne to właśnie otworzyło autorowi drogę do memosfery. Ci, którzy czytali Coelha na lekcjach polskiego, być może widywali cytaty z jego książek w gazetce na szkolnym korytarzu, powoływali się na niego w wypracowaniach, musieli poznać jego dorobek na tyle dobrze, by móc później przetworzyć go na memy. U początków XXI wieku na pierwszym oryginalnym polskim serwisie społecznościowym grono.net działała popularna grupa

„Nienawidzę Paulo Coelho", której użytkownicy prześcigali się w tworzeniu fikcyjnych cytatów. Zazwyczaj były to mądrości „Kapitana Oczywistość" w rodzaju „woda jest mokra", na zmianę z humorem w stylu juwenaliów.

Prawdopodobnie to tam po raz pierwszy przypisano Brazylijczykowi słowa: „Tanie wino jest dobre, bo jest dobre i tanie". Później trafiły one na najbardziej znaną templatkę z czarno-białym portretem Coelha: miękko wyłaniający się z cienia pisarz stoi ze zdecydowanie założonymi rękami i spojrzeniem, w którym kryje się obietnica gwarantowanej mądrości. Humor z tej samej fali, co „Głupie teksty pisane Helveticą na artystycznych zdjęciach" w popularnym serwisie JoeMonster. Banalne hasła samorozwojowe z upodobaniem sprowadzano tam do absurdu („Czasami jedno spojrzenie wystarczy, by odróżnić cegłę od kury…"). Książki Paula Coelho wciąż chętnie czytano, w sumie od 1995 roku w Polsce sprzedała się ich imponująca liczba ponad 5 milionów egzemplarzy – jednak ich autora nie traktowano do końca poważnie.

W 2022 roku Coelho poważnie zawiódł już i tak nadwyrężone zaufanie polskiego czytelnika. Do tej pory bycie fanem jego książek należało co najwyżej do wstydliwych przyjemności. Gdy jednak na samym początku rosyjskiej agresji na Ukrainę pisarz wyraził troskę o dobrostan napastnika, a nie napadniętego, jego słowa wzbudziły – nie tylko w Polsce – zrozumiałe oburzenie. (Choć może nie powinny aż tak dziwić, zważywszy, że Rosja i Brazylia należą do międzyrządowego bloku BRICS [akronim utworzony od pierwszych liter nazw państw założycielskich: Brazylii, Rosji, Indii, Chin i Republiki Południowej Afryki (South Africa) – przyp. red.] skupiającego państwa sprzyjające sobie wzajemnie w tworzeniu politycznej i ekonomicznej alternatywy dla Zachodu, Związek Radziecki zaś – w przeciwieństwie do USA – w wielu krajach Ameryki Południowej cieszył się statusem państwa przyjaznego). Władimir Putin już na początku lat 2000. ujawnił się jako jeden z wielu wielbicieli *Alchemika* i podczas wizyty Paula Coelho w Rosji osobiście gratulował mu kąpieli w zimnym Bajkale. Najwyraźniej niestety także i on poszukiwał „własnej legendy".

—

W PODCAŚCIE *Literatura ze środka Europy* Wojciech Szot podzielił się refleksją zachęcającą, by może nieco inaczej spojrzeć na książki Coelha: mianowicie jako na *gateway drug*, czyli substancję, której zażywanie prowadzi do sięgnięcia po kolejne, mocniejsze. W tym przypadku chodzi o uzależnienie zdrowe, bo od literatury. W oczach początkującego czytelnika – jak wyjaśniał polski popularyzator literatury – pisanie Coelha jawiło się jako „ładne i zrozumiałe", dając nadzieję, że każdy ma szansę zrozumieć więcej ze świata. Trochę tak jak wcześniej *Świat Zofii*.

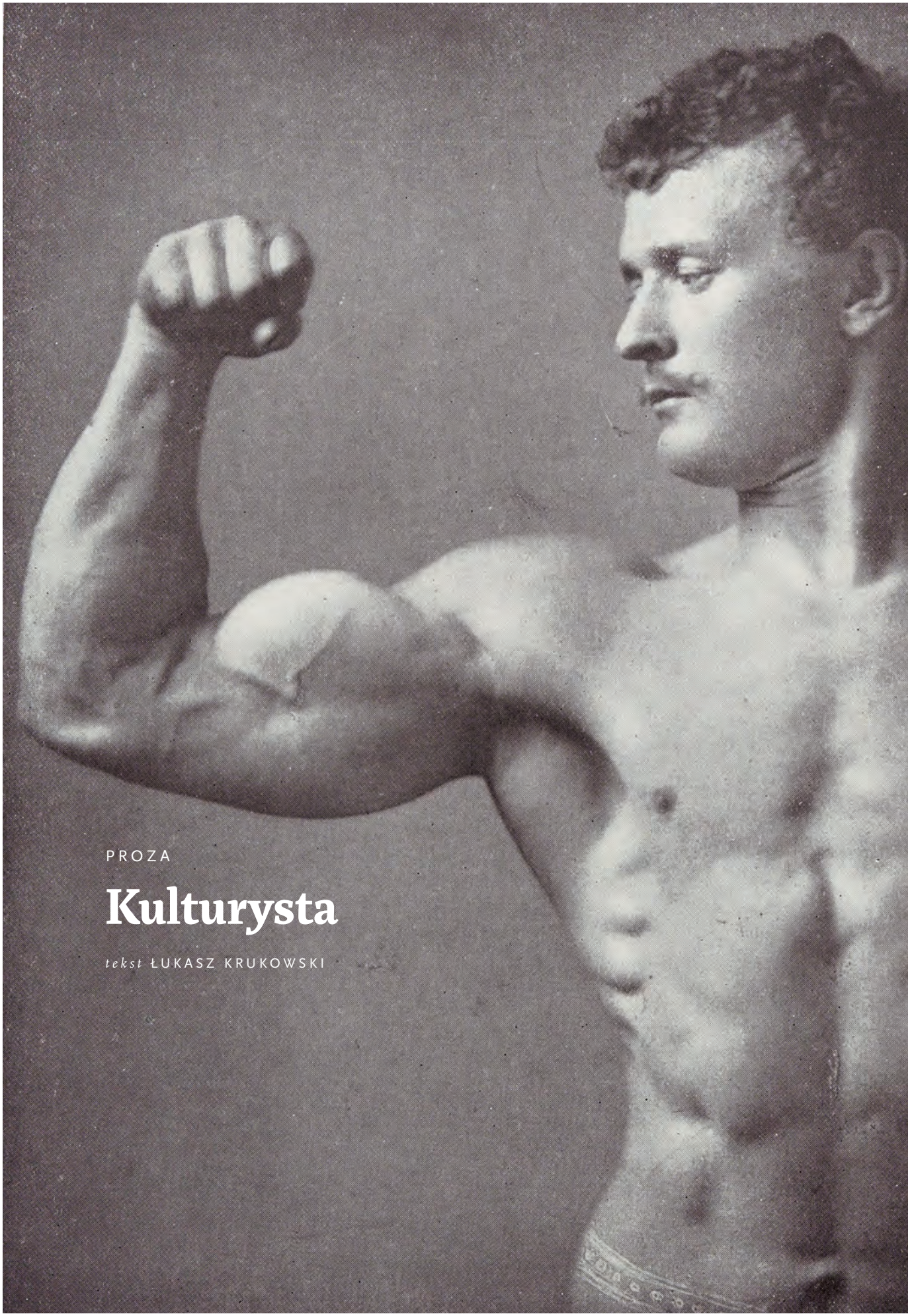
Recepcja Paula Coelho zmienia się zatem w zależności od tego, z kogo przede wszystkim składa się najliczniejsze grono jego czytelników. W Stanach Zjednoczonych, gdy wydano *Alchemika*, pisarz stał się z jednej strony idolem celebrytów i ludzi biznesu, osób, które marzyły, że kiedyś pójdą w ślady Oprah czy Madonny, ale jednocześnie miłośników prozy poetyckiej. Dziwiło to kolumbijską autorkę i redaktorkę Danielę Serrano, która na łamach magazynu „Electric Literature" opisała sytuację podczas międzynarodowych warsztatów dla wydawców, kiedy to jako jedyna na nazwisko Coelho zareagowała niczym polski bywalec Demotywatorów – przygotowując się na śmieszkowanie. Tymczasem przybysze z krajów anglojęzycznych zupełnie nie rozumieli, co ją tak bawi, i podchodzili do Brazylijczyka z pełną powagą. Serrano wyjaśniała, że w jej rodzinnych stronach Coelho to pisarz „dla babć i cioć", kojarzący się z przyjemnie brzmiącymi cytatami na tle ładnych krajobrazów. W księgarniach ustawia się jego książki na półkach z literaturą samopomocową. Ze zdumieniem odkryła, że w USA to 20-latkowie kupują (a czasem kradną!) *Alchemika* razem z *W drodze* Jacka Kerouaca.

A w Polsce? „W przypadku Coelha o fascynacji jego twórczością decyduje aura tajemniczości i podawana szeptem sugestia, że w tych dziełach zawiera się «prawda dla wybranych», rodzaj wiedzy gnostyckiej. Tym samym fani czują się zbiorowością szczególną. Jakby zakonem albo sektą. Im czytelnik młodszy, tym bardziej podatny na sugestię. Dlatego Coelha kochają głównie licealiści, a nawet gimnazjaliści" – pisał w 2012 roku Mirosław Pęczak, analizując czytelnicze wybory młodzieży.

Prawdopodobnie to właśnie ten trop wyjaśnia, jakim sposobem Paulo Coelho dla polskiego czytelnika stał się tym pisarzem, u którego najpierw poszukujemy prawdy, potem robimy o nim złośliwe memy, a na koniec odkładamy jego książki do szafek z bookcrossingiem, zachodząc w głowę, co tak nam się w nich podobało. Skoro to właśnie młodzi traktowali utwory Coelha jako portal do wtajemniczenia, nic dziwnego, że padły one ofiarą typowego złomowania, które spotyka wszelkie śmiertelnie poważne fascynacje wieku nastoletniego. Po kilku latach młody dorosły zaczyna je bezlitośnie wykpiwać, egzorcyzmując swoją rzekomą pretensjonalność, z której przecież już na dobre wyrósł. Tak samo jak – by pozostać w kanonie wczesnych lat 2000. – z oglądania *Zmierzchu*, wzruszania się przy *Zanim pójdę* zespołu Happysad (z refrenem zaczynającym się od słów „Miłość to nie pluszowy miś…"), bycia emo czy czytania Edwarda Stachury.

Zatem kto się śmieje z Paula Coelho? Wygląda na to, że najgłośniej ci, którzy go wcześniej kochali.

*Władimir Putin już na początku lat 2000. ujawnił się jako jeden z wielu wielbicieli Alchemika i podczas wizyty Coelha w Rosji gratulował mu kąpieli w zimnym Bajkale.*



PROZA

# Kulturysta

*tekst* ŁUKASZ KRUKOWSKI

*zdjęcie* WELLCOME LIBRARY, LONDON. Eugen Sandow: Life of the Author as told in Photographs (CC BY 4.0)

Gorąco jak na tę porę roku, środek marca, słońce pada na moją prawie łysą głowę – fale na morzu odbijają to straszliwe słońce prosto w oczy. Zmarzłem od klimatyzacji w hotelu, teraz już mi lepiej. Skóra, pokryta pierwszą warstwą bronzera i podpalona wcześniej na solarium, błyskawicznie się nagrzewa. Idę w samych spodenkach kulturystycznych, ubrania zostały na krzesełku w pokoju. Nikt na mnie jednak nie spojrzy, nikt oprócz może Neptuna – pewnie się pozna, w Gdańsku wyglądał całkiem okej. Czekam, aż organizm zacznie się schładzać, ale pot nie spływa, bronzer się trzyma.

Nie mam w sobie tyle wody.

Na szczęście wieje. Człowiek jest bardzo delikatny, szczególnie w tym stanie – przypomina mi się żart, że na takie kable trzeba uważać, bo można się wykrwawić przy zacięciu. Ostry piasek mnie niepokoi, staram się nie napinać. Wierzę teraz we wszystkie mity.

Jeszcze kilka kroków. Czuję go pod stopami, każde najdrobniejsze ziarenko zawiewane na kostki i łydki. Nagle: jedno wrażenie – wypierające strach przed służbami, wirusem i tak dalej, wypierające smutek – uderza mnie tak mocno, że prawie tracę przytomność. Kierunek wiatru się zmienia i…

Zapach morza.

Nie tak ostry jak zapach wody z kranu, który czuję od kilku dni z drugiego końca pokoju. Nie tak piękny jak zapach wody gazowanej z hotelu, kiedy otworzyłem butelkę, żeby ją wylać. Inny niż Bałtyk, obcy.

Zaciągam się. Niczego mi to nie wynagrodzi, ale zostanie wspomnienie wciąż mocnego węchu. Bogowie mnie docenili.

Jestem już naprawdę zgrzany, mimo że wymknąłem się przed chwilą. Jeszcze trochę tak postoję i zasłabnę. I nikt mi nie pomoże, bo miasto opustoszało. Mam cały kraj dla siebie – kraj Segovii i Tárregi, wielkich gitarzystów, oni mi teraz przyszli do głowy – choć wcale go nie chcę, nie mam siły na zwiedzanie. Jutro miałem wracać.

Może dobrze byłoby umrzeć na plaży, w życiowej formie.

Nie, odrzucam tę arogancką myśl. Każdy chce być zapamiętany jako kolos, potężne zwierzę wyrzucone na brzeg. Nic jednak jeszcze nie osiągnąłem. Zostałbym freakiem, cyrkowcem. Dorobiłbym się artykułu w lokalnej gazecie – a martwe ciało nie jest w stanie pozować, wygląda na sflaczałe niezależnie od docięcia. To byłaby tragedia, gdyby ktoś mnie uwiecznił.

Zamykam oczy, lekko odchylam głowę. Słońce pali mi powieki i czoło, na pewno podgrzewa mózg. Tłuszcz z twarzy zniknął, a wodę wygoniłem furosemidem. Teraz napiłbym się nawet tej z morza, żeby nie dostać udaru. Sód też się już wypłukał.

Coś się zbliża. Za mną. Próbuję zgadnąć: Czy to jakieś zwierzę? Policja? Kroki są ledwo słyszalne, drobne. Urządzili sobie polowanie, zasadzkę na dzika. Doprowadzą mnie do hotelu, ale przynajmniej nie umrę.

Ten ktoś się zatrzymuje. Stoimy w milczeniu. Otwieram oczy, widzę podwójnie. Krew zgęstniała i ledwo dopływa do głowy.

Dzieci. Chłopcy bez koszulek. Teraz już jeden chłopiec. Ma z sześć lat, pewnie przedszkolak. Obserwuję, jak zmienia się jego twarz. Dziwi się widokiem potwora, którego napotkał. Gotowy do ucieczki, sprawdza chyba, czy w ogóle jestem człowiekiem. Ze zmęczenia pozostaję niewzruszony. On, pełen energii, zdradza wszystkie możliwe emocje naraz. Też musiał się wymknąć.

– *¡Estás mazado!* – woła i rechocze, przybierając nagle pozę podobną do mojej: odchyla się do tyłu, kładzie dłonie na biodrach.

Zapamięta mnie?

Ma całkiem niezłą genetykę, korzystne proporcje. W takim wieku rysują mu się już barki, klatka wydaje się naturalnie dość szeroka, biodra wąskie. Może kiedyś zostanie pro. Sam miałem to osiągnąć dziś wieczorem, ale się wymknęło. Właśnie coś nam się wymknęło, myślę sobie i to ostatnia myśl, na którą mogę się zdobyć w tym słońcu.

Wymknęło się.

—

LABORATORIA NIE BADAJĄ, co było najważniejsze w czyimś życiu, przynajmniej jeszcze nie widziałem takiej opcji. Szkoda, bo wolałbym wiedzieć. Czasem niby pokażą gen czy chromosom, który wszystko ustawił, ale to nie mój przypadek. Muszę wybrać coś sam.

Moja klasa w liceum, elitarna klasa w najlepszym liceum w mieście, to były prawie same dziewczyny. Większość z nas dostała się przez konkurs kuratoryjny w gimnazjum. Mogliśmy wybrać każdą szkołę, pójść do liceów w Warszawie i siedzieć w ławkach z dziećmi polityków, ale z różnych powodów postanowiliśmy zostać na miejscu.

Ktokolwiek ułożył plan lekcji, odpowiada też za resztę moich planów. Na początek był WF łączony z innymi klasami. W starym śmierdzącym składziku rzuciłem plecak na ławkę i trochę się wahałem, czy zmieniać ubranie – i tak pierwsze zajęcia są zawsze organizacyjne. Naprzeciw mnie stał wysoki chłopak, wyglądał zwyczajnie. Popularna wtedy fryzura na pędzla, bluza z kapturem, Air Maxy, chyba dziewięćdziesiątki.

Gdy zdjął koszulkę odwrócony tyłem, wszyscy na niego spojrzeli. Na plecach szerokich jak lotnisko rozpościerała się choinka, rzadko spotykany wzór mięśni grzbietu. Ramiona były niezwykle dociętе, punktowe światło żarówki separowało jego biceps i zaokrąglało barki. Spiął skośne, schylając się po koszulkę do plecaka, a wtedy zobaczyliśmy piękne V w dole brzucha. Potem odwrócił się całkiem – nie wiem, czy specjalnie – i chwilę czekał z włożeniem zmiętej koszulki. Wszyscy zawiesili wzrok na jego brzuchu z kostkami i klacie, to znaczy na pewno ja zawiesiłem. Nie były to najbardziej wypukłe ani najbardziej symetryczne kostki, nie była to najpotężniejsza klatka – ale żaden z nas nie widział czegoś podobnego na żywo, nikt z tych chudzielców nawet nie marzył o takiej sylwetce.

– Ty coś ćwiczysz? – zapytałem odruchowo i aż się zdziwiłem swoją odwagą, ale był najbliżej mnie, więc wyszło całkiem naturalnie. Przy okazji się przedstawiłem.

– Głównie street workout – odpowiedział bez żadnej pretensji, bez zawahania. Podaliśmy sobie ręce. – Bartek jestem. Z biol-chema.

– Ja też z biol-chema. Długo ten street?

– Wiesz co, pięć lat będzie. Ale ostatnio trochę odpuściłem.

W końcu z tego wszystkiego sam również się przebrałem.

Weszliśmy do sali, on w za dużej koszulce wyglądał zupełnie zwyczajnie. Wuefistka opowiadała nam o zasadach zaliczenia przedmiotu, usiadłem za moim nowym kumplem. Zgarbił się trochę i te wielkie plecy dopiero teraz zarysowały się niby balast, który zawsze ze sobą dźwiga.

ŁUKASZ KRUKOWSKI, autor wielu tekstów z pogranicza horroru. Publikował wielokrotnie w „Piśmie" oraz w różnych antologiach i magazynach zajmujących się literaturą grozy, w szczególności *weird fiction*. Za apokaliptyczną powieść *Mam przeczucie* (2023) był nominowany do Nagrody Identitas, Odkrycia Empiku i otrzymał nagrodę literacką „Z Buta" przyznawaną przez studentów UAM w Poznaniu.

O dziwo nauczycielka po paru minutach gadania zarządziła rozgrzewkę. Mieliśmy zacząć od pompek. Byłem w stanie zrobić może z dziesięć w słabej formie, zmachałem się strasznie. Wstałem i spojrzałem na resztę, udając, że ja niby już rozgrzany.

Bartek wyszedł na środek, rozruszał nadgarstki. Położył się z ociąganiem i wykonał kilka pompek z klaśnięciem. Pomyślałem, że się popisuje.

Nagle wyprostował ręce i uniósł ciało równolegle do podłogi. Całkiem oderwał stopy od ziemi. W sali zapadła cisza, nawet wuefistka wstrzymała oddech. Wyglądało to na magiczną sztuczkę.

Bartek zrobił *planche*, trudną figurę gimnastyczną. Trzeba lat, by ją opanować, i on w tych kilku sekundach spięcia pokazał nam owoc setki, jak nie tysiąca godzin treningu. Nie wiem, po co to zrobił. Może był jeszcze taki dziecinny i faktycznie chciał się popisać? W każdym razie mu się udało.

Podeszliśmy do niego z Kubą przed następną lekcją. Chwilę pogadaliśmy.

– Po prostu nie ćwiczę już tak streeta – powiedział w pewnym momencie – bo chodzę na siłkę i przytyłem. A teraz jeszcze ta szkoła zajebana.

Kiedy wróciłem tego dnia do domu, rodziców nie było. Poszedłem do łazienki, stanąłem przed dużym lustrem i się rozebrałem. Byłem przeraźliwie chudy, klatkę miałem prawie wklęsłą, barki w ogóle się nie rysowały. W dodatku miałem chyba skoliozę, jedno ramię wyżej, połowa klatki większa niż druga, nie mówiąc już o tym, że na brzuchu nie zobaczyłem żadnych kostek, nawet najmniejszych, a przecież powinny tam być. Spróbowałem napiąć biceps i od razu ze wstydem opuściłem rękę. Uśmiechnąłem się w lustrze sam do siebie, do tej czerwonej twarzy. Jak to naprawić? Jak to zmienić?

Zrobiłem chyba z pięć czy sześć serii pompek, tyle, ile dałem radę, i spojrzałem znów w lustro. Tym razem się napiąłem. Klatka zrobiła się jakby większa, może trochę spompowana, ale to nie było to. Kiedy zacznie rosnąć? Po ilu seriach? Po ilu dniach? Czy wystarczą pompki, czy trzeba czegoś jeszcze?

Zacząłem płonąć – najpierw ze wstydu, ale potem już nie. Myślałem tylko o wyglądzie, no bo nie o tym, żeby zrobić *planche, planche* to byłby nadmiar. Czegoś takiego nie można sobie nawet wyobrazić.

Zacząłem płonąć albo zwyczajnie poczerwieniałem od krwi, która napłynęła mi do głowy.

—

WSZYSTKO, czego próbowałem wcześniej, straciło wtedy znaczenie. W przedszkolu czytałem dzieciom bajki, w podstawówce naciągnęli mi oceny do średniej 5.7, startowałem w konkursach, byłem najlepszy w nauce – ale po co? Nie miałem pojęcia. Z tamtego okresu zostały mi w głowie tylko pojedyncze sceny. Do gimnazjum chodziłem z człowiekiem, który potrafił zagrać solo z *Tornado of Souls*. Usiadłem z nim w ławce, sam kupiłem gitarę i nauczyłem się prostych rytmicznych partii. Rok później ją sprzedałem, bo zbierałem na lepszy komputer do grania. W trzeciej klasie poszedłem raz do osiedlowego klubu fitness, nie spodobało mi się. Leciała tam muzyka z radia, a na drzwiach wisiała wielka reklama zajęć jogi.

Kuba też nie robił nic konkretnego. Trenował piłkę, ale jego drużyna się rozpadła, a on nie miał wielkiego talentu. Ledwo dostał się na ten nasz biol-chem, był ostatni na liście. Cieszył się chociaż z tego. Też grał w gry. Z początku myślał, że zostanie dentystą, ja chyba chciałem zostać lekarzem. Nie było w nas żadnego charakteru.

W liceum przestaliśmy żyć z rozpędu. Nawet człowiek od *Tornado of Souls* – choć miał niesamowitą technikę kostkowania, kosmiczne *sweepy* i tę lewą rękę, rozciągniętą tak bardzo, że bez problemu robił czyste hammer-ony i pull-offy z dziesiątego na siedemnasty próg, co wydawało mi się czymś zupełnie niemożliwym, jakimś błędem w tabulaturze, zanim zobaczyłem je na żywo – nawet on nie miał podjazdu do Bartka. Byli w innych kategoriach. Gość od gitary opanował jedno narzędzie, w dodatku podłączone do wzmacniacza, do prądu, jego umiejętności były zależne od wielu czynników, poza tym miał nauczycieli, ojciec mu kupił sprzęt za ciężkie pieniądze: gitarę za parę koła i piec za drugie tyle. A Bartek umiał zrobić *planche* niezależnie od wszystkiego – ujarzmił własne ciało, samego siebie. Nie potrzebował sprzętu. Później nigdy się już nie popisywał, ale ci, którzy go znali, mieli do niego dystans, nie rozmawiali z nim w normalny sposób. Staraliśmy się jak najwięcej od niego wyciągnąć, jak najwięcej podłapać, każde jego słowo wydawało się mądre, mimo że dużo wtedy przeklinał i był raczej prosty.

Dlaczego ja i Kuba zostaliśmy jego najlepszymi kumplami? Dlaczego wybrał właśnie nas? Bo to on nas wybrał, na pewno tak było. Może po prostu staliśmy się jego największymi fanami. Wzbudził w nas zachwyt i to przy nas czuł się naprawdę wysłuchany, a na tym zależy każdemu. Dopiero z miesiąc później Bartek zaczął myśleć o nas jako o kumplach i to przejście – nie wiem, czy odbyło się w jakimś rytuale – na dobre rozpoczęło moje życie. Siedzieliśmy z nim na zmianę w ławce, ja i Kuba, bez zazdrości czy innych krzywych akcji. Przestaliśmy grać w gry, on nigdy ich nie lubił. Za to piliśmy i jaraliśmy u Kuby, bo miał dla siebie całe poddasze w dużym domu. Tylko na siłownię długo razem nie poszliśmy przez to, jak bardzo pojebany był Bartek, to znaczy jak bardzo specyficzne miał podejście do pewnych spraw. Nigdy nie powiedział o tym wprost, ale teraz dobrze wiem, o co mu chodziło. Oddzielał treningi od codzienności, czyli od zadawania się z takimi ludźmi jak my, wtedy jeszcze niewypróbowanymi.

Zgadaliśmy się, żeby któregoś dnia po szkole pojechać na jego siłkę – na drugi koniec miasteczka. Z początku nie chciał, mówił nawet coś głupiego o posiłku przedtreningowym, ostatecznie jednak zgodził się nam ją chociaż pokazać. Czuliśmy, że to wielki dzień, to znaczy ja czułem na pewno, a dla Kuby każdy dzień był poniekąd wielki, bo wszystkim się stresował.

Kuba wydawał się przestraszony, ja – wszystkiego ciekawy, Bartek – skupiony i nieobecny. Tak można nas było opisać, gdy w listopadzie 2013 roku stanęliśmy pierwszy raz przed siłownią Dziadka i Józka, miejscem zupełnie niezwykłym jak na naszą okolicę.

—

BOŻE, jak tu jebie – powiedział Kuba, zatykając sobie nos, i wtedy pomyślałem, że jest bardzo delikatny, ale miał rację.

Smród z wykładzin, ze sprzętu, ze ścian i ze spoconych ludzkich ciał upchniętych

ciasno na niewielkiej powierzchni czuć było już na wejściu, w recepcji. Mordownia powstała w piwniczce starego bloku na jednym z najbardziej patologicznych osiedli i sąsiadowała bezpośrednio z ruinami starego szpitala. Wiele osób stąd przyszło w nim na świat, a ja nawet miałem tam operację na wyrostek. Kiedy potem przychodziłem do Dziadka, za każdym razem przypominałem sobie oklepany tekst o dwóch najważniejszych dniach życia – tym, w którym się urodziliśmy (w starym opuszczonym szpitalu), i tym, kiedy zrozumieliśmy, po co (żeby chodzić obok na siłownię). Sens mojej osoby zawarł się w tych kilkudziesięciu metrach, może stu.

Ale z początku nie wiedziałem, że tak się sprawy ułożą. Weszliśmy, uderzył nas ten zapach i to już samo w sobie odrzucało – a jednak nie dlatego zatrzymaliśmy się z Kubą w progu, choć Bartek poszedł dalej.

Sparaliżował mnie wzrok Dziadka. Kubę zamienił wręcz w drżący kamień. Nieruchomy olbrzym siedział w recepcji i zza okularów przewiercał nas przekrwionymi ślepiami. Miał koszulkę z wytartym logo starego klubu sportowego, rozciągniętą na opalonych łapskach. Wydawał się nieustannie prężyć – teraz wiem, że pozostawał rozluźniony, a żyły pokrywające każdy centymetr jego ciała wyglądały tak z powodu nadciśnienia i paru środków, które wpieprzał aż do śmierci. Na biurku leżała duża puszka energola i zeszyt.

Tamtego dnia Dziadek skończył siedemdziesiąt dwa lata. Nieświadomie robiliśmy za jego prezent urodzinowy.

Dopiero po chwili zobaczyłem plakaty z magazynów kulturystycznych, które oblepiały całe ściany, niechlujnie na siebie zachodząc. Czarno-białe, kolorowe, zawodnicy z różnych czasów – nie wiedziałem jeszcze, co to za ludzie. Były też okładki z „Playboya" i innych tego typu gazet. Wychodziły już z mody, ale ta siłownia zatrzymała się w czasie.

– Cześć – rzucił Bartek do Dziadka i poszedł w kierunku szatni. – Musicie wykupić wejście, chłopaki.

Dziadek pozostał nieruchomy, nic nie powiedział, nawet nie zerknął na Bartka. Dla niego ktoś taki jak Bartek, nasz idol, był nikim. Nie warto było nawet patrzeć w jego kierunku. Zacząłem się stresować i Dziadek chyba to dostrzegł, bo się uśmiechnął. Miał idealnie równe i białe zęby, a nawet jeśli nie, to tylko lekko przebarwione od energoli i kawy.

– Dwie dyszki wejście. Karnet dla uczniów stówka – wychrypiał w końcu.

Kupiliśmy po jednym wejściu, ja już dałem kasę, Kuba właśnie sięgał po portfel. Pamiętam, jak patrzyłem na jego drżące, nieporadne dłonie i nagle…

Z szatni wyszedł Józek.

Józek był jak góra, z którą Bartek się zderzył. Miał dwa metry wzrostu, gigantyczne barki, wypukłą obwisłą klatę, ale też całkiem pokaźny brzuch, zasłonięty starym pasem treningowym. Jeden sutek wypadł mu wtedy spod tank topa. Mimo swoich gabarytów kolos sprawnie przemknął koło Bartka, a ten – widać było wyraźnie – aż przełknął ślinę i zachwiał się z nerwów. Józek nie patrzył na nas, ruszył prosto do sali treningowej i kiedy przechodził, poczuliśmy ten duszący słodki zapach, który później towarzyszył mi prawie codziennie: połączenie Brutala z dezodorantem, a pod koniec treningu również z potem.

– Ten wielki ziomek, nie? – szeptał Bartek w szatni, podekscytowany. – Ten ziomek to Józek, były mistrz polski w trójboju. On wypierdala prawie trzy stówy na klatę. Wszystko się trzęsie, jak robi martwy. Widziałem też, jak w koszuli wyciska, pojeb.

Bartek mówił tak, jakby chciał się pochwalić, że Józek jest jego przyjacielem, choć w najlepszym razie powiedzieli sobie parę razy cześć, no i nie przy nas. Józek potraktował go właśnie jak powietrze, a on liże mu dupę – tak ze zdziwieniem pomyślałem. To kim jest ten Józek?

Nagle, w ciągu paru minut, Bartek przestał mnie interesować, przestał być moim wzorem. Świat wydawał się teraz wielkim miejscem i zrozumiałem, że jeszcze nic nie wiem, że dopiero zaczynam to wszystko odkrywać i powinienem z pokorą przyjmować każde nowe doświadczenie. Dziadek i Józek na pewno nie byli zwyczajni. Nikt normalny nie mógł tak wyglądać. Nie miałem nawet pojęcia, w jaki sposób się do czegoś takiego dochodzi. Nie przypominali prawdziwych ludzi, raczej postacie z Dragon Balla – mimo że przecież istnieli, bo właśnie ich widziałem.

Z zatęchłej szatni wyszliśmy we trzech, przebrani w jakieś ciuchy na WF, i podnieceni skierowaliśmy się do sali, gdzie prawie nikogo nie było oprócz Józka, którego obecność liczyła się za kilka osób. Zaczęliśmy rozgrzewkę, on spoglądał na nas z drugiego końca pomieszczenia. Choć od dawna już nie ćwiczył pod trójbój, miał tego dnia trening *pull* i faktycznie wszystko się trzęsło, gdy robił martwy, bo na sztangę założył prawie całe obciążenie z wyposażenia siłowni. Czułem dziwny ścisk karku i dreszcz, obserwując, jak gnie się gryf olimpijski, a wielkie zdeformowane dłonie, białe od magnezji, pozostają sztywne.

—

NASTĘPNEGO DNIA ja i Kuba wykupiliśmy karnety. Pamiętam, że Dziadek, patrząc już życzliwiej, spytał nas tylko o imiona, które wraz z datą zapisał w kajecie. Gdy skończył się wstyd i niepewność pierwszych treningów – gdy nauczyłem się trzymać pozycję w wyciskaniu, proste plecy w martwym i w wiosłowaniu, zacząłem się podciągać, obsługiwać suwnicę na nogi, robić wznosy bokiem bez zarzucania – podszedłem do tego wszystkiego naukowo. Szkoła mi sprzyjała: rozszerzenie miało się zacząć dopiero od drugiej klasy, w pierwszej był raczej luz. Nikt wtedy nie miał jeszcze korepetycji, nie cisnęli nas jakoś bardzo, więc cały wolny czas poświęciłem poniekąd na naukę biologii i chemii, wykraczając zupełnie poza podstawę programową. Wiedzę czerpałem głównie z forum SFD, tworzyło też już paru polskich youtuberów, takich jak chłopaki z Warszawskiego Koksa. Dowiedziałem się, że moja sylwetka jest typu *skinny fat*, że prawdopodobnie nie mam wielkiego potencjału do budowania masy mięśniowej, ale muszę ciężko pracować, jeść dużo białka, trenować zawzięcie i coś się powinno z tego urodzić.

Od listopada do lutego przychodziliśmy z Kubą i Bartkiem na siłownię trzy razy w tygodniu, czasem nawet cztery, i trenowaliśmy planem FBW, który Bartek znalazł na forum i ćwiczył nim od początku. Plan nie zakładał żadnej większej filozofii, co drugi dzień wypadało zrobić na zmianę jeden z dwóch treningów. W pierwszym mieliśmy przysiady, wyciskanie, wiosłowanie, wznosy bokiem, a na koniec uginanie na biceps

i wyciskanie francuskie na triceps w seriach łączonych. W drugim – martwy, wyciskanie nad głowę, podciąganie i znów uginanie na biceps i dipy w seriach łączonych. Nikt z nas nigdy nie robił nic przypadkowego, nie przychodziliśmy na siłownię, żeby sobie „pomachać", ale ja – zainspirowany dziennikami treningowymi z forum – postanowiłem pójść o krok dalej. Zacząłem zapisywać każdy trening, analizować progres.

Obaj z Kubą – tak jak wcześniej Bartek – trochę przytyliśmy. Codziennie po szkole jeszcze przed obiadem wpieprzałem mrożoną pizzę, a matkę prosiłem, żeby karmiła mnie kurczakiem albo najlepiej wołowiną. Ona jednak chodziła do pracy, więc jakoś tak po świętach postanowiłem sam nauczyć się gotować. Pierwszy ryż przypaliłem, a pierwszą pierś z kurczaka usmażyłem bez przypraw i smakowała jak podeszwa. Nie zrażałem się jednak i po jakimś czasie codziennie po szkole robiłem sobie sam obiad i kolację. Przekonałem się też wtedy do warzyw, co wcześniej było nie do pomyślenia, ale ciągle nie mogłem się zdecydować na wagę kuchenną ani na liczenie kalorii – miałem wrażenie, że to już przesada.

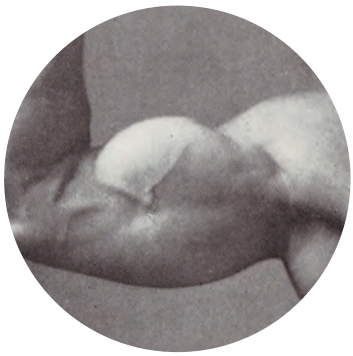
Mimo wszystko moje wyniki niezbyt imponowały. Po paru miesiącach ważyłem prawie siedemdziesiąt kilo, wyciskałem na płaskiej sześćdziesiąt – ławka to zawsze był mój najlepszy bój, a w pozostałych miałem żałosne, choć coraz większe liczby. Waga niby rosła, koszulki emki zaczęły się trochę opinać, ale gdy się rozbierałem, tak naprawdę nie było widać, że cokolwiek ćwiczę. Nie zobaczyłem nawet tych mitycznych *newbie gains*, tymczasem sylwetka Bartka – kiedyś smukła i wyrzeźbiona – coraz bardziej mi odjeżdżała, bo w miarę jak trenowaliśmy, nabierał muskulatury i poprawiały mu się wszystkie partie. Pewnie bym się poddał przez to zniechęcenie, gdyby nie pewna sytuacja w lutym 2014 roku.

—

NA UCZELNIACH skończyła się sesja, trwała przerwa międzysemestralna i do naszego miasteczka wrócił na chwilę Olek, który mieszkał wtedy na stałe w Warszawie. Ćwiczyliśmy jak zwykle we trzech, oprócz nas było jednak sporo ludzi, ławeczki zajęte. Olek wszedł do sali w kurtce razem z Dziadkiem, wszyscy na nich spojrzeli.

– Siemanko – powiedział głośno Olek, ale patrzył tylko na Józka.

Widziałem go kilka razy w życiu i każde z tych spotkań zapamiętałem. Wszyscy zapamiętywali Olka, był gigantyczny i rudy. Mimo niskiego wzrostu robił wrażenie czołgu, do tego miał nadzwyczaj ostre rysy twarzy jak na swoją masę. Nie nosił obcisłych koszulek, przy takiej budowie już po prostu nie musiał. Wtedy jednak nie do końca rozumiałem, skąd się bierze ta jego prezencja, bo z początku nie zdjął nawet kurtki. Od razu podszedł do nich Józek, zamienili ze sobą kilka słów. Pierwszy raz Józek gadał z kimkolwiek oprócz Dziadka – wywnioskowałem, że Olek to ktoś wyjątkowy.



– Kto to? – zapytałem Bartka, kiedy asekurowaliśmy Kubę na ławeczce.

– Kurwa, nie mam pojęcia – powiedział Bartek zbity z tropu. Chciał wiedzieć tak samo jak ja.

Olek gdzieś zniknął, pewnie poszedł do szatni. Seria, którą robiłem na ławeczce – jakimś śmiesznym ciężarem, szkoda szukać wpisu w dzienniku – szła mi opornie, bo nie mogłem się skupić na ruchu sztangi. Chciałem podnieść głowę, żeby zobaczyć, czy wrócił już ten nowy, i trochę zabolał mnie kark. Kuba pomógł mi odłożyć gryf.

– Co tak słabo? – spytał zdziwiony.

– Gdzie jest ten gość? – rzuciłem niecierpliwie.

Bartek tak samo cały czas wpatrywał się w drzwi, przeczuwając chyba, że to nie jest zwykły dzień.

– Może zaraz przyjdzie – powiedział z nadzieją.

Przyszła kolej Bartka i trzeba było mu dołożyć ciężaru, bo miał dłuższy staż na siłowni, ale odwlekaliśmy to dokładanie w nieskończoność. Byliśmy już rozproszeni, skupiliśmy się na oczekiwaniu. W końcu wszyscy zamarli.

(...)

Wtedy, w pierwszej klasie liceum, mieliśmy taki trochę głupawy przedmiot wiedza o kulturze i w podręczniku przeczytałem, że antyczne rzeźby, na przykład Herakles Farnezyjski albo Dyskobol, przedstawiają „idealne ciało". Olek wyglądał lepiej niż te ideały – i nie był rzeźbą. Istniał naprawdę, właśnie do nas szedł, uśmiechał się nawet.

– Dużo wam zostało na ławeczce? – zapytał uprzejmie.

– No tak ze cztery serie – powiedział Bartek.

– Kurde, a mogę się z wami zmieniać?

– No jasne.

– Git.

Poszedł się przygotować: wziął małe hantelki i robił nimi półkoliste ruchy, obracał też nadgarstkami. Rozgrzewał rotatory, ale wtedy pomyślałem, że się wygłupia, bo nikt z nas, a już na pewno nie Józek, nie robił podobnych rozgrzewek. Nasze polegały raczej na tym, że na przykład wyciskaliśmy sam gryf na parę razy. U Olka trochę to trwało; znów wydłużaliśmy przerwy, żeby nie było, że całkiem przestaliśmy ćwiczyć, chcieliśmy jednak spędzić z nim jak najwięcej czasu na tej ławeczce. Przeczuwaliśmy, że może nam dać jakieś porady.

W końcu skończył ten dziwny taniec i podszedł do nas z uśmiechem. On też chciał zacząć od samego gryfu – zdjął obciążenie z jednej strony, ja zdjąłem mu z drugiej. Zrobił dwadzieścia powtórzeń, seria trwała wieczność. Bardzo wolno opuszczał gryf, przytrzymywał przy klatce i szybko wyciskał. I znów – i mimo że on był taki wielki, a gryf ważył tylko dwadzieścia kilo, wydawało się, że robi się w jego dłoniach niezwykle ciężki, że Olek, ten gigant, mocuje się z samym gryfem. Pomyślałem nawet, że to śmieszne i że coś tu jest ewidentnie nie tak.

Potem założyliśmy mu po dwadzieścia kilo na stronę.

– Rozgrzeję się, zrobię pierwszą serię i was puszczam, dobra?

– Dobra – odpowiedział mu Bartek.

Miał teraz sześć dych, mój maks, i znów zrobił dwadzieścia powtórzeń

w identycznym tempie: powoli opuszczając, przytrzymując i dopiero wyciskając.

– Nie lubię płaskiej – powiedział. – Ale na masie mam ją jeszcze w planie, żeby nie zapomnieć.

– Dlaczego? – spytałem, uprzedzając Bartka.

– Wiesz co, mały zakres ruchu.

– Czyli co jest lepsze?

– Zależy do czego. Hantle na skos lubię, dobrze czuć górę klatki. Teraz mam je drugie w planie, w dniu push. Bliżej zawodów będą pierwsze, żeby już nie świrować z ławką. A potem brama.

– To splitem ćwiczysz? – zapytałem; coś mi światło, czym jest split, więc o nim wspomniałem.

– Push pull legs. A wy? FBW?

– Ta.

– A jakie macie cele?

Jakie mamy cele? Jakie cele? Wtedy wszyscy trzej trochę zaniemówiliśmy. Olek popatrzył na nas z uśmiechem, dołożył jeszcze ciężaru i kiedy kładł się pod stówką, przyjął inną pozycję: najpierw ściągnął łopatki, wyniósł sztangę i dopiero wraz z jej ciężarem opadł na ławeczkę.

Znów trzymał identyczne tempo, znów przytrzymywał na dole – tym razem wycisnął dwanaście razy. Odsunęliśmy się, przy stówce nie dalibyśmy rady w asekuracji. Olek robił szybkie wydechy i nie blokował łokci na górze. Gdy skończył, nie widać było, żeby się zmęczył, choć po serii jego klata nabrzmiała, a on pomasował ją z uśmiechem.

– Pompa jeszcze słaba, cytrulina dopiero po którejś serii wejdzie – powiedział.

– Coś jak kreatyna? – spytałem, bo kojarzyłem tylko kreatynę.

– No coś takiego, na lepszą pompę. U was co tam leci?

– Nic – odpowiedziałem, spuszczając wzrok.

– Ja biorę kreatynę – sprostował Bartek.

Zdziwiłem się i przestraszyłem. Brzmiało to dla mnie tak, jakby co najmniej kłuł dupsko.

– Mono czy jabłczan?

– Jabłczan.

– Kupuj mono – poradził Olek. – Lepiej przebadany, tańszy.

Teraz to Bartek spuścił wzrok.

– To jakie te cele macie? – dopytywał Olek natarczywie. – W waszym wieku robiłem formę na Sopot.

Patrzyłem na Bartka w nadziei, że coś powie; na Kubę nie miałem co liczyć, od początku był speszony jak cholera.

– Nie wiem, po prostu chodzimy sobie na siłkę – wyrwało mi się.

Olek popatrzył mi w oczy i uśmiechnął się lekko, choć zaraz ten uśmiech zniknął z jego twarzy. Przybrał tęgą, teatralną minę, zmarszczył brwi. Trochę się nawet przestraszyłem.

– Musisz mieć jakiś cel – powiedział poważnie. – Inaczej kręcisz się w kółko.

Milczeliśmy.

Po dłuższej chwili Olek wybuchł śmiechem.

– Tak mi tamten kiedyś powiedział. – Wskazał na Józka na drugim końcu sali. – Jak byłem młodszy. Mądrość, kurwa, starego konia. Do was coś gadał takiego?

– Nie… – zacząłem i Bartek mi się wciął:

– Nie gadaliśmy za dużo.

Olek pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Jest mało wylewny dla nowych. Dobra, teraz wasza runda.

Józek przez cały ten czas gapił się na nas albo na Olka – a może tylko na mnie. Robił sobie długą przerwę między seriami swojego niezgrabnego podciągania, które zazwyczaj wykonywał w półruchach, kopiąc w powietrze. Żłopał wodę i patrzył na mnie. Czyli już od paru miesięcy widział, że kręcimy się w kółko, nie mamy celu. To dlatego nie mówił nam cześć.

Zaraz sam leżałem na ławeczce, miałem ten swój śmieszny ciężar na sztandze, Olek stanął z tyłu i pomógł mi go wynieść. Ćwiczyliśmy pięć na pięć, tak jak mieliśmy w planie.

– Nie mostkuj tak – powiedział Olek. – Dupsko na ławce.

Przykleiłem się do ławki.

– Wolno opuszczaj, musisz kontrolować fazę ekscentryczną.

Pierwszy raz słyszałem takie słowo.

– Nie odbijaj sztangi. Jest bardzo ciężka, gniecie cię, tak sobie wyobrażaj.

– Ściągnij łopatki. Retrakcja, depresja.

– I z wydechem wyciskaj na raz.

– I jeszcze raz.

Chciałem odłożyć, ale –

– Łatwo, masz jeszcze w sobie ze dwa powtórzenia!

– Jeszcze jedno!

Zrobiłem już siedem i chciałem odkładać, ale Olek mi przerwał.

– I jeszcze jedno! – rozkazał.

Krew napłynęła mi do głowy, nadgarstki bolały, sztanga opadła na klatkę prawie bezwładnie. Odbiłem ją i usłyszałem prychnięcie pogardy Olka, a przynajmniej tak to wtedy zinterpretowałem.

Gryf ledwo się oderwał i zaczął drżeć, zawieszony w pół ruchu. Olek złapał go na środku i używając minimalnej siły, pomógł mi odłożyć.

Oddychałem ciężko, w uszach mi szumiało. Klatka paliła po bokach i kłuła na środku. Tricepsy się spięły. Nawet dół pleców zaczął dokuczać. Nogi zdrętwiały. Przedramiona raził prąd.

Ale kiedy znów skupiłem wzrok, Bartek patrzył na mnie zdziwiony, Kuba jakby przestraszony – a Olek się uśmiechał.

– Jak robisz na luzie dziewięć powtórzeń takim ciężarem – zaczął z wyrzutem – to po chuj chciałeś kończyć po pięciu?

– Żeby mieć zapas na następną serię – wychrypiałem. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

– Myślisz, że się nie zregenerujesz przed następną?

– Nie wiem.

W następnej serii zrobiłem osiem powtórzeń.

Od tego momentu ćwiczyliśmy planem Olka. Spędziliśmy z nim cały dzień, słuchając rad, uwag i ciężkiego opierdolu, gdy w którymś z nas dostrzegł cień braku zaangażowania. Na koniec stękał i kwiczał, w ogóle nie wstydził się krzyczeć z wysiłku. To, co nam mówił, nie zadziałało jednak na mnie tak mocno jak sam fakt, że w ogóle się nami zainteresował, sam do nas podszedł. Motywował mnie każdy centymetr jego cielska. Rano nie byłem w stanie unieść ręki.

Kiedy następnym razem poszliśmy na siłownię, Józek powiedział nam cześć.

Fragment pochodzi z książki Łukasza Krukowskiego pt. *Kulturysta*, która ukaże się w październiku nakładem Wydawnictwa Cyranka.



MAGDALENA BIGAJ, twórczyni i prezeska Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa. Autorka książki *Wychowanie przy ekranie*. Medioznawczyni, badaczka i działaczka społeczna. Pomysłodawczyni i współautorka Ogólnopolskiego Badania Higieny Cyfrowej. Laureatka Nagrody Korczaka za działania na rzecz praw dziecka w przestrzeni cyfrowej.

Cykl *Listy z cyfrowego roju* sponsoruje **Orange**.



# O letnich powrotach i mocy dobrego sąsiedztwa

*tekst* MAGDALENA BIGAJ

Nigdy nie było wiadomo, kiedy na nasze kolejowe osiedle przyjedzie Człowiek z Watą. W przeciwieństwie do chłopa obwieszczającego swoje przybycie donośnym „Zimioooki––kartofle–zimiokiii!" Człowiek z Watą pojawiał się znienacka i rozkładał swój stragan po cichu. Zapach palonego cukru wił się następnie między blokami, nad wydłużającym się ogonem dzieci stojących po lepką chmurkę słodkiej waty.

Działo się to najczęściej obok kiosku Danuty Rinn. Oczywiście nie tej prawdziwej, ale wtedy nie zdziwiłoby mnie, gdyby pulchna pani z okienka z gazetami śpiewała w wolnych chwilach *Gdzie ci mężczyźni* do dezodorantu. W latach 80. Sławków był dla mnie, wtedy dziecka, jedynym znanym uniwersum, w którym żyły postacie widziane w czarno-białym telewizorze rodziców. Pani z kiosku mieszała mi się więc z Danutą Rinn, a pediatrka – z Marylą Rodowicz. Był też Rysiek Rynkowski w osobie mojego wujka Józka, niebieskookiego murarza o czarująco łobuzerskim uśmiechu. Był nawet sam Jan Paweł II w osobie proboszcza. Ale jak może widzieć świat ktoś, kogo nazywano córką Lucky Luke'a?

W wieku 19 lat wyjechałam z niespełna 7-tysięcznego miasteczka w Zagłębiu Dąbrowskim prosto do stolicy. Naturalnie wiedziałam, że świat jest większy niż Dolina Białej Przemszy, z której przybywam, ale kiedy myślę o tym dzisiaj, wydawał mi się po prostu obszerniejszą wersją Sławkowa. Wszyscy byliśmy skądś, bo osiedle zbudowano dla rodzin robotników zjeżdżających do pracy z całej Polski, a liceum w mieście powiatowym, do którego jeździłam, prezentowało pełen przekrój mieszkańców pobliskich miasteczek i wsi. W społeczności przybyszów wszyscy byli swoi. Wyjechałam z mojego rodzinnego miasteczka z dobrze zapakowanym plecakiem. Mieścił on poczucie własnej wartości, sprawczość i przekonanie, że mam prawo sięgać po to, co chcę, a jeśli się nie uda, to świat się nie zawali.

Sławków nie był wyjątkowym miastem. Dzisiaj mógłby z powodzeniem stać się bohaterem książki Marka Szymaniaka *Zapaść. Reportaże z mniejszych miast*. Podupadał sobie z roku na rok, by w XXI wiek wejść jako sypialnia aglomeracji śląskiej. Ale rodowici mieszkańcy nie tracili hartu ducha. Dość powiedzieć, że kiedy po reformie administracyjnej w 1999 roku przypisano nas do województwa małopolskiego, Sławkowianie dwa lata pikietowali pod Sejmem z transparentami „Sławków chce do Śląska", aż w końcu spełniono ich prośbę. Od 25 lat jest to jedyna miejscowość w Polsce, która nie graniczy ze swoim powiatem. Czasem żartuję sobie, że jestem ze Sławkowa, a jeśli człowiek stamtąd się na coś uprze, to żadna przeszkoda mu niestraszna.

Czy uwierzycie, że Sławkowianie zagrali na nosie samemu carowi Mikołajowi II? Otóż 12 listopada 1905 roku, zniecierpliwieni oczekiwaniem na przywrócenie Polsce niepodległości mieszkańcy powołali Republikę Sławkowską. Zmieniono nazwy ulic i sklepów z rosyjskich na polskie, wprowadzono język polski jako jedynie obowiązujący w urzędach, szkołach i sądzie, nauczycielkę języka rosyjskiego zwolniono z pracy i Bóg raczy wiedzieć, jak by się to skończyło, gdyby po 12 dniach car nie przysłał jednak szwadronu dragonów, którzy aresztowali inżyniera Władysława Sujkowskiego, ochmistrza Ochotniczej Straży Ogniowej i dowódcy tej osobliwej mikro rewolucji. Po niespełna dwóch tygodniach republika upadła, a Petersburska Agencja Telegraficzna informowała w depeszy: „Mieszkańcy osady, za

*rysunek* ANNA GŁĄBICKA

A gdyby tak w centrum rozwoju technologii postawić człowieka? Magdalena Bigaj, medioznawczyni i twórczyni Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa, pyta o społeczne koszty postępu technologicznego. Ile za niego płaci *homo sapiens digitalis*? I jak higiena cyfrowa może nam pomóc zachować zdrowie fizyczne, psychiczne i społeczne? Więcej na **magazynpismo.pl/listy-z-cyfrowego-roju**

namową inżyniera Sujkowskiego, utworzyli dla zawiadywania sprawami publicznymi komitet, który ustanowił milicję, zniszczył portrety Ich Carskich Mości w kancelarii urzędu gminnego, zamknął szkołę, zaprowadził w urzędzie gminnym korespondencję w języku polskim". Duch moich sprawczych ziomków, co się carowi nie kłaniali, pozostaje w moim plecaku do dziś.

Żeby nie mitologizować rodzinnej miejscowości, dodam, że nie pojawia się ona w moich fantazjach o ucieczce od wielkomiejskiego zgiełku. Rodowici Sławkowianie mieli zresztą to do siebie, że nigdy nie lubili przyjezdnych, a o kolejarzach zasiedlających wybudowane w latach 70. XX wieku Osiedle Orzechówka rozpuszczali plotki godne opowieści o piciu krwi noworodków. Napływowi mieszkańcy żartowali sobie z tej lokalnej ksenofobii, odwdzięczając się pogłoskami o tym, że ongiś małżeństwa zawierano nawet w rodzinach, byle tylko nie dopuścić do miasta obcej krwi. Chociaż dzisiaj coraz mniej osób pamięta tamte napięcia, do Doliny Białej Przemszy nie wracam jak do Doliny Issy.

Zdaję sobie sprawę, że nie dla każdego powrót w rodzinne strony wiąże się z miłymi wspomnieniami. Jeśli to jednak możliwe, warto życzliwiej spojrzeć na nasze małe ojczyzny, nawet jeśli dzisiaj całkiem już zapyziały i daleko im do beztroskich krain dzieciństwa. Okazuje się, że uczucie wdzięczności wobec nich nie musi wynikać wyłącznie z sentymentu.

Nauka od dawna potwierdza ogromne znaczenie lokalnej społeczności dla naszego dobrostanu. Znajomość sąsiadów, wzajemna pomoc i zaufanie, coś, co specjaliści nazywają społecznym kapitałem sąsiedztwa, wpływa na jakość życia znacznie bardziej niż wiek, dochód czy wykształcenie. Analiza wielu badań wykazała, że w społecznościach, które sobie ufają, odnotowuje się wyższy poziom zdrowia psychicznego i satysfakcji z życia. Opublikowany w tym roku przegląd badań pokazuje zaś, że dzieci lepiej funkcjonują w społecznościach, w których istnieją relacje między mieszkańcami, obecni są zaufani dorośli (również spoza rodziny) oraz miejsca sprzyjające spontanicznym spotkaniom. Te ostatnie odgrywają szczególnie istotną rolę w świetle najnowszych studiów, z których wynika, że to właśnie infrastruktura ma znaczący wpływ na tworzenie się sąsiedzkich więzi. Może się więc okazać, że na starym kolejowym osiedlu ludzie wciąż odczuwają więcej życiowej satysfakcji niż w dzielnicach nowoczesnych apartamentowców, w których nie znają swoich sąsiadów.

To może być odpowiedź na pytanie, jak to się stało, że dzieciństwo tylu niedoborów, upływające pod znakiem zimnego chowu i w otoczeniu licznych dysfunkcji społecznych mogło wyposażyć wielu z nas w tyle ważnych zasobów wewnętrznych. Niewykluczone, że lokalne społeczności tamtych lat, znacznie bardziej hermetyczne niż dzisiejsze społeczeństwo nomadów, umożliwiały nam poznawanie siebie samych w środowisku jawiącym się jako bezpieczne. Nie wszyscy sąsiedzi byli mili i godni zaufania, ale pozostawali tacy sami przez lata, przewidywalni i niezmienni, zawsze na swoim miejscu. Kiedy każdego lata na osiedle wraca Człowiek z Watą, a w drodze do szkoły czujesz na sobie srogie spojrzenie Danuty Rinn z kiosku, wiesz, że wszystko ma swój porządek, choćby nie wiem co się wydarzyło. W takich warunkach łatwiej podejmować próby i ponosić porażki.

Wszystko więc wskazuje na to, że plecaki w dorosłość szyte są z tego, co Eric Klinenberg nazywa społeczną infrastrukturą. Ten amerykański socjolog i badacz życia miejskiego twierdzi, że największy wpływ na dobrostan mają nie same więzi społeczne, lecz miejsca, które sprzyjają ich powstawaniu. To dlatego lekarstwem na nasze przescrollowanie jest ponowne wychodzenie do ludzi, poszukiwanie tak zwanych miejsc trzecich (innych niż dom i zakład pracy), jak biblioteki, place zabaw, domy kultury i inne dostępne przestrzenie, które pomagają zobaczyć drugiego człowieka i wejść z nim w kontakt, a nie tylko siedzieć przy stoliku, popijając tiktoki espresso tonikiem.

Myślę o tym wszystkim, odwiedzając rodzinne miasto, w którym stare miejsca trzecie trwają w zapaści, czekając na swój renesans. Spaceruję w dolinie mojej rzeki – a mieć swoją rzekę, to nie byle co, jak pisze Daniel Petryczkiewicz w książce *Mała historia znikania*. W czasach, w których algorytmy opowiadają nam świat i nas samych, powroty do źródeł są jak przypomnienie sobie, jaką drogę przeszliśmy. Gdyby tylko móc znowu po całym dniu szwendania się wrócić do domu, gdzie pachniał późny obiad (we wtorki zwykle krupnik), czasem serowe oponki na podwieczorek; gdzie mogłam zwinąć się jak kot na ławce przy kaloryferze w kuchni i trajkotać gotującej mamie o mijającym dniu. Wszystko było przed nami i nic za nami, bo w takim wieku wszystko się jeszcze taszczy ze sobą. Jest się wszystkimi przeżyciami naraz, jednym wielkim dzisiaj, pamiętając każdą twarz, wszelkie imiona i nazwiska, zapachy, miejsca i uczucia. Dopiero wracając po latach w te same miejsca, zatrzymujemy się zdziwieni konstatacją, że to czy tamto było tak dawno. Że jest już za nami tak bardzo, jakby trochę z cudzego życia. A my staliśmy się zabieganymi zbieraczami jutra.



# Rzeczy, których ze sobą nie zabiorę

*tekst* AGATA ROMANIUK

Drobne historie o wielkich rzeczach. Felietony o ludzkich sprawach widzianych przez pryzmat przedmiotów codziennego użytku.

Więcej na **magazynpismo.pl/cos-na-rzeczy**

AGATA ROMANIUK, doktorka nauk społecznych, reporterka i bajkopisarka. Absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu. Inicjatorka projektu reportersko-badawczego Światła Małego Miasta.

Od dawna mnie kusi, żeby zniknąć. Nie całkiem, tylko trochę. Urwać się z cyfrowej, rodzinnej i zawodowej smyczy. Tak, żeby przez chwilę, może kilka dni, nikt, a przede wszystkim big techy nie wiedziały, gdzie jestem. I nadarzyła się doskonała okazja. Pracuję nad książką *Na nogach*, opowieścią o chodzeniu. To zbiór historii o pieszych wędrówkach, pielgrzymkach, włóczęgach i wszystkim tym, co można robić, chodząc. A jednocześnie doskonały pretekst do tego, żeby samej wyruszyć pieszo w nieznane.

Nie chcę jednak zaczynać wędrówki z Warszawy, przedzierając się przez Wisłostradę, korki, sieć ulic z tramwajami, rondami i ruchem miejskim. Postanawiam zamiast tego udać się któregoś dnia o świcie na Dworzec Centralny, wsiąść w pierwszy dalekobieżny pociąg, wysiąść na końcu trasy i stamtąd dalej ruszyć piechotą. Będę chodzić dwa, trzy, a może pięć dni, aż mi się znudzi i wrócę. Będzie to włóczęga bez kontaktu, bez telefonu, karty kredytowej, GPS, wszystkich cyfrowych ułatwień. Tak, jak się kiedyś chodziło – z plecakiem, bidonem z wodą, pytając o drogę.

Szykując się do tej mojej analogowej wyprawy, zastanawiam się, jakich rzeczy ze sobą nie zabiorę. Lista jest całkiem długa. Nie wezmę słuchawek, bo nie będę miała żadnego źródła muzyki. Nie zabieram karty kredytowej, bo będę płacić gotówką. Nie przyda mi się czytnik do książek, bo pojedzie ze mną powieść w papierowej okładce. Nie wezmę żadnego elektronicznego zegarka ani krokomierza, laptopa, tabletu, telefonu ani ładowarki, niczego na prąd, czyli powerbank też zostawię w szufladzie.

Im dłuższa jest lista rzeczy, których ze sobą nie zabiorę, tym większa moja radość. Bo razem z nimi odcinam to, co mnie męczy: nachalne dźwięki i światła, natłok informacji, a przede wszystkim konieczność dokonywania niezliczonych wyborów. Posłuchać tej czy innej piosenki, obejrzeć film czy dokończyć serial? Przez chwilę poscrollować czy wrzucić zdjęcie do mediów społecznościowych lub zaszerować czyjeś? A może zerknąć na statystyki? Jak mi się dziś spało, ile kroków zrobiłam, jaka pogoda jutro w Sydney, a jaka za tydzień w Krasnogrudzie? Może już przecenili te sandały, na które poluję? Do tego znowu coś się rozładowało, znowu pika, awanturuje się, domaga uwagi.

Wiem, że powinnam ćwiczyć cyfrową higienę w domu, nie szukając pretekstu w wyjeździe. Ale to właśnie on daje pokusę, by rzucić to wszystko w cholerę, zostawić za sobą i ruszyć w drogę bez tych rzekomo absolutnie niezbędnych przedmiotów i niefizycznych bytów z nimi związanych. O ile lżejsze będą plecak i głowa.

Na stole kładę więc to, co ze sobą zabieram. Notes, ołówek i temperówkę. Analogowy aparat Practica MTL5 , który wcześniej należał do mojego brata, i dwie rolki filmu. Nową powieść Macieja Płazy, *Kasperl i Margit*, wybraną nieprzypadkowo, bo jest monumentalna (656 stron!). Apaszkę w groszki. Zapas znaczków pocztowych, bo w ostatniej chwili przyszło mi do głowy, że będę z tej wędrówki wysyłać pocztówki. Może gdzieś w jakimś kiosku kupię widokówkę z podziałem na cztery fotografie – w jednym kwadraciku fontanna, w drugim gipsowy pomnik papieża, w kolejnych jakiś skwer i widok na ratusz. Właśnie w takich pocztówkach mieszka Polska.

Okazało się, że latem 2026 roku w mojej bańce są one obiektem pożądania. Kiedy bowiem ogłosiłam w mediach społecznościowych, że wyślę kartki pocztowe pierwszym 10 chętnym, zgłosiło się kilkaset osób. Może więc wszyscy potrzebujemy pocztówki z analogowej przeszłości?

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków **Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego** pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

*rysunek* ANNA GŁĄBICKA

# Kulturalny planer

Pismo.
MAGAZYN OPINII

**MATEUSZ ROESLER**
wybiera najciekawsze wydarzenia kulturalne, na które warto wybrać się niebawem.

**Czytaj co miesiąc w serwisie i aplikacji.**
**Więcej na magazynpismo.pl/rzecz-gustu**




rysunek PAWEŁ SMARDZEWSKI




259 zł
/rok

# Czytaj i słuchaj treści z „Pisma", by lepiej zrozumieć rzeczywistość, w której żyjesz.

**Zamów roczną prenumeratę z dostępem online, a otrzymasz:**

- najnowsze wydanie specjalne „Wokół miłości" w prezencie,
- dwanaście numerów miesięcznika w wersji papierowej i na czytniki,
- wydania audio czytane przez lektorów i lektorki z Radia 357.

Darmowa dostawa na terenie Polski. Teraz także do paczkomatów InPost.

**Kupując prenumeratę „Pisma" oszczędzasz 40 zł rocznie.**
**Zeskanuj kod QR lub wejdź na magazynpismo.pl/prenumerata**
**i skorzystaj z oferty.**